

JACEK DUBOIS

ILUSTROWAŁ HUBERT GRATCZAK

KRÓLEWSKI SKARB



KTO ODNAJDZIE
KLEJNOTY KORONACYJNE?

KRÓLEWSKI
SKARB

JACEK DUBOIS

KRÓLEWSKI
SKARB

ILUSTROWAŁ
HUBERT GRAJCZAK



EDIPRESSE
KSIĄŻKI



Rozdział I

DZIEWCZYŃKA BEZ IMIENIA

Daleko z dołu dochodziły tajemnicze odgłosy. Nadstawiłam ucha, żeby lepiej słyszeć.

– Bezimienna, gdzie jesteś? – Rozpoznałam głos taty.

Nasz dom przypomina mi latarnię morską, bo jest wysoki, wąski i ma cztery poziomy. Jeśli chcemy zlokalizować, gdzie jest któryś z domowników, musimy głośno krzyczeć. Tym razem tata szukał mnie. Zastanawiacie się pewnie, dlaczego wołał do mnie „Bezimienna”, przecież każde dziecko ma jakieś imię. Ja też mam i do tego bardzo piękne. Określenie Bezimienna wzięło się z naszej rodzinnej historii.

Mam trzech braci: Michała, Stasia i Tadzia. Rodzice tak przyzwyczaili się, że rodzą im się tylko chłopcy, że jak dowiedzieli się, że będą mieli kolejne dziecko, pomyśleli, że to będzie chłopiec i wymyślili dla niego imię Maurycy. Na moje szczęście okazało się, że będę dziewczynką i rodzice musieli wybrać dla mnie nowe imię. Tylko że kiedy któreś podobało się tacie, to nie podobało się mamie i odwrotnie. W końcu po miesiącu sporów zabrakło im pomysłów. Wtedy kupili wielką księgę imion. Pomimo że było w niej kilkaset propozycji, nadal nie mogli niczego ustalić. Wreszcie uznali, że jeśli ktoś nie ma imienia, to i tak trzeba o nim jakoś mówić i tata zaczął o mnie mówić „bezimienna dziewczynka”. To się spodobało całej rodzinie i gdy jeszcze mieszkałam u mamy w brzuchu, tak zaczęli mnie nazywać.

Kiedy jednak trzeba było mnie zgłosić w urzędzie stanu cywilnego, tata takie imię wpisał w dokumentach. Na szczęście Opatrzność nade mną czuwała. Pani w urzędzie powiedziała, że to nie jest prawdziwe imię i odmówiła jego zarejestrowania. Wtedy tata się zdenerwował i powiedział, że jeżeli nie mogę się nazywać tak, jak chce rodzina, to w takim razie wcale nie będę miała imienia.

Przez jakiś czas tak było, aż przyszedł do nas wujek Aleksander. Kiedy dowiedział się o pomysle taty, powiedział, że jeśli rodzice sami nie nadadzą dziecku imienia, to zgodnie z prawem sześć miesięcy po jego urodzeniu zrobią to za nich urzędnicy. Po tej informacji w domu powiało grozą i cała rodzina zaczęła zastanawiać się, jakie imię zostanie mi przydzielone z urzędu. Przeważały czarne scenariusze, bracia wymyślali kolejno Bertę, Brunhildę i Hermenegildę.

Wtedy mama popłakała się i powiedziała, że ona się nie zgadza, żeby jej córka nazywała się jak niemiecka mniszka i zażądała, by natychmiast wymyślić dla mnie jakieś normalne proste imię. Od nowa zaczęły się rodzinne narady, a niebezpieczeństwo, że dostanę imię z urzędu, stawało się coraz bardziej realne. W końcu bracia, by mnie przed tym uchronić, uznali, że muszą wziąć sprawy w swoje ręce. Zaproponowali, żeby każde z rodziców wybrało po dwa imiona, które napiszą na kartce. Z tych propozycji chłopcy mieli wybrać imię dla mnie. Rodzice się zgodzili. Wyrwali z notesu kartki i, zakrywając je przed sobą, napisali po dwa imiona. Okazało się, że tata zaproponował Helenę i Antoninę, a mama dokładnie takie same. Wszyscy się śmiali, bo przedtem tata z mamą nie mogli dojść do porozumienia, a teraz okazało się, że pomiędzy nimi nie ma najmniejszego sporu.

Od tego momentu mój los leżał w rękach braci. Ustalili więc, że będą głosować w kolejności od najmłodszego do najstarszego, tak jak to się robi w czasie narady w prawdziwym sądzie. Najmłodszy jest Tadzik i on zaczął. Tadzik jest sportowcem; rok temu wygrał narciarską ligę zakopiańską i dlatego wszyscy się spodziewali, że zwycięży imię, które nosiła jakaś sławna narciarka. Tak też się stało. Brat zdecydował, żeby jego siostra nosiła imię po wielokrotnej przedwojennej mistrzyni Polski

w narciarstwie alpejskim – Helenie Marusarzównie. Kolejny głos miał oddać Staś, który oświadczył:

– Nigdy nie zgodzę się, żeby moja siostra nazywała się jak ta wstrętna Austriaczka Maria Antonina. – Mój średni brat jest z zamiłowania historykiem. Kiedy Tadzik szaleje po alpejskich stokach, Staś startuje w olimpiadach historycznych i najczęściej je wygrywa. – Niech nazywa się tak samo jak piękna Helena. Ta, przez którą rozpętano wojnę o Troję.

Przy tym układzie głosów moje imię było już przesądzone, ale rodzina chciała poznać opinię najstarszego z braci, Michała, który chce zostać malarzem.

– Od kilku dni szkicuję księżyc – oświadczył. – A imię Helena wywodzi się od greckiego słowa oznaczającego blask księżyca. To znak, że dziewczynka powinna mieć na imię Helena.

W ten sposób decyzja zapadła i dwóm wielkim Helenom i temu, że mój brat postanowił namalować księżyc, zawdzięczam swoje imię. Jednak, mimo że od tego czasu minęło już dziesięć lat, tata często nadal nazywa mnie w domu „bezimienną dziewczynką”.

Głos taty, który słyszałam, dochodził jak spod ziemi, a to oznaczało, że jest on w swoim gabinecie. Jak już opowiadałam, nasz dom przypomina latarnię morską, jest taki wysoki, a my, żeby się ze sobą spotkać, musimy nieustająco biegać po piętrach. Na samym dole, w podziemiu, obok pralni, spiżarni i garderoby, jest królestwo taty. Tam ma swój gabinet, w którym zamyka się, żeby móc popracować, albo kiedy ma nas wszystkich dosyć i, jak twierdzi, jest gotów ukryć się nawet w piekle, żeby zaznać chwili spokoju. Dawniej w tym gabinecie tata przyjmował klientów, ale po pewnej historii mama mu tego zabroniła.

Muszę zacząć od początku. Tata jest adwokatem i zajmuje się obroną ludzi, którzy stają przed sądem. W pracy nosi bardzo dziwny strój: długą czarną togę z zieloną wypustką przy szyi. Nigdy go w niej nie widziałam w pracy, bo dzieci nie mogą wchodzić na sale sądowe, ale oglądałam go na zdjęciach. Bycie obrońcą polega na tym, że do taty przychodzą ludzie, którzy zostają oskarżeni przez prokuraturę o zrobienie czegoś, co jest zabronione przez prawo. Zadaniem taty jest ich obrona.

Dawniej tata przyjmował swoich klientów w domu. Któregoś dnia, gdy wracałam do domu ze szkoły, minął mnie biegnący ile sił w nogach mężczyzna. Zastanawiałam się, dokąd tak pędzi, a on wbiegł do naszego domu i, przepychając się przez kolejkę oczekujących do taty klientów, twierdził, że przybył w niesłychanie ważnej i niecierpiącej zwłoki sprawie. Chwilę potem do naszego domu wpadli policjanci i zatrzymali tego pana pod zarzutem napadu na bank. Mama wtedy bardzo się złościła na tatę i mówiła, że nie życzy sobie, żeby takie typy spod ciemnej gwiazdy przybiegały do jej domu. Twierdziła, że przez tatę najadła się wstydu przed wszystkimi sąsiadami.

Najśmieszniejsze w tej historii było to, że ani policjanci, ani mama nie mieli racji, bo ten pan wcale nie był typem spod ciemnej gwiazdy. Tata bronił go wtedy w sądzie i sędzia stwierdził, że on nie dokonał tego napadu. Okazało się, że tego dnia w telewizji ten pan zobaczył list gończy za mężczyzną poszukiwanym za dokonanie napadu na bank. Człowiek z fotografii był bardzo do niego podobny, więc się przestraszył, że może zostać wzięty za tego bandytę. Postanowił natychmiast zasięgnąć porady taty, co ma robić w takiej sytuacji. Po drodze zobaczyli go policjanci, którzy pomyśleli, że spotkali poszukiwanego człowieka. Pobiegli więc za nim, a on przerażony zaczął

uciekać. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, bo w sądzie tata udowodnił, że w czasie, gdy dokonywano napadu, ten pan był gdzie indziej.

Po tym zdarzeniu mama zaczęła nalegać, by tata przyjmował swoich klientów poza domem. Jednak miarka się przebrała w wigilijny poranek. Pomagałam mamie przyrządzać karpia w galarecie na kolację, kiedy usłyszeliśmy dzwonek do drzwi. Nikogo się nie spodziewaliśmy i zdziwiona mama poszła otworzyć. Przy drzwiach stał pan, który powiedział, że w bardzo ważnej sprawie musi się widzieć z tatą. Mama nie była zadowolona z tej wizyty, bo tata obiecał jej, że pojedzie kupić choinkę. Obawiała się, że jak zacznie rozmawiać z tym panem, to ona sama będzie musiała pojechać po świąteczne drzewko. Dlatego zaproponowała klientowi taty, żeby przyszedł kiedy indziej, bo teraz tata jest bardzo zajęty. Pan jednak nalegał na spotkanie, twierdząc, że to bardzo ważne. W końcu mama uległa i poprosiła tatę. Okazało się, że tacie udało się wygrać temu panu sprawę i dziś on w podziękowaniu przyniósł rybkę na święta, którą sam złowił. Mama nie protestowała. Wprawdzie skończyła już przygotowywać kolację wigilijną, uznała jednak, że włoży rybkę do zamrażarki i przyrządzi ją dla nas po świętach. Wtedy pan poszedł do samochodu po prezent. Okazało się, że tą „małą świąteczną rybką” jest dwumetrowy sum, który zajął nam całą kuchnię. Nie było szans, żeby upchnąć go w zamrażarce.

Widząc taki prezent, mama popłakała się i spytała tatę, co ma zrobić z tym wielkim morskim potworem. Tata nie wyglądał na człowieka, który zna odpowiedź na to pytanie. Nie mogąc znaleźć rozwiązania, nagle przypomniał sobie, że ma do załatwienia bardzo ważną sprawę, czyli kupić choinkę, i czmychnął z domu. Mama została sam na sam z sumem i dużo czasu spędziła przy telefonie, prosząc przyjaciółki, by

zabrały choć po kawałku tej monstrualnej ryby. Na dworze już zmierzchało, gdy mamie udało się rozdzielić wigilijną rybkę pomiędzy znajomych.

Wieczorem mama odbyła poważną rozmowę z tatą, w której oświadczyła, że ma po dziurki w nosie jego klientów i żąda, żeby spotykał się z nimi w innym miejscu niż dom. Powiedziała, że jeśli będzie miał biuro poza domem, to nie ma nic przeciwko temu, żeby codziennie wpadała tam policja, a klienci przynosili, co tylko im wpadnie do głowy i jeśli mają ochotę, to mogą przynieść tacie nawet całego wieloryba. Tata uległ prośbie mamy i już od tego czasu nie spotyka się w domu z klientami.



Opowiem wam jeszcze o naszym domu. Na parterze mamy kuchnię i salon z wyjściem na ogród. Za właściciela tego poziomu uważa się

Szaszłyk, który usytuował swoje poślanie w holu. W ten sposób ma blisko zarówno do kuchni, żeby tam pobiec, gdy tylko usłyszy odgłos otwieranej lodówki, jak i do ogrodu, by móc po nim pobiegać, gdy tylko ktoś otworzy drzwi na taras. Szaszłyk to nasz ukochany pies, biszkoptowy labrador. Rodzice kupili go dla nas, kiedy pod uroczystą przysięgą obiecaliśmy z braćmi, że będziemy się nim zajmować i wyprowadzać go na spacer. Na początku wszyscy zgłaszaliśmy się na ochotnika, żeby wychodzić z Szaszłykiem.

Pierwszego dnia pobytu u nas mama policzyła, że pies był siedemdziesiąt dwa razy na spacerze. Gdy któreś z nas brało smycz do ręki, pies zrywał się z radości i, odbijając się na czterech łapach, podskakiwał, obracając się wokół własnej osi. W ten sposób tańczył swój taniec szczęścia.

Szaszłyk nie jest takim zwykłym psem, którego można wziąć na smycz i wyprowadzić na spacer. To on wyprowadza nas wszystkich. Szaszłyk jest jak pasterz, który czuje się odpowiedzialny za swoje owieczki. To on musi się nami opiekować, dlatego kiedy już przypniemy mu smycz do obroży, on łapie ją w pysk i, przyśpieszając kroku, ciągnie wyprowadzającego za sobą. Sam decyduje o kierunku spaceru. Szaszłyk jest bardzo silny i często udaje mu się wyszarpnąć nam smycz z ręki. Nie przejmuje się tym. Dla niego to kolejna sposobność do odtańczenia psiego tańca. Trzymając smycz w pysku, obraca się, a smycz krąży wokół niego, zataczając wielkie koła. W końcu, gdy się zmęczy, kładzie się i pozwala podnieść z chodnika koniec smyczy, po czym prowadzi nas dalej na spacer.

Tego pierwszego dnia, kiedy Szaszłyk przyjechał do nas, w czasie pierwszych spacerów pokazywał nam te sztuczki. Potem zmęczył się, już tak ochoczo nie podskakiwał i szedł coraz wolniej łapa za łapą,

a pod koniec dnia na widok któregoś z nas zbliżającego się do niego ze smyczką wył i chował się pod łóżko. Spragnieni wyprowadzania psa musieliśmy go stamtąd wyciągać. Następnego dnia mama, obawiając się o zdrowie Szaszłyka, wprowadziła limit spacerów i musieliśmy losować, kto go wyprowadzi. Tak było przez cztery dni, po czym nieoczekiwanie w niedzielę zaczęło padać. W taką pogodę nie chciało mi się wstawać z łóżka. Wtedy przyszła mama i przypomniała, że trzeba wyjść z psem. Popatrzyłam za okno i na szczęście przypomniałam sobie, że następnego dnia mam klasówkę, od której zależy ocena z polskiego na koniec roku. Powiedziałam, że muszę się uczyć i nie mogę przedkładać przyjemności wychodzenia z psem nad karierę naukową.

Mama tylko westchnęła i poszła zaproponować wyjście z psem któremuś z moich braci. Słyszałam, że natknęła się na Tadzika. Brat, który jest najzdrowszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam w życiu, usłyszawszy propozycję wyjścia z psem na spacer, nieoczekiwanie zakasłał i oświadczył mamie, że bardzo chętnie wyszedłby z Szaszłykiem na spacer, tylko tak się nieszczęśliwie składa, że jest mu na przemian zimno albo ciepło, czuje dreszcze, ma sucho w gardle i mokro w nosie, a na dodatek odczuwa mrowienie w stopach. Samopoczucie ma tak bardzo podłe, że mama powinna zrozumieć, że w tych warunkach nie powinien iść z psem na spacer. Gdy mama oświadczyła, że na pierwszy rzut oka wygląda zupełnie zdrowo, przypomniał jej, że zbliżają się zawody zakopiańskiej ligi narciarskiej i całej rodzinie powinno zależeć, żeby był zdrowy i je wygrał.

Mama znów westchnęła i spróbowała namówić Stasia, który akurat czytał książkę o kampanii Napoleona w Rosji. A dokładniej o tym, że kiedy przyszła jesień, zaczęły padać obfite deszcze i cesarska armia

ugrzęzła w błotach. Na propozycję spaceru wzruszył tylko ramionami i oświadczył, że nie chce przegrać batalii o wygranie olimpiady historycznej z tak błahej przyczyny, jak przeziębienie kilka dni przed pierwszym etapem.

Mama westchnęła kolejny raz tego dnia i chciała sama wyjść z Szaszłykiem na spacer, gdy natknęła się na tatę, który ze sportową torbą przerzuconą przez ramię miał zamiar iść do klubu na trening. Tata był idealną ofiarą, bo skoro szedł do klubu, to znaczyło, że był zdrowy i miał czas.

– Wiedziałem, że tak będzie – wściekał się tata, kiedy mama zaproponowała spacer z psem. – Przecież dzieci zobowiązały się, że będą z nim wychodzić, to ich pies, a nie mój – przypomniał. – Ja nie mam z nim nic wspólnego.

Te tłumaczenia nie pomogły i tata poszedł oglądać, jak Szaszłyk wykonuje swój psi taniec w strugach deszczu.



Sama nie wiem, jak to się stało, ale od tego dnia tata wyprowadzał naszego psa na spacer, a ponieważ Szaszłyk wydawał się zadowolony, wcale z tego powodu nie protestowaliśmy. Przez pierwszy miesiąc tata chodził z Szaszłykiem na długie spacer, po których psa wciąż rozpierała energia. Po powrocie w domu nadal tańczył swoje zwariowane tańce, zrzucając smyczą rzeczy z półek. Tata uznał, że musi go w czasie spaceru tak zmęczyć, żeby nie miał już na nic siły. Wpadł na pomysł, że zamiast chodzić na spacer, na których pies nie może się do końca wyszaleć, będzie jeździł z nim na rowerze.

Tata przejrzał kilka książek, z których dowiedział się, że idealny spacer dla takiego psa to dziesięć kilometrów. Wyznaczył więc taką trasę i codziennie ją przejeżdżał z Szaszłykiem. Jednak w trakcie jednej z wypraw o mało nie zamęczył Szaszłyka. Spotkał mianowicie jadącego

na rowerze szkolnego kolegę, z którym się nie widział od kilku lat. Obaj bardzo ucieszyli się ze spotkania i pedałując, opowiadali sobie, co u nich słychać. Tata pogrążony w rozmowie zapomniał, że ma ze sobą psa i przypomniał sobie o nim po przejechaniu dwudziestu kilometrów. Szaszłyk ledwo już biegł za rowerem. Ojciec zabrał go do domu, gdzie pies położył się w swoim kojcu i leżał bez ruchu, nic nie jedząc przez dwa dni. Gdy już bardzo się o niego martwiliśmy, on nieoczekiwanie wstał, zjadł pełną miskę karmy i zażądał, żeby zabrać go na spacer.

Poznaliście już królestwo Szaszłyka, więc opiszę wam pierwsze piętro naszego domu. Tam większy pokój zajmują mama z tatą. O tacie już wam opowiadałam, czas zatem na mamę. Ona jest bardzo ładna, a tata codziennie ją informuje, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Jeśli jednak ja jestem gdzieś obok, dodaje, że oczywiście oprócz jego córki. Wtedy mama się zastanawia, czy ma się martwić, że jest na drugim miejscu, czy cieszyć, bo to w sumie medalowa pozycja. W końcu zawsze się cieszy, że obie jesteśmy dla taty najpiękniejsze.

Mama jest również prawnikiem, ale nie jest adwokatem i nie występuje w sądzie. Zajmuje się prawami człowieka. Często podróżuje po świecie, najczęściej do Afryki i Azji, gdzie uczy o prawach człowieka, jednak gdy ja ją o nie pytam, mówi, że porozmawiamy o tym, gdy będę starsza. Nie mogę zrozumieć, jak na świecie ma być równouprawnienie, o które walczy mama, jeśli ona sama tłumaczy obcym ludziom więcej niż mnie. W czasie jednej z takich podróży mama przeżyła nieprawdopodobną przygodę. Pojechała na wykłady do Libii, gdzie trwała jeszcze wojna domowa. Miasto, w którym wylądowała, było kontrolowane przez międzynarodowe wojska pokojowe. W nocy, gdy spała w hotelu, wojska dawnego reżimu przystąpiły do kontrofensywy

i odbiły miasto. W ten sposób mama znalazła się w samym centrum wojny. Tata strasznie się wtedy denerwował. Na szczęście siły międzynarodowe odbiły miasto, a mamie nic się nie stało.

W pokoju naprzeciwko rodziców mieszkam ja. Jak już wiecie, na imię mam Helena i chodzę do czwartej klasy. Wolę, jak się do mnie mówi Hela, a nie Helenka. To brzmi poważniej. Mam dwa jasne warkoczyki i mnóstwo przyjaciół. W moim pokoju, na pierwszym piętrze od strony ulicy, jest tak dużo zabawek, że czasami trudno pod nimi znaleźć łóżko i biurko. Moje okno znajduje się na wysokości jednej z gazowych latarni, które oświetlają naszą ulicę. Uwielbiam siedzieć przy oknie, zwłaszcza w zimie, i patrzeć, jak latarnia oświetla padający śnieg. Bardzo lubię chodzić do szkoły, ale jeszcze bardziej lubię jeździć na wakacje. Kocham wakacyjne przygody. Ale dość o mnie.

Czas na podróż na drugie piętro naszego domu, gdzie jest królestwo moich braci. Staś ma pokój od strony ulicy. Jak wam opowiadałam, Staś jest zafascynowany historią i wszyscy w naszej rodzinie przepowiadają, że będzie profesorem historii starożytnej. Jednak Stasiowi perspektywa takiej kariery nie wystarcza, chciałby też być adwokatem, pisarzem i politykiem. O wszystkich tych karierach marzy jednocześnie. Kiedyś razem z tatą byli na wycieczce w Waszyngtonie, gdzie zwiedzali Biały Dom. Mój brat z wielkim zainteresowaniem słuchał o amerykańskich prezydentach. Nieoczekiwanie bardzo się zdenerwował, gdy dowiedział się od przewodnika, że prezydentem Stanów Zjednoczonych może zostać tylko ten, kto w chwili urodzenia miał obywatelstwo amerykańskie. Tata przez długi czas starał się dociec, dlaczego Stasia tak to rozsierdziło. Okazało się, że Staś rozczarował się, że nigdy nie będzie mógł być amerykańskim prezydentem. Było to trochę zabawne, ale muszę przyznać, że mój brat ma nieprawdopodobną wiedzę. Tata

powiedział, że dzięki niemu będzie mógł wyrzucić na śmietnik swoją trzynastotomową encyklopedię, bo jak czegoś nie pamięta, wystarczy, że zawoła Stasia i on mu wszystko podpowie.

Jedyną wadą mojego brata jest to, że stara się trzymać jak najdalej od sportu. Twierdzi, że ruch zagłusza mu myśli. Czytając całymi godzinami i jedząc nieprawdopodobnie duże porcje makaronów, Staś zaczął przypominać misia kuleczkę. Na szczęście tata postanowił go zmobilizować, żeby z nim jeździł na rowerze i pływał. Staś się przed tym wzbraniał, twierdząc, że nie ma czasu na takie bzdury, aż w końcu tata wpadł na pomysł i kupił Stasiowi iPhone'a z wodoszczelną obudową. Dzięki niej mój brat może słuchać historycznych ksiązek, pływając w basenie. Staś pogodził się z losem i mimo że nieustająco zrzedzi, że jest bezbronną ofiarą ojca tyrana, ćwiczy razem z nim. W ten sposób figura Stasia została uratowana.

Do uprawiania sportu nie trzeba za to namawiać najmłodszego z moich braci – Tadzika, który ma pokój naprzeciwko Stasia. Tadzik ma jasne blond włosy z falą na czole i zawsze jest roześmiany. On też lubi czytać, na przykład *Igrzyska śmierci* albo *Czerwoną Piramidę*, ale najbardziej na świecie lubi jeździć na nartach. Gdy przychodzi jesień, Tadzik pakuje swoje torby ze sprzętem i wyjeżdża do Zakopanego, gdzie na treningach i zawodach spędza kilka miesięcy i dopiero jak śnieg topnieje, zjeżdża z powrotem do Warszawy. W tym czasie wszyscy za nim tęsknimy. Tadzik, gdy miał mniej niż trzy lata, po raz pierwszy zjechał z Kasprowego Wierchu. Pewnego dnia na Hali Gąsienicowej Tadzik stał wśród grupy dorosłych narciarzy, w której zakładano się, kto potrafi zjechać na nartach z samego szczytu na krechę. Nie czekając na wynik ich dyskusji, Tadzik postanowił, że on wygra ten zakład, odepchnął się kijkami i, jadąc z pełną szybkością na wprost, zatrzymał

się dopiero na dole. Ten wyczyn zapoczątkował jego karierę sportową. Byłam bardzo dumna z brata, kiedy zdobył mistrzostwo Polski. Pewnego razu Tadzik, który przyzwyczaił nas do tego, że na każdych zawodach staje na podium, przejechał trasę dopiero z piętnastym czasem. Byliśmy zdziwieni, co się stało, i mama poszła dowiedzieć się, czy Tadzik nie jest przypadkiem chory. Nie uwierzycie, jak brat wyjaśnił ten nagły spadek formy.

– Wiesz, mammo, przez cały sezon jeździłem tylko na tyczkach, starając się, by krawędziami nart utrzymać się na lodzie – tłumaczył. – Dziś, kiedy jechałem slalom, zobaczyłem z boku trasy trochę świeżego puchu, poczułem nieodpartą potrzebę sprawdzenia, jak to jest jechać po świeżym śniegu. Nie mogłem się opanować i zjechałem trochę w bok, żeby choć dotknąć tego puchu nartami.

W ten sposób wyjaśniła się przyczyna słabszej formy Tadzika.

Mam jeszcze trzeciego brata, Michała. On jest już dorosły, wyprowadził się od nas i mieszka ze swoją dziewczyną. Michał chce zostać malarzem i studiować na Akademii Sztuk Pięknych, ale w tym roku zapomniał przygotować teczki ze swoimi pracami i nie mógł przystąpić do egzaminu. Teraz studiuje socjologię, a na akademię ma zdawać ponownie za rok. Tata często dzwoni do Michała, zapraszając go do nas. On mówi, że wpadnie, jak tylko będzie mógł, ale często o tym zapomina. Ostatnio poprosiłam Michała, żeby namalował mój portret, ale o tym też zapomniał. Śmieję się z niego, że on jest jak słoń Trąbalski, tak samo zapominalski.

No to opowiedziałam najważniejsze rzeczy o mojej rodzinie i domu, a teraz muszę sprawdzić, dlaczego tata mnie woła.

Wstałam z kanapy i zbiegłam na dół. Tata wołał „Bezimienna, Bezimienna” i miotał się po gabinecie, czegoś szukając. Wszyscy

w domu przyzwyczajeni jesteśmy, że tata bezustannie coś gubi i wtedy wzywa nas, żebyśmy mu pomagali w szukaniu. Tak było i tym razem. Tata rozpaczliwie przeszukiwał półki, powtarzając: „Co ja mogłem z nimi zrobić, co ja mogłem z nimi zrobić?”.

Nie musiałam być Sherlockiem Holmesem, żeby domyślić się, o co chodzi. Tata do niedawna miał sokoli wzrok. Nagle coś się zaczęło psuć. Miał coraz większe kłopoty z czytaniem, musiał wystawiać rękę z książką dalej i dalej przed siebie, aż ręka mu się kończyła. Na jednej ze spraw od swojego przeciwnika procesowego dostał pismo, którego nie mógł przeczytać. Bardzo się wtedy zdenerwował, bo nie wiedział, jakich argumentów użyli jego przeciwnicy. Na szczęście przyszła jego koleżanka z kancelarii, która była wtedy w ciąży, i przeczytała na głos pismo. Potem razem przygotowali odpowiedź i wygrali sprawę. Po wyroku tata się śmiał, że ślepemu z ciężarną udało się pokonać zespół młodych adwokatów.

Tata był przekonany, że ta historia z niemożnością przeczytania pisma zdarzyła się jednorazowo. Ot tak, po prostu miał słaby dzień. Niestety następnego dnia było tak samo, tata znów dostał pismo, którego nie potrafił przeczytać. W końcu zdecydował się pojechać do okulisty i okazało się, że wzrok mu się pogorszył i musi nosić okulary. Wtedy tata posmutniał. Uznał, że jeśli nie widzi, to jest już stary, nic ciekawego już go w życiu nie czeka i czas iść na emeryturę. Zamknął się w gabinecie i godzinami wpatrywał bezmyślnie w okno.



Mama nie wiedziała, co ma zrobić i w końcu zadzwoniła do przyjaciela taty o pomoc. Wujek Kuba przyjechał do nas i próbował przekonać tatę, że życie może być piękne nawet w okularach. Niestety to nie pomagało, ale żegnając się, przyjaciel taty powiedział, że za dwa miesiące zamierza pobic półmaraton w Gdańsku. Ojciec nagle ożywił się i bardzo go to zainteresowało. Spytał przyjaciela, czy mógłby pobic razem z nim. W ten sposób narodziła się nowa pasja taty – bieganie. Tata odzyskał pogodę ducha i zgodził się pojechać z mamą do okulisty, gdzie wybrali okulary, które tata od razu zgubił. Wtedy mama zaczęła nazywać tatę panem Hilarym, jak bohatera wiersza Juliana Tuwima, który krzyczał, gdzie są jego okulary. Okulary wkrótce się znalazły, ale codziennie zaczęły tacie ginąć. Mamę tak to denerwowało, że kupiła tacie cztery pary i porozkładała je na każdym piętrze naszego domu, tak by tata niezależnie od tego, gdzie się znajduje, mógł je znaleźć. Niestety niewiele to pomogło, one nadal złośliwie ginęły. Tatę też to

denerwowało i zaczął imać się różnych sposobów, by nie gubić tych okularów. Kupił taki łańcuszek na szyję zakończony kółkiem, za który mógł je wtykać i nosić na szyi. Jednak i to niewiele pomogło, a studenci śmiali się z taty, gdy prowadząc wykład, tak był roztargniony, że mając jedne okulary zawieszane na swoim sznurku, drugie wczepione we włosach, a trzecie w kieszeni koszuli, pytał ich, czy nie widzieli przypadkiem, gdzie są jego okulary. Myśmy się już do tego przyzwyczaili.

Nie myliłam się. Tata był już ubrany do wyjścia w elegancki garnitur, w rękę trzymał brązową skórzaną aktówkę i brakowało mu tylko okularów, których poszukiwał, miotając się po gabinecie.

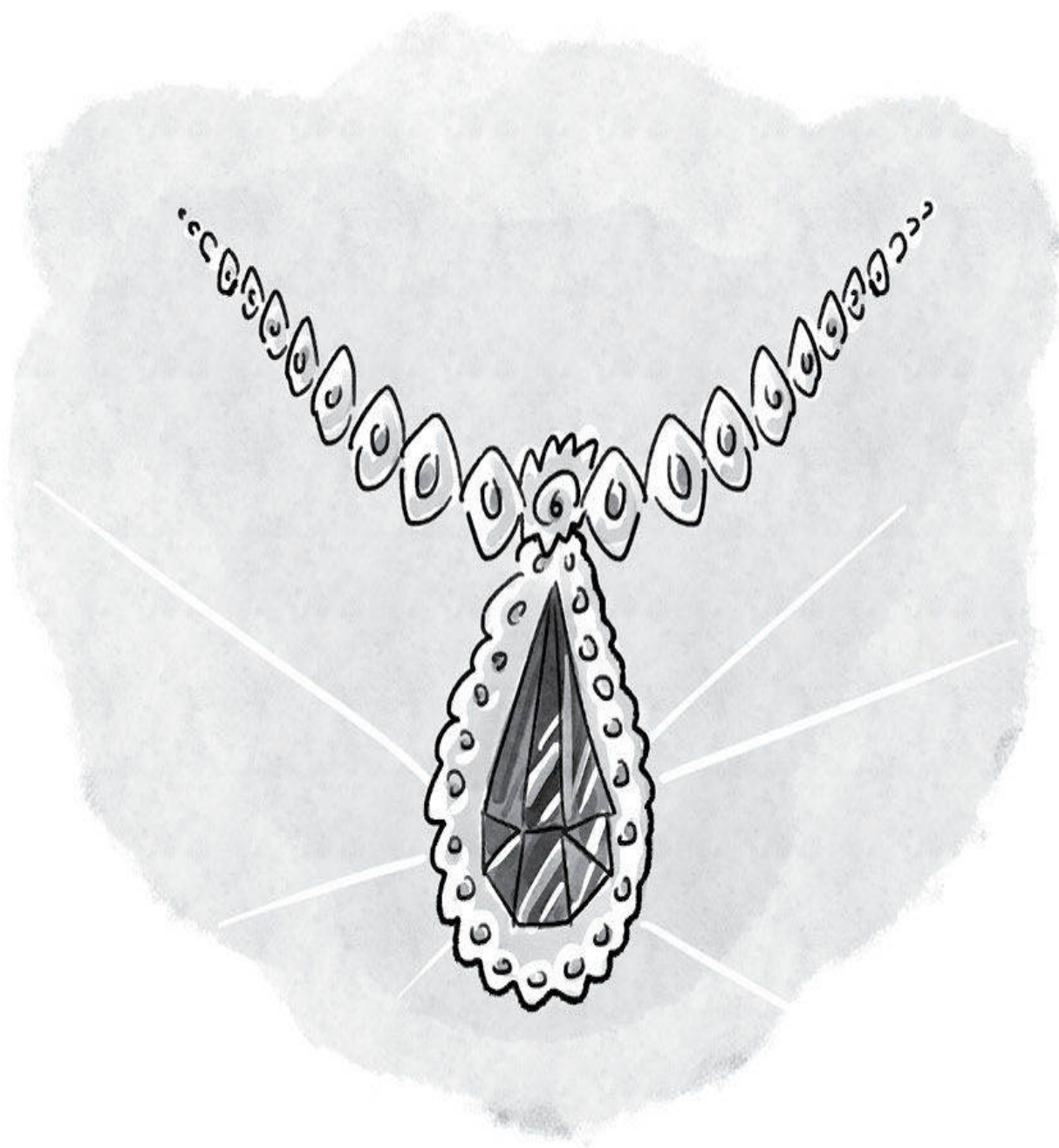
– Zaraz je znajdziemy, tatku – obiecałam i zrobiłam szybki przegląd sytuacji.

Okularów nie było ani na sznurku na szyi, ani we włosach, nie były też wpięte w węzeł krawata, zaczepione za guzik koszuli, ani schowane w kieszeni marynarki. Sytuacja wydawała się dużo poważniejsza, niż przypuszczałam. Zaczęłam sprawdzać kolejne miejsca: futerał leżący na biurku, kieszonkę w teczce i szuflady. Tata był zrozpaczony. Mówił, że umówił się z bardzo ważnym klientem i jeżeli nie przybędzie na czas, on się zniecierpliwi i zrezygnuje z usług taty. Zrobiłam w głowie przegląd ulubionych miejsc taty. W popielniczce na cygara ich nie było, sprawdziłam lodówkę, gdzie też ich nie znalazłam.

Wtedy przypomniałam sobie o murzyńskiej głowie. To rzeźba głowy kobiety naturalnej wielkości, którą tata kupił na targu staroci. Sprawdziłam i bingo, okulary były na niej. Wzięłam je i podałam tacie.

– Dziękuję ci bardzo. – Tata odzyskał dobry humor. – Dzięki tobie przyjmę ciekawą sprawę.

Pocałował mnie na pożegnanie i wybiegł z domu. Oczywiście okulary zostawił na stole. Udało mi się go dogonić i włożyłam mu je do kieszeni koszuli.



Rozdział II

WIDMO BANKRUCTWA

W ciągu dnia wszyscy mamy bardzo dużo zajęć, ale zgodnie z naszą rodzinną tradycją wieczorem spotykamy się, by razem zjeść kolację

i poopowiadać sobie, co się wydarzyło.

Kiedy wróciłam z angielskiego, kątem oka dostrzegłam, że Staś kręci się po kuchni przy mamie przygotowującej kolację. Brat jest największym łakomczuchem, jakiego spotkałam w życiu. Dla pomidorowego spaghetti czy pizzy byłby w stanie zaprzedać własną duszę. Pewnie chciał dopilnować, żeby mama ugotowała to, co on najbardziej lubi. A przy okazji ten łakomczuch wyje połowę kolacji z garnków i dla nikogo nie starczy na dokładkę.

Gdy o dziewiętnastej zeszłam do jadalni, wszyscy już tam byli, a na stole stał wielki, choć trochę już spenetrowany, półmisek z pomidorowym spaghetti. Brat dopiął swego, bo mama, nie pytając nas o zdanie, przygotowała jego ulubioną potrawę. Chciałam w ramach zemsty nałożyć sobie olbrzymią porcję, żeby dla niego już nie starczyło. Niestety Staś błyskawicznie rzucił się do stołu, złapał półmisek, jakby chciał z nim uciec, ale zreflektował się i nałożył sobie na talerz olbrzymią porcję. Widząc zdumione miny członków rodziny, wytłumaczył:

– Wybaczcie, że nałożyłem sobie pierwszy, ale jestem niesamowicie głodny. Od rana nic nie jadłem.

– Jak to nic nie jadłeś, Stasiu? – zdumiała się mama. – Przecież własnoręcznie zrobiłam ci śniadanie.

– Tak, to prawda – przyznał Staś, nie przerywając jedzenia. – Ale to było bardzo wcześnie, a śniadanie było mikroskopijne, czyli to się nie liczy jako posiłek.

– Zjadłeś cztery kajzerki z serem – sprecyzowała mama.

– A potem jeszcze jedną moją – przypomniał Tadzik.

Staś nie oponował, z apetytem pałaszując makaron.

- Do mnie do biura przyszedłeś w porze lunchu - dodał tata. - Byliśmy razem w restauracji, gdzie zjadłeś zupę, drugie danie i deser.

- Jak to jedliście razem? - zdziwiła się mama. - Przecież ja przygotowałam Stasiowi posiłek w domu.

- A ode mnie pożyczył pieniądze na lunch, mówiąc, że jak zaraz czegoś nie zje, to zemdleje z głodu - dodałam.

Niespeszony tymi oskarżeniami Staś pochłonął ostatni kęs spaghetti z talerza. Wtedy spostrzegł, że żadne z nas jeszcze nie zaczęło jeść.



- Skoro nie jecie, to ja się jeszcze poczęstuję - Oświadczył i, nie czekając na zgodę, nałożył sobie kopały talerz makaronu.

Tata chciał zainterweniować i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo Staś go uprzedził.

- Czy wiecie, kto wymyślił pizzę? - spytał, po czym szybko wygłosił monolog o historii powstania tej potrawy.

Staś poza tym, że jest nieokiełznanym żarłokiem, jest także gadułą. Godzinami potrafi zarzucać nas różnymi opowieściami. Wysłuchaliśmy historii powstania pizzy. Na koniec Staś, nie robiąc nawet przystanku, spytał:

- Czy wiecie, skąd się wzięła kawa w Europie?

Tego już było za wiele dla wszystkich. Marzyliśmy, by wreszcie zamilkł. Najlepszym sposobem wyłączenia Stasia z dyskusji przy stole

jest zaproponowanie mu czegoś do jedzenia i tego sposobu chwyciła się mama.

– Stasiu może jeszcze spaghetti?

Staś łaskawie ruszył głową, co oznaczało, że jest gotów przyjąć daninę. Mama sięgnęła po półmisek i zobaczyła, że, mimo że nikt poza Stasiem nie rozpoczął jedzenia, została tam ostatnia porcja. Westchnęła tylko, nałożyła mu to, co zostało, i oznajmiła pozostałym domownikom, że zaraz dogotuje makaronu. Czekając na kolację, rozpoczęliśmy rozmowę, chcąc uprzedzić kolejny monolog brata.

– Jak było w pracy? – spytała mama tatę.

Tata przeniósł kancelarię ze swoimi współpracownikami na szesnaste piętro nowego biurowca zbudowanego w samym centrum. Zakładając nową firmę, bali się, czy będą w stanie zarobić na czynsz i wyniki kancelarii taty były przedmiotem zainteresowania całej rodziny.

– Nie najlepiej – oznajmił ze smutną miną tata. – Chyba przeceniliśmy nasze możliwości. Kancelaria idzie dużo gorzej, niż przypuszczaliśmy.

– Jak to? – zdziwiła się mama. – A ten dzisiejszy klient? Mówiłeś, że ma przyjść z nową sprawą, po której planowaliście się odkuć.

– Tak miało być – potwierdził tata. – Ale niestety nic z tego nie wyszło.

– Czy jest jeszcze makaron? – spytał Staś, lecz tym razem wszyscy go zignorowali.

– Dlaczego się nie udało? – dopytywała się zatroskana mama.

– Klient okazał się totalnym wariatem. Poleciał mi go przyjaciel, twierdząc, że to jeden z najbogatszych Polaków, który jest niesłusznie podejrzany przez prokuraturę o oszustwa. Spodziewałem się, że odwiedzi mnie nobliwy gentleman, tymczasem do kancelarii wpadł

zdenerwowany facet z rozbieganymi oczami. Zaprosiłem go, żeby usiadł i zaproponowałem kawę. On nie mógł powstrzymać drżenia rąk i rozglądał się po gabinecie na boki, jakby szukał ducha. Spytałem, jak mu mogę pomóc.

– Czy ma pan relanium? – Usłyszałem. Wysłałem więc sekretarkę po tabletki, a jego poprosiłem, żeby opowiedział mi o swojej sprawie. Gość nie mógł się skoncentrować. Zamiast opowiedzieć, jakie zarzuty postawiła mu prokuratura, dopytywał się, czy wierzę w latające ryby. Nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi. W końcu wyjaśnił, że kiedy jechał do mnie windą na górę, to pojawiła się przed nim ryba. Była olbrzymia jak wieloryb i płynęła wprost na niego, jakby chciała go staranować. Przerażony chciał się zasłonić przed nią rękoma, ale wtedy rybie wyrosły skrzydła, zamachała nimi i przefrunęła nad nim. Gdy pomyślał, że ten koszmar minął, nagle całe niebo nad nim wypełniło się lecącymi wielorybami. Stado zatrzymało się nad nim i wieloryby zaczęły chórem śpiewać:

*Oszuście podatkowy, nie będziesz piękny i zdrowy,
Nie warto chować pieniędzy, bo i tak skończysz w nędzy,
Dopadnie cię wielka ryba i wtedy wszystko się wyda,
A ty znikniesz stąd, po tobie zostanie tylko swąd.*

Gdy wieloryby skończyły śpiewać, winda się zatrzymała. On wyskoczył z niej i przybiegł do mnie do biura. Kiedy skończył opowiadać swoją przygodę, próbowałem go nakłonić, żebyśmy wrócili do omawiania sprawy, z którą przyszedł, ale on zjadł trzy tabletki relanium, potem popił je kilkoma kieliszkami koniaku z mojego barku i zasnął jak zabity. Próbowałem go ocucić, niestety nie udało się.

- On na pewno w końcu się obudzi, dojdzie do siebie i będzie chciał, żebyś prowadził jego sprawę - pocieszała tatę mama. - Może zupełnie nie zwariował, tylko był zwyczajnie zmęczony.

- To nie jest pierwszy szalenciec - odparł tata. - Od pewnego czasu mam wrażenie, że w pracy otaczają mnie sami wariaci. Wszystko zaczęło się drugiego dnia po tym, jak przeprowadziliśmy się do nowego biura. Rano byłem umówiony z klientem oskarżonym o kradzież bel materiałów o wartości kilku milionów złotych z zakładów włókienniczych w Pacanowie. Zapowiadał się wielki proces, w którym bardzo chciałem występować. Do mojego gabinetu wpadł człowiek trzęsący się jak galareta. Nie zauważył nawet, że wyciągnąłem do niego rękę na powitanie i, wyminąwszy mnie, zaczął krążyć po pokoju jak sputnik wokół ziemi. Powtarzał jak katarynka: „Widziałem białą damę, widziałem białą damę”. Chodziłem za nim wokół pokoju, żeby dowiedzieć się, co się stało. W końcu zakręciło mi się w głowie i musiałem usiąść na kanapie. On też się zmęczył, usiadł koło mnie i nadal powtarzał o tej damie. W końcu zamilkł i przez kilka minut siedzieliśmy w ciszy. Niespodziewanie gość wykrzyknął: „O Boże, ona była odziana w materiał, który ukradłem”. Zerwał się z kanapy i zanim go zdążyłem zatrzymać, wybiegł z gabinetu. Spodziewałem się, że wróci, gdy ochłonie, ale niestety zniknął. Dwa dni później przeczytałem w gazecie notatkę, że na policję zgłosił się skruszony przedsiębiorca, który przyznał się do kradzieży kilkuset bel materiału. Takich zdarzeń było jeszcze kilka - kontynuował opowieść tata. - Był u mnie człowiek, który spotkał w windzie konia bez głowy, kobieta, która przeżyła nalot motyli. Opowieściami moich gości mógłbym wypełnić kilka hollywoodzkich scenariuszy.

- Dlaczego nam o tym nie opowiadałeś? - spytała zdziwiona mama.

- Nie chciałem was martwić i myślałem, że to tylko zbieg nieszczęśliwych przypadków, ale dzisiaj miarka się przebrała. Jeśli to fatum się nie skończy, może się okazać, że wkrótce zbankrutujemy.

Chcieliśmy pocieszyć tatę, ale on powiedział, że już więcej na ten temat nie chce rozmawiać. Makaron się ugotował i mama postawiła na stole nową porcję spaghetti.



- O, jest dokładka - ucieszył się Staś.

Przez resztę kolacji zastanawiałam się nad tym, co opowiedział nam tata. Gdy wstawaliśmy od stołu, Staś zaczął pojękiwać, że brzuch go

boli, że czuje się przejezdony i że to wszystko przez nas, bo pozwoliliśmy mu tyle zjeść.

– Może wyjdiesz z psem na spacer – zaproponował tata, którego jeszcze czekała wieczorna przechadzka z Szaszłykiem. – Ruch to najlepszy sposób na przejeżdzenie.

– Co to, to nie – zaprotestował Staś. – Wolę się położyć i pocierpieć w cywilizowanych warunkach, niż uganiać się nocą po dworze. Pamiętasz Winstona Churchilla – przypomniał tacie jednego ze swoich ulubionych polityków. – On nigdy nie skalał swojego ciała sportem, a dożył osiemdziesiątki z okładem i był najwybitniejszym przywódcą dwudziestego wieku.

Pomogłam mamie zbierać naczynia ze stołu, cały czas myśląc o opowieści taty. Podobno jedna osoba na kilka tysięcy cierpi na zaburzenia psychiczne. Zatem niemożliwe było, żeby wszyscy ci chorzy schodzili się do kancelarii taty.

Może to jakiś dowcip, zastanawiałam się. Ktoś mógł wywiesić informację w domu wariatów, że tata udziela bezpłatnych porad prawnych i wszyscy obłąkańcy kierowali się do niego. Tylko kto mógł wymyślić coś takiego? Najbardziej dowcipny kolega taty to wujek Aleksander, ale przecież on był jednocześnie współnikiem taty, więc nie robiłby sobie kłopotów. Zresztą takiego żartu nie dałoby się długo utrzymać w tajemnicy. Gdyby naprawdę wisiało takie ogłoszenie, to prędzej czy później ktoś musiałby o tym tacie powiedzieć. Powód tajemniczych wizyt był inny. Tylko jaki?

Może to robota konkurencji? Często zdarzało się, że klienci umawiali się na rozmowy zarówno z tatą, jak i jego kolegami, i dopiero po tych rozmowach decydowali, którego z nich wybiorą na swojego obrońcę. Zatem konkurentom taty mogło zależeć, żeby jego kancelaria

zbankrutowała. Ale w jaki sposób doprowadziliby do tego, że u taty pojawiali się sami szaleńcy? Uznałam, że ta wersja jest niemożliwa. Jednak po chwili przyszło mi do głowy rozwiązanie zagadki.

Przecież ci ludzie wcale nie musieli być prawdziwymi wariatami. Oni mogli tylko udawać wariatów. Tak, to mogło być wyjaśnienie. Konkurenci mogli zatrudniać aktorów, którzy odgrywali przed tatą te dziwne scenki. Mogli liczyć, że tata tego psychicznie nie wytrzyma, załamie się i zamknie kancelarię.

Już chciałam biec do niego i powiedzieć, że znalazłam rozwiązanie zagadki, gdy naszły mnie wątpliwości. Przecież najwięksi konkurenci taty byli jednocześnie jego przyjaciółmi. Bywali u nas w domu na obiadach, grywali z tatą w brydża, jeździli razem na konferencje naukowe. Czy byliby zdolni do zrobienia tacie takiego świństwa?

Zaczęłam zastanawiać się nad jeszcze innym rozwiązaniem. Przypomniałam sobie film, w którym artysta hipnotyzował w kabarecie osoby z widowni i te wykonywały jego polecenia. On żądał od nich, by dokonywały włamań do mieszkań i przynosiły mu ukradzione łupy, a one to robiły. Tylko, kto by chciał hipnotyzować klientów taty? I po co?

Skończyłam sprzątać po kolacji i postanowiłam o swoich przemyśleniach z kimś porozmawiać. Wspięłam się na drugie piętro i zapukałam do pokoju Tadzika. Stamtąd dochodziły różne odgłosy, ale nikt nie powiedział „proszę”. Niespeszona nacisnęłam klamkę. Tadzik siedział ze słuchawkami na uszach i słuchał na pełny regulator muzyki – nic dziwnego, że nie słyszał, jak pukam. Nie zorientował się nawet, że weszłam. Podeszłam do niego i wyjęłam kabel ze wzmacniacza.

– Przerwałaś mi w najlepszym momencie koncertu. – Tadzik nie wydawał się zadowolony z mojej wizyty.

- Puścisz sobie od początku - powiedziałam. - Teraz musimy porozmawiać. - Opowiedziałam Tadzikowi o moich podejrzeniach, że te wizyty szalonych klientów u taty nie są przypadkowe.

- Ty naprawdę wzięłaś na poważnie tę opowieść? - spytał zdziwiony. - Przecież wiesz, że tata jest urodzonym gawędziarzem. Gawędziarze są podobni do wędkarzy. W relacji wędkarza ryba rośnie do nieprawdopodobnych rozmiarów, a opowieści gawędziarzy rozrastają się, przekraczając granice zdrowego rozsądku. Tak jest z tą opowieścią - przekonywał mnie. - Dwóch czy trzech klientów przyszło pewnie do kancelarii nieco zdenerwowanych, a tata rozbudował całą opowieść, by trzymać w napięciu rodzinę przy kolacji. Pewnie już nawet o tym zapomniał i tobie radzę to samo. A teraz zmiataj, bo chcę wysłuchać do końca.

Tadzik nieco mnie uspokoił, ale postanowiłam wysłuchać opinii drugiego z braci. Stasia zastałam czytającego na kanapie.

- Co myślisz o tej historii, którą opowiedział nam tata? - Chciałam najpierw poznać jego opinię, zanim zacznę opowiadać o swoich przemyśleniach.

- Bardzo pasowała do pysznego makaronu.

- Przestań się wygłupiać - poprosiłam. Żarty brata na temat jedzenia już od dawna przestały mnie bawić.

- Okej - głos Stasia przybrał poważniejszy ton. - Nie wydaje mi się, żeby tata mówił poważnie. Miał ochotę sobie pogadać i, żeby trzymać nas w napięciu, wszystko podkoloryzował. Pewnie przyszedł do niego klient, któremu puściły nerwy, a on zrobił z tego opowieść nadającą się na scenariusz.

Zatem Staś ocenił sytuację tak samo jak Tadzik. Ja nadal nie byłam w pełni przekonana do ich wersji. Uznałam, że jeszcze jest zbyt

wcześnie, by wyciągać ostateczne wnioski. Zdecydowałam się, że przez kilka dni będę podpytywać tatę, co się dzieje u niego w kancelarii. Gdy zgromadzimy więcej danych, okaże się, kto z nas miał rację.



Rozdział III

KLEJNOTY KRÓLOWEJ

Przez parę następnych dni żaden zwariowany klient nie odwiedził kancelarii. Za to tata przyjął nową sprawę i widmo bankructwa chwilowo zniknęło znad naszych głów. Wyglądało na to, że moi bracia mieli rację.

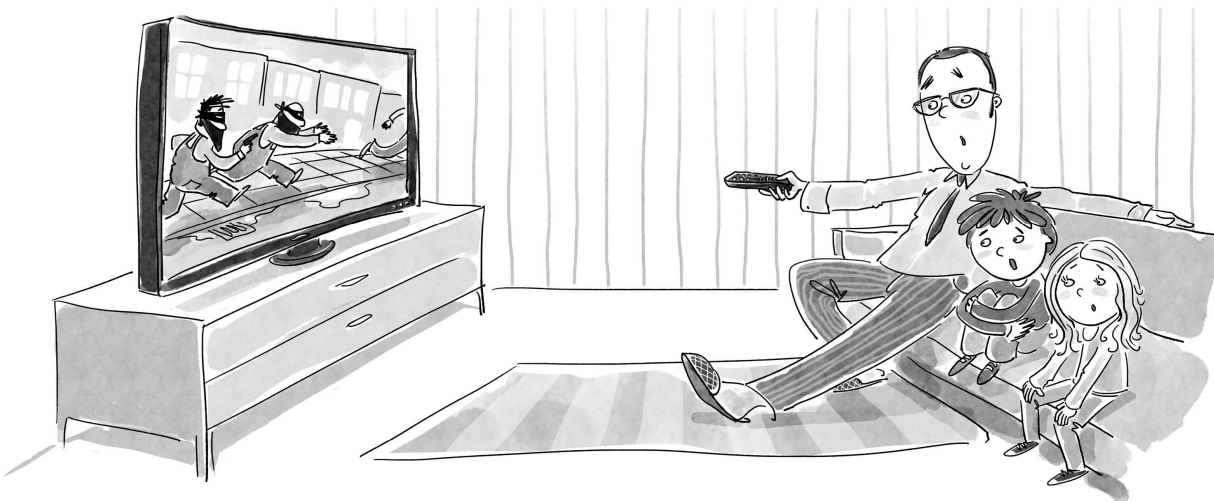
Po południu przyszedł do nas Tytus. To mój najlepszy przyjaciel i najstarszy, jakiego mam. Ja urodziłam się w sierpniu, a on miesiąc po mnie. Nasi rodzice się przyjaźnią. Zanim przyszliśmy na świat,

razem spędzali wakacje, żeglując po różnych morzach. Gdy skończyliśmy rok, zabrali nas na pierwszy wspólny rejs. Od tego czasu tradycyjnie spędzamy wakacje razem pod żaglami.

Dziś Tytus przyszedł do nas w naukowej sprawie. W szkole dostał zadanie przeprowadzenia rozmowy z kimś, kto wykonuje ciekawy zawód i Tytus zdecydował, że porozmawia z moim tatą. Siedzieliśmy i czekaliśmy, aż tata wróci z pracy. Tytus był zdenerwowany przed tą rozmową, więc postanowiłam opowiedzieć mu kilka zabawnych historii o tacie.

Mój ojciec jest dyslektykiem i często myli słowa, z czego wynikają różne nieporozumienia. Mama opowiadała, że jak pojechali do szpitala, kiedy miałam się urodzić, tata, chodząc nerwowo po korytarzu, przeczytał na ścianie informację: „Grupa wsparcia dla rodziców wieśniaków”. Mama nie mogła zrozumieć, o co chodzi i dopiero gdy sama przeczytała, okazało się, że chodziło o „Grupę wsparcia dla rodziców wcześniaków”. Innym razem w restauracji tata zamówił danie „kaczka z czerwonym ryjem”, kelner nie mógł zrozumieć i dopiero gdy zajrzeli do karty, wyjaśniło się, że tata miał na myśli „kaczkę z czerwonym ryżem”. Gdy Tytus śmiał się z anegdoty, przyszła mama i powiedziała, że tata już wrócił. zaproponowała, żebyśmy najpierw razem zjedli obiad.

Zeszliśmy na dół i, widząc tatę oglądającego wiadomości, usiedliśmy obok niego na kanapie. W telewizji relacjonowano wizytę prezydenta Francji w Polsce. Gdy po chwili wstawaliśmy, żeby iść na obiad, na ekranie pojawił się reporter, który opowiadał o sensacyjnej kradzieży klejnotów koronacyjnych królowej brytyjskiej z wystawy w Warszawie. Wiadomość była tak niesłychana, że zamiast iść na obiad, zostaliśmy na kanapie.



Dziennikarz relacjonował, że do kradzieży doszło dwa dni temu, ale policja ukrywała tę wiadomość przed mediami. Ze zdobytych przez stację informacji wynikało, że we wtorek jeszcze przed otwarciem wystawy pod budynek podjechała furgonetka. Wsiadło z niej trzech mężczyzn w strojach hydraulików. Po wejściu do środka bandyci naciągnęli chusty na twarze, sterroryzowali bronią strażników, zabrali najcenniejsze klejnoty i zbiegli. Wartość ich łupu oszacowana została na czterdzieści milionów funtów. Cały napad zarejestrowały kamery zainstalowane w budynku. Oglądaliśmy na nagraniu, jak mężczyźni po wejściu do muzealnego holu wyjmują spod kombinezonów pistolety i zmuszają strażników, żeby położyli się na ziemi. Dwóch napastników ich pilnowało, a trzeci wyjmował z wystawowych gablot klejnoty i wkładał je do woreczka umieszczonego na ramieniu pod kombinezonem. Film kończył się, gdy napastnicy wskoczyli do furgonu zaparkowanego pod muzeum i odjechali z piskiem opon. Z relacji dziennikarza wynikało, że policja jest już na tropie sprawców kradzieży. Po napadzie sprawdzono zapisy ze wszystkich kamer ustawionych na ulicach Warszawy. Na jednym z nich znaleziono nagranie, na którym ta sama furgonetka, która podjechała pod wystawę, zatrzymała się

na światłach przy ulicy Grzybowskiej. Wyskoczył z niej mężczyzna z zasłoniętą twarzą, zaczął uciekać, a kilka sekund później z furgonetki wyskoczyli dwaj również zamaskowani mężczyźni i ruszyli w pościg za nim. Na tym nagranie się kończyło. Z relacji reportera wynikało, że policjantom udało się odnaleźć kolejny film nagrany z kamery miejskiej, na którym było widać mężczyznę ubranego w robotniczy kombinezon idącego szybko chodnikiem. Po goniących go dwóch mężczyznach nie było już śladu. Według dziennikarza dowody wskazywały na to, że w trakcie ucieczki furgonetką z miejsca napadu mężczyzna postanowił okraść swoich współników. Wyskoczył z furgonetki i uciekał z klejnotami, a oni go ścigali. To, że na kolejnym filmie mężczyzna był sam, oznaczało, że udało mu się zgubić pościg. Nagranie kończyło się, gdy mężczyzna wszedł do jednego z biurowców.

Policjanci ustalili, że w biurowcu również są kamery. Na nagraniach z nich odnaleziono fragment, jak mężczyzna w roboczym kombinezonie już bez maski idzie przez hol budynku. Analitykom udało się go zidentyfikować jako bardzo dobrze znanego policji Radzia Szprychę. Jednostki specjalne policji natychmiast pojechały do niego, by go zatrzymać, ale niestety nie było go w domu.

Za zbiegiem rozesłano listy gończe i jest on obecnie najbardziej poszukiwanym człowiekiem w całym kraju. Jednocześnie policjanci analizowali kolejne nagrania z biurowca i odnaleźli zapis, jak po godzinie Radio Szprycha wychodzi z budynku. Nie był już ubrany w roboczy strój, który najpewniej wyrzucił. Nie zauważono też woreczka ze skradzionymi kosztownościami, który wcześniej miał przewieszony przez ramię. Jak twierdził dziennikarz, na obecnym etapie śledztwa policja zakłada, że bandyta przyszedł do biurowca, żeby spotkać się ze swoim współnikiem i przekazać mu skradzione

klejnoty. Obecnie policjanci próbowali ustalić, z kim spotkał się Radzio Szprycha. Zdaniem reportera ustalenie tego nie będzie łatwe, bo w biurowcu ma siedzibę ponad pięćdziesiąt firm, w których pracuje więcej niż tysiąc osób.



– Na bieżąco będziemy państwa informować o dalszych postępach śledztwa – zakończył relację dziennikarz.

– Niesamowite, gwizdnąć klejnoty królowej brytyjskiej warte taką kasę. Ten napad przejdzie do historii jako skok stulecia. Polscy bandyci będą sławni na całym świecie – ocenił wydarzenie Tytus. – Czy w czasie rozmowy mogę cię, wujku, spytać, jaką byś przyjął linię obrony, gdybyś miał bronić tych złodziei?

Spojrzałam na tatę, ale on nie odpowiadał. Był bardzo blady i z trudem łapał powietrze. Przeraziłam się, czy to nie atak serca,

i chciałam wołać na ratunek mamę. Na szczęście tata w końcu wydał z siebie głos:

- Muszę sprawdzić, kiedy to było - wyjął i wyjął kalendarz z teczki. Otworzył go, po czym powiedział, że bardzo nas przeprasza, ale musi natychmiast jechać do biura.

Pierwszy raz w życiu widziałam tatę w takim stanie. Bywał rozkojarzony, czasem o czymś zapominał, ale nigdy wcześniej nie oddychał z trudem i nie wychodził tuż przed obiadem. Było mi też wstyd przed Tytusem, z którym tata najpierw się umówił, a teraz znikł bez wyjaśnienia.

Mama też się zdenerwowała. Przeprosiła Tytusa, nie potrafiła jednak racjonalnie wytłumaczyć, dlaczego tata niespodziewanie opuścił dom. Zaproponowała, żeby Tytus poczekał na niego, bo tata na pewno szybko wróci. Siedliśmy do obiadu i ja, zaintrygowana wiadomościami, które usłyszeliśmy, spytałam mamę, co to za koronacyjne klejnoty królowej brytyjskiej, które skradziono z wystawy. Mama wytłumaczyła mi, że brytyjska królowa Elżbieta II ma przepiękną kolekcję insygniów królewskich i biżuterii, która była zakładana przez nią i poprzednich władców w czasie uroczystości koronacyjnych. Ozdobą kolekcji jest największy na świecie brylant nazywany Cullinan umieszczony w królewskim berle. Na co dzień klejnoty są przechowywane w londyńskim zamku Tower i w pałacu Buckingham. Część tych zbiorów wypożyczona została przez królową na wystawę zorganizowaną w Warszawie.

Przez resztę obiadu rozmawialiśmy o tym, jak wściekła musiała być królowa, gdy dowiedziała się, że ktoś gwizdnął zbiory gromadzone przez kilka pokoleń jej przodków. Po deserze ruszyliśmy z Tytusem do mojego pokoju, by się pobawić i w holu spotkaliśmy wracającego

do domu tatę. Nadal był zdenerwowany, ale wyglądał dużo lepiej niż przed godziną. Przeprosił nas, że wybiegł bez słowa, tłumacząc, że na śmierć zapomniał o umówionym spotkaniu z nowym klientem, na które musiał zdążyć. Następnie wziął Tytusa pod ramię i zabrał do swojego gabinetu. Czekałam, aż skończą rozmawiać, oglądając telewizję w salonie. Po chwili dołączyli do mnie Staś z Tadzikiem, którzy wrócili ze sklepu muzycznego z nową płytą.

– Czy jest tata? – spytał Staś.

– Tak, u siebie, rozmawia z Tytusem.

– Musimy mu powiedzieć, że ktoś obserwuje nasz dom.

– O czym ty mówisz?

– Jak wracaliśmy z Tadzikiem i byliśmy już na naszej ulicy, zadzwoniła do mnie koleżanka – opowiadał Staś. – Staiałem, żeby z nią pogadać, a Tadzik poszedł dalej. Zobaczyłem ciemnogrnatowego opla omegę zaparkowanego na naszej ulicy, a w nim dwóch mężczyzn. Gdy Tadzik ich minął i wchodził przez furtkę, pasażer wyciągnął aparat i zrobił mu zdjęcie.

– Może to przypadek? – starałam się nie wpaść w panikę. – Mogli wtedy przejeżdżać, spodobał się im nasz dom i sfotografowali go, a Tadzik przypadkowo znalazł się w kadrze.

– Też tak pomyślałem. Stałem dalej i rozmawiałem, ale oni nie odjeżdżali. Dla pewności, że to nie przypadek, postanowiłem zrobić eksperyment. Cofnąłem się, by mnie nie widzieli, i zadzwoniłem po Tadzika, by wyszedł z powrotem z domu i spotkał się ze mną za rogiem. Gdy to zrobił, ja podszedłem do furtki, a on obserwował samochód. Pasażer ponownie wyjął aparat i mnie sfotografował. To nie był przypadek.

- Może to paparazzi? - przyszło mi do głowy. Tytus opowiadał mi, jak fotoreporterzy robią z ukrycia zdjęcia jego mamie, która jest znaną prezenterką telewizyjną.

- Na kogo by tu polowali? - Tadzik miał wątpliwości. - Z tego, co wiem, oni czatują na celebrytów, do których nikt w tym domu się nie zalicza.

Przyznałam mu rację. Musiało być inne rozwiązanie tej zagadki. Może ci mężczyźni obserwowali nasz dom, żeby nas okraść? Tylko dlaczego robili chłopcom zdjęcia? Bracia byli zdania, że powinniśmy o tym jak najszybciej opowiedzieć tacie, ja jednak miałam wątpliwości. Tata miał jakiś kłopot i tak dziwnie się dzisiaj zachowywał, że nie powinniśmy obarczać go kolejnym problemem. Mogliśmy sami spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o tych mężczyznach. Najprościej było zapisać numery rejestracyjne samochodu, Tadzik jednak twierdził, że jeśli mieli złe zamiary, to na pewno przyjechali na fałszywych numerach i nie zidentyfikujemy ich w ten sposób. Staś zaproponował, żebyśmy teraz my zrobili im zdjęcia, a potem ich śledzili i w ten sposób dowiemy się, kim są.

- Tylko jak ich śledzić, skoro to oni nas obserwują? Dopóki nie skończą, nie ruszą się stąd - odparł Tadzik.

- Zmusimy ich do odwrotu - zaproponował Staś i przedstawił nam szczegóły swojego pomysłu. Zgodziliśmy się. Gdy wychodziliśmy z domu, w salonie pojawił się Tytus.

- Dokąd idziecie?

- Będziemy śledzić mężczyzn, którzy nas obserwują. Chodź z nami, może być dobra zabawa - zaproponował Tadzik.

Rozdzieliliśmy się. Chłopcy zbiegli na dół do garażu, a ja z koszykiem w ręku wyszłam głównym wyjściem. Odnalazłam opla

omegę i podeszłam do niego. W środku samochodu siedziało dwóch mężczyzn. Gdy zorientowali się, że do nich idę, zaczęli udawać, że drzemią. Zatrzymałam się więc przed drzwiami i zastukałam w szybę. Nie poruszyli się. Niespeszona zastukałam mocniej. Nadal brak reakcji, wyglądało na to, że mogę tak stukać, aż się ściemni. Wpadłam na inny pomysł.

– Czy tym panom nic się nie stało? – spytałam głośno. Nadal brak reakcji. – Mój Boże, oni zasłabli! Ratunku, na pomoc! – zaczęłam krzyczeć. Mężczyźni przestraszyli się i w końcu dali za wygraną. Otworzyli oczy i wpatrywali się we mnie z nie najmądrzejszymi minami. Ponownie zastukałam, a jeden z nich opuścił szybę. Teraz widziałam ich lepiej. O dziwo, mieli budzące zaufanie twarze i nie wyglądali na opryszków. Nie dałam się jednak zwieść ich wyglądowi. Gdyby oszust wyglądał na oszusta, to nie mógłby nikogo oszukać, bo każdy by wiedział, że to oszust i by się pilnował. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, po czym mężczyzna spytał:

– Zgubiłaś się, dziewczynko?

– Nie, proszę pana. Przyszłam sprzedać panom ciastka. Upiekliśmy je w szkole, w ten sposób zarabiamy na remont szkolnej biblioteki.

– Nie jesteśmy głodni – próbował mnie zbyć mężczyzna.

– Panowie nie wierzycie, że to na remont? Zawołam mamę, a ona potwierdzi – zaproponowałam. Po ich minach widziałam, że perspektywa spotkania z mamą nie była po ich myśli.



- Dobrze, kupimy - zgodził się kierowca i wziął z koszyka dwie babeczki, które zabrałam z kuchni, wychodząc z domu.

- Jesteście pierwsi, którzy kupili moje wypieki. Muszę uczcić to wydarzenie zdjęciem do gazetki szkolnej.

Sięgnęłam po aparat, żeby im zrobić zdjęcie. Mężczyźni zasłonili twarze. A następnie błyskawicznie włączyli silnik i odjechali. Nie spostrzegli jednak, że za nimi na desce jechał Tadzik, trzymając się zderzaka. Skręcili w prawo i straciłam ich z oczu.

Tego, co się potem działo, dowiedziałam się z relacji braci. Za zakrętem przeciął im drogę rowerzysta, zmuszając samochód do zahamowania. Gdy przyśpieszyli i dojechali do końca ulicy, przed nimi pojawił się chłopiec na deskorolce. Nie szło mu najlepiej i musieli się ponownie zatrzymać. Kiedy samochód przejechał kolejny kawałek, przed jego maską pojawił się kolejny rowerzysta, któremu sznurowadła zaplątały się w łańcuch. Samochód ponownie musiał czekać, aż zwolni

mu drogę. Pewnie zastanawiacie się, co to za dzielnica, gdzie mieszkają same niezdary. Otóż to wszystko było przez nas zaplanowane.

Chłopcy, śledząc mężczyzn na rowerach i na deskorolce, na przemian blokowali drogę, żeby móc za nimi nadążyć. Plan się powiódł i udało się ustalić, dokąd jechali mężczyźni. Samochód zatrzymał się pod komendą policji.

Takiego finału się nie spodziewaliśmy. Zakładaliśmy przecież, że ci panowie mają jakieś złe zamiary, ale to nie było możliwe, żeby ktoś taki sam dobrowolnie jechał na policję. Mężczyźni weszli na schody komendy i chłopcy chcieli iść za nimi, żeby dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Nie zdążyli, bo przed wejściem do tych mężczyzn podeszli dwaj umundurowani policjanci i przywitali się z nimi serdecznie. Z ich rozmowy wynikało, że tamci też są policjantami. Gdy chłopcy wrócili, mieliśmy twarde orzech do zgryzienia, zastanawiając się, dlaczego nasz dom jest obserwowany przez policję i dlaczego policjanci tak się przestraszyli, gdy chciałam ich sfotografować.



Rozdział IV

TAJEMNICZA WYPRAWA

Następny dzień był słoneczny. Poszłam do szkoły w letniej sukience z krótkim rękawem. Przypomniały mi się minione wakacje, które jak co roku spędziliśmy z Tytusem i naszymi rodzicami. Tak sobie wspominając, weszłam na dziedziniec szkoły, gdzie spotkałam Tytusa. Nie udało nam się pogadać, bo od razu rozległ się dzwonek na lekcje. Za to na długiej przerwie wyszliśmy na zewnątrz i usiedliśmy na trawie. Na moją dłoń przyfrunęła biedronka. Nim zdążyłam policzyć jej kropki, odleciała.

– Bardzo trudno być biedronką – poinformowałam Tytusa.

Musiały go zainteresować moje filozoficzne przemyślenia, bo podniósł głowę i spojrzał na mnie pytająco swoimi błękitnymi oczami.



– Bo wszyscy ci liczą kropki. Dużo kropek oznacza, że będzie się miało szczęście, a jeśli biedronka ma za mało kropek, ludzie mają do niej pretensje.

– Tak, za marzeniami trudno nadążyć – przytaknął Tytus.

Z Tytusem często rozumiemy się bez słów. On jest dla mnie jak brat bliźniak. Śmiesznie to brzmi, jeśli ma się trzech prawdziwych braci, których się bardzo kocha. Tylko oni są dużo starsi ode mnie i nie traktują mnie poważnie, raczej jak małą zwariowaną siostrzyczkę. Z Tytusem znamy się od urodzenia. Mamy taką śmieszna wspólną fotografię zrobioną, kiedy mieliśmy po trzy lata, trzymamy się za ręce i wychodzimy bardzo dumni z siebie z lasu. To zdjęcie zrobił tata Tytusa, kiedy byliśmy na wakacjach nad Jeziorakiem. Rodzice zabrali nas wtedy na wyprawę na grzyby. Oni byli zajęci zbieraniem grzybów, a my rozmową o ślimakach i zgubiliśmy się. Wzięliśmy się wtedy za ręce i ruszyliśmy szukać wyjścia z lasu. Udało nam się i trafiliśmy wprost na rodziców.

Po powrocie z wakacji razem z Tytusem poszliśmy do jednego przedszkola. A teraz chodzimy do tej samej szkoły.

W pierwszej klasie siedzieliśmy razem w ławce w pierwszym rzędzie naprzeciwko pani, ale wynikły z tego kłopoty. Oboje bardzo

dużo czytamy, to znaczy wtedy jeszcze rodzice nam czytali, a teraz już czytamy sami. Kiedy pani omawiała jakąś książkę, okazywało się, że my już ją znamy. Na jednej z lekcji zaczęliśmy z Tytusem wymieniać nasze wrażenia o omawianej lekturze. Panią to zdenerwowało, i zwróciła nam uwagę, że jej przeszkadzamy. Przestaliśmy gadać, ale nudziliśmy się, bo wiedzieliśmy to wszystko, o czym mówiła. Wpadliśmy wtedy na pomysł nowej zabawy. Zaczepialiśmy się pod ławką nogami i próbowaliśmy ściągnąć przeciwnika z krzesła pod ławkę. Po kilku takich sytuacjach pani nas rozsadziła.

Teraz siedzimy osobno i możemy gadać tylko na przerwach. Dziś zamierzałam z Tytusem porozmawiać o dziwnych sytuacjach z ostatnich dni. Opowiedziałam mu, że wczorajsi policjanci pod naszym domem to niejedno dziwne wydarzenie, jakie przytrafiło się w ostatnim czasie w naszym życiu. Dodałam także to, jak tatę, od czasu kiedy przeniósł się do nowego biura, zaczęli odwiedzać przeróżni szaleńcy. Tytus uważnie mnie wysłuchał i przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedziałam. W końcu spytał:

– Czy widzisz jakiś związek pomiędzy wizytami szalonych klientów u taty a tym, że pod waszym domem była wczoraj policja?

Ja na ogół nie wierzę w przypadki. Jednak według mnie te sprawy w żaden sposób się nie wiązały, łączyło je tylko to, że obie były niezwykle. Zdarzyły się w tym samym czasie i dotyczyły naszej rodziny. Niestety nie potrafiłam ich w żaden sposób powiązać ze sobą. Zadzwoił dzwonek na koniec przerwy i musieliśmy iść do klasy. Myślałam, że wrócimy do tej rozmowy po lekcjach, ale niestety Tytus się śpieszył. Zostałam po szkole ze swoimi myślami sama.

Szybko doszłam do wniosku, że aby znaleźć rozwiązanie zagadki, powinnam mieć więcej informacji. Dziwne zdarzenia zaczęły się w

biurze taty i tam powinnam poszukać ich przyczyny. Zdecydowałam, że nie ma co tego odkładać na później i wybiorę się tam jeszcze dziś. Zostawiłam w domu torbę z książkami, zabrałam ze sobą Szaszłyka i wyruszyłam do kancelarii taty. Po drodze wymyśliłam, w jaki sposób mogę poobserwować, co tam się dzieje, nie będąc zauważona przez tatę i jego współpracowników.

Kiedyś w naszym domu w gabinecie taty stała duża kanapa. Lubiłam chować się za nią i podglądać, co robi tata. Zdarzało się, że gdy byłam za nią ukryta, to do taty przychodzili klienci. Wtedy słyszałam ich rozmowy. Wiedziałam, że muszę siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, bo gdyby tata mnie znalazł, odesłałby mnie na górę. Na szczęście nigdy mnie nie nakrył i do dziś nikt nie wie o tej mojej zabawie. Tę kanapę tata zabrał ze sobą do nowego biura.

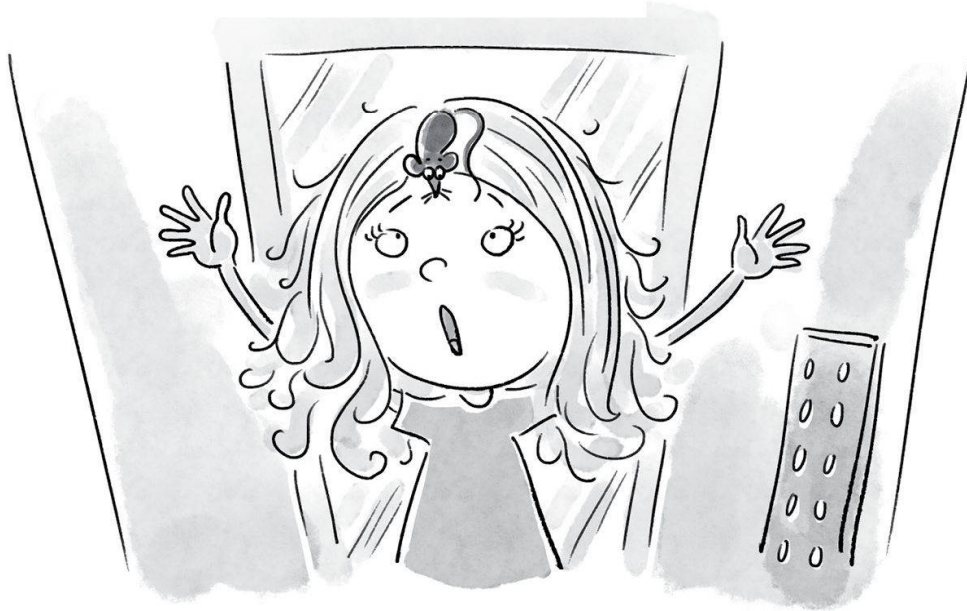
Wymyśliłam, że niepostrzeżenie wkradnę się do jego gabinetu, schowam za nią i poobserwuję, co się tam dzieje. W holu biurowca siedział portier, który zwykł pytać, do kogo się przychodzi. Żeby więc wejść do taty, musiałam zająć czymś uwagę tego strażnika. Podeszliśmy z Szaszłykiem do wejścia, szepnęłam psu do ucha „spacer” i otworzyłam drzwi. Szaszłyk wbiegł do środka i jak zawsze przed spacerem złapał do pyska smycz i zaczął z nią tańczyć swój wariacki taniec. Zobaczywszy to, portier nie wiedział, co się dzieje. Przez kilka sekund wpatrywał się w tańczącego psa, po czym zerwał się z krzesła i podbiegł do Szaszłyka. Pies ucieszył się, że portier chce się z nim pobawić i, trzymając smycz w pysku, zaczął biegać po holu. Portier go ścigał i recepcja została przez chwilę pusta. Na ten moment czekałam.



Weszłam do środka i niezauważona pobiegłam do windy.

– Uff – odetchnęłam z ulgą, gdy jej drzwi zasunęły się za mną. Spojrzałam w lustro, żeby poprawić włosy, i wtedy zobaczyłam coś, co mnie przeraziło.

Każdy ma jakieś lęki. Jedni boją się chodzić nocą na cmentarz, inni wpadają w panikę, kiedy mają się wspiąć na najmniejszą nawet górę, jeszcze innych ogarnia histeria, gdy zanurzają się choćby po kolana w wodzie. Ktoś może bać się lwa, jadowitego skorpiona albo węża. Ja najbardziej na świecie boję się myszy. Wszyscy pewnie z przymrużeniem oka czytacie legendę o królu Popielu, którego zjadły myszy, dla mnie ta opowieść brzmi jak najgorszy horror. Na samą myśl, że mogłabym się znaleźć w jednym pomieszczeniu z myszą, nawet taką łagodną, przechodzą mnie ciarki. Już jako dziecko miałam z tym problem, gdy moi rówieśnicy zachwycali się Kaczorem Donaldem, Psem Goofym i Myszka Miki, a ja na widok tej ostatniej dostawałam histerii.



Teraz gdy spojrzałam w lustro, zobaczyłam, że na mojej głowie siedzi mysz i nie była to taka mała niewinna myszka, ale monstrualnie wielka mysz, z wielkimi zębami i szerokim uśmiechem na pysku. Siedziała na mojej głowie i widząc, jak się przeraziłam na jej widok, aż zatarła łapki z radości. Zaczęłam krzyczeć tak przeraźliwie, jakby mnie obdzierali ze skóry. Próbowałam ją zrzucić z głowy i jak obłąkana, machając rękoma, miotałam się po windzie. Mimo że uderzałam w mysz ze wszystkich sił, ona trwała na swoim stanowisku, czyli na mojej głowie. Gdy winda się zatrzymała, wyskoczyłam na zewnątrz.



Rozdział V

TAJEMNICA GRYZONIA

Biegłam długim korytarzem, machając rękoma w nadziei, że uda mi się zrzucić mysz. W połowie korytarza zorientowałam się, że zachowuję

się bardzo podobnie do tych klientów taty, o których opowiadał. Oni zachowywali się jak szaleńcy, twierdząc, że widzą węże, wieloryby i inne przedziwne stwory. Ja tak samo z powodu wyrosniętej myszy ganiałam po korytarzu. Tyle tylko, że ona istniała naprawdę, bo widziałam ją w lustrze. Postanowiłam zastanowić się nad tym później, teraz musiałam poradzić sobie z tym gryzoniem.

Dostrzegłam drzwi do łazienki, wpadłam do niej i spojrzałam w lustro. Na mojej głowie niczego nie było. Musiałam zrzucić tę mysz, kiedy biegłam, więc pewnie spadła na podłogę w korytarzu. Wyjrzałam na zewnątrz, ale tam po myszy też nie było ani śladu. Zniknęła, a ja odetchnęłam z ulgą szczęśliwa, że niebezpieczeństwo minęło. Ostrożnie podeszłam do szklanych drzwi kancelarii taty i przez przerwę w matowej folii przyklejonej do szyby zajrzałam do środka. Zobaczyłam panią Basię, sekretarkę siedzącą na krześle w recepcji. Z sekretariatu prowadziły drzwi do gabinetu ojca, żeby więc zrealizować swój plan, musiałam niepostrzeżenie przejść przez sekretariat i wślizgnąć się do gabinetu. Nie wiedziałam jednak, czy tata jest w środku. Wyjęłam z kieszeni telefon i zadzwoniłam.

– Cześć, tatusiu.

– Cześć, skarbie.

– Stęskniłam się za tobą, dlatego dzwonię dowiedzieć się, co robisz.

– Jestem w restauracji, wyskoczyłem z klientem coś zjeść, ale zaraz wracam do biura.

– Jeśli jecie, nie będę ci przeszkadzać – szybko zakończyłam rozmowę.

Żeby dostać się do gabinetu, musiałam poczekać, aż pani Basia wyjdzie na chwilę z recepcji. Gdy spostrzegłam, że weszła do pomieszczenia, gdzie są kserokopiarki, przebiegłam przez sekretariat

i wskoczyłam do gabinetu taty. Schowałam się za kanapą i czekałam na rozwój wydarzeń. Po kilku minutach wrócił tata, usiadł za biurkiem i zaczął czytać akta. Na szczęście już po kwadransie coś zaczęło się dziać.

– Tam były węże. Chciały mnie zadusić. Muszę do mojego adwokata.

– Usłyszałam podniesiony męski głos dochodzący z sekretariatu.

– Pan nie może tam wejść bez zapowiedzi – protestowała pani Basia.

Drzwi się otworzyły i do gabinetu wpadł mężczyzna około pięćdziesiątki o jasnych długich zmierzwionych włosach, ubrany w ciemny jedwabny garnitur. Mężczyzna zaciskał ręce na własnej szyi, był purpurowy na twarzy, a z jego zachrypniętego gardła dochodził krzyk przechodzący chwilami w charkot:

– Węże. Duszą mnie węże. Niech pan pomoże, mecenasie.



Widząc niezapowiedzianego gościa, tata wstał zza biurka.

– Witam, panie Kozłowski. O jakim wężu pan mówi?

– O tych dwóch gigantycznych zaciśniętych wokół mojej szyi. Mecnasie, niech pan coś zrobi, bo mnie uduszą!

– Niech pan przestanie histeryzować. Na panu nie ma żadnych węży – uspakajał gościa tata. Ujął go mocno pod ramię i doprowadził do wiszącego w rogu pokoju lustra. – Niech pan się sam przekona.

Mężczyzna zobaczył, że nie ma na nim węży. Rozluźnił zaciśnięte na własnej szyi ręce i zaczął nerwowo dotykać swojego ciała.

– Rzeczywiście nie ma – przyznał. – Gdzie one się zgubiły?

- Nie było żadnych węży, to tylko pana wyobraźnia - przekonywał go tata.

- Jak to nie było?! - obruszył się gość. - Widziałem je w windzie w lustrze na własne oczy. Dwa gigantyczne węże zaciśnięte wokół mojej szyi. Jak pan mi może nie wierzyć? Może pan myśli, że zwariowałem?!

Aby uspokoić gościa, tata wziął go pod ramię i podprowadził do fotela.

- Niech pan pomyśli, że to był zły sen i postara się o nim jak najszybciej zapomnieć. Skoncentrujemy się na przygotowaniu linii obrony. Termin pana rozprawy jest wyznaczony za tydzień.

- Nie, nie chcę już się bronić. To, co się wydarzyło, to był znak z nieba, że jak się nie przyznam, spotka mnie kara i zostanę uduszony przez węże. Muszę odpokutować za to, co zrobiłem, za swoje grzechy, choćby nawet w więzieniu. Za kradzież kilku gramofonów nie dostanę dużo. Żegnam, mecenasie.

Gdy wyszedł, zaczęłam analizować to, co usłyszałam. Wersja z karą boską nie przekonywała mnie. Ciekawe było to, że węże pojawiły się w windzie, gdy mężczyzna spojrział w lustro. Gdy wyszedł z windy, węże w tajemniczych okolicznościach zniknęły. Jakby rozplynęły się w powietrzu. To przypomniało mi moją przygodę z myszą. Wtedy wszystko odbyło się prawie identycznie. Tak samo było w pozostałych przypadkach, o których opowiadał tata. Zawsze zjawy ukazywały się klientom w windzie, a po wyjściu z niej znikwały. Zatem klucz do rozwiązania zagadki powinien znajdować się w windzie. Jeśli chciałam wyjaśnić, skąd pojawiały się węże, myszy i wieloryby, musiałam tam wrócić.

Aż się wzdrygnęłam ze strachu na samą myśl o tym. Za żadne skarby świata nie chciałabym zobaczyć tej przerażającej myszy

ponownie na mojej głowie. Zdecydowałam, że zejść schodami i poproszę braci, żeby wrócili tu razem ze mną. Najpierw jednak musiałam poczekać, aż tata wyjdzie z gabinetu, a wtedy pojawił się nowy gość. Tatę wpadł odwiedzić jego wspólnik, wujek Aleksander, który ma swój gabinet obok.

- Co to były za hałasy? - dopytywał się

- Kolejny klient zwariował. Dziś przyczyną był atak węży. To jakaś klątwa wisząca nad kancelarią. - Tata sprawiał wrażenie zrezygnowanego. - To nie jest zresztą nasz jedyny kłopot - dodał po chwili. - Może się okazać, że zostanę głównym podejrzanym największej afery kryminalnej dwudziestego pierwszego wieku.



- O czym ty mówisz?

- W zeszły piątek przyszedł tu Radzio Szprycha, mój dawny klient. Powinieneś go pamiętać. Bronilem go w sprawie kradzieży

w wodociągach miejskich. Został wtedy uniewinniony.

– Przypominam sobie – potwierdził wujek. – Czy to nie ten sam Radzio Szprycha, którego policja poszukuje w związku z kradzieżą klejnotów królowej brytyjskiej? Słyszałem o tym w telewizji.

– Tak, ten sam. Policja uważa, że po napadzie miał spotkać się z paserem i przekazać mu zrabowane klejnoty. Problem polega na tym, że zaraz po napadzie on był u mnie.

– O rany! – wyrwało się wujkowi. – Przyniósł ci klejnoty królowej brytyjskiej?

– Zwariowałeś? – obruszył się tata. – Nie powiedział mi nawet, że je ukradł. Przyszedł niezapowiedziany i poprosił, żebym udzielił mu porady w jakiejś błahej sprawie. Starym klientom się nie odmawia, porozmawialiśmy i poszedł. O żadnych klejnotach nie było nawet mowy. Kiedy zobaczyłem w telewizji reportaż o napadzie, przyjechałem do kancelarii sprawdzić, czy on tych klejnotów u nas nie schował. Przeszukałem wszystkie pomieszczenia, ale na szczęście ich nie było. Policja wie jednak, do którego budynku on wszedł i wkrótce ustalą, że był u mnie. Obawiam się, że tak łatwo nie uwierzą w moje wyjaśnienia.

– Nie byłoby lepiej, gdybyś sam ich o tym zawiadomił? – Wujek podpowiedział tacie wyjście z tej sytuacji.

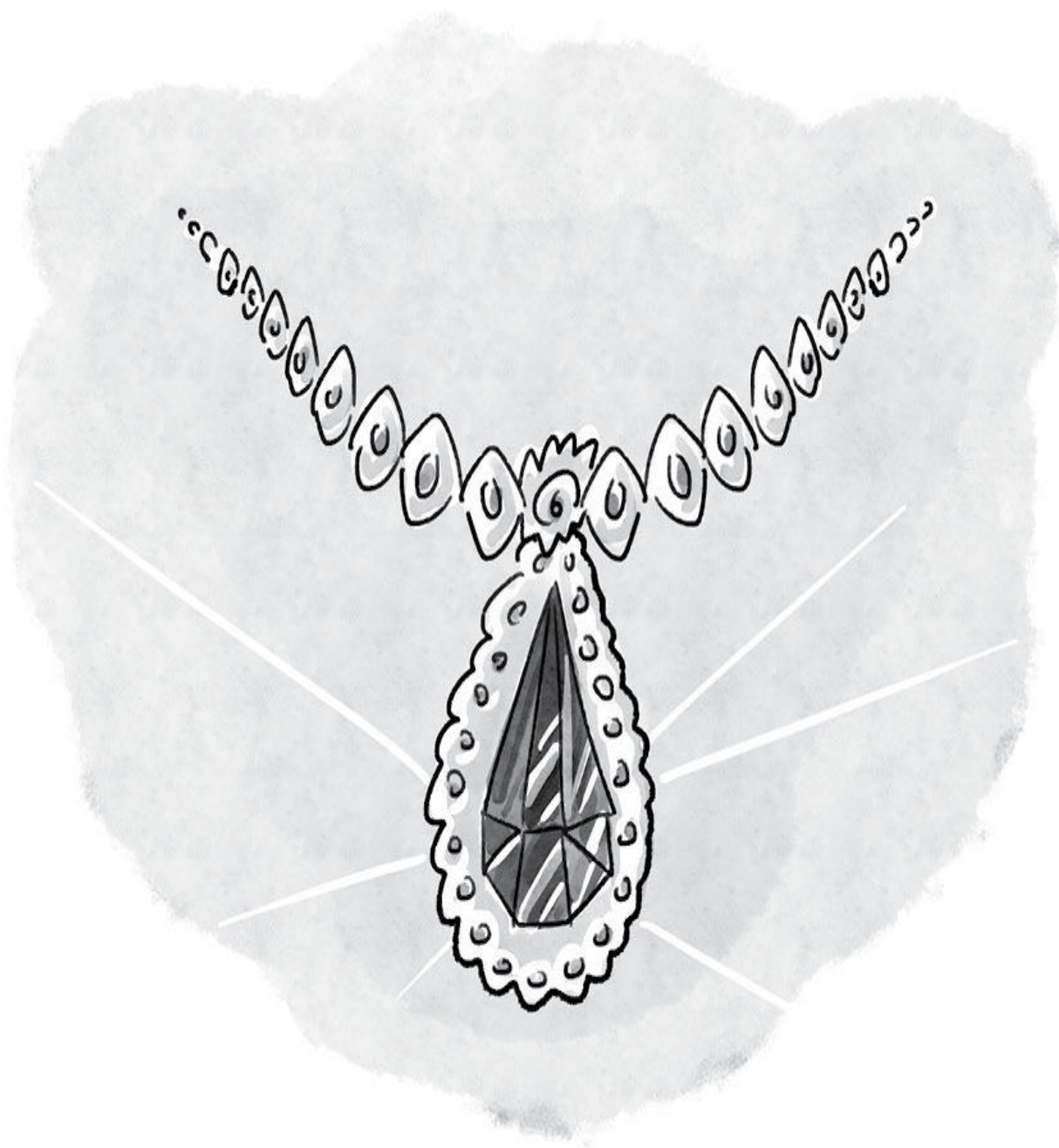
– Oczywiście, że tak. Tyle tylko, że nie mogę tego zrobić. Jestem jego adwokatem i nie mogę składać zeznań obciążających swojego klienta.

– Co zrobimy?

– Muszę poczekać, aż policja sama się do mnie zgłosi. Mam nadzieję, że uwierzą w moją wersję, bo inaczej nie chciałbym być w swojej skórze.

Po tym, co usłyszałam, wydarzenia ostatnich dni zaczęły mi się układać w logiczną całość. To dlatego tata po obejrzeniu wiadomości zrobił się cały blady i, zostawiwszy Tytusa, pojechał do biura. Zrozumiałam też, skąd mogli się wziąć policjanci obserwujący nasz dom. Ustalili, że Radzio Szprycha po napadzie spotkał się z tatą, więc teraz śledzili tatę. Pewnie mieli nadzieję, że on doprowadzi ich do Radzia Szprychy i skradzionych klejnotów.

Do gabinetu weszła pani Basia, by powiedzieć, że do wujka Aleksandra dzwoni klient. Wujek wrócił do siebie, a tata poszedł za nim. Po ich wyjściu wymknęłam się z kancelarii i po schodach zbiegłam na sam dół.



Rozdział VI

PODRÓŻ DO GÓRY

Szaszłyk, gryząc smycz, czekał przed budynkiem. Na mój widok zerwał się i odtańczył swój taniec. Pozwoliłam mu się wyszaleć,

aż trochę opadł z sił, po czym złapałam obśliniony koniec smyczy, wytarłam go chusteczką i biegiem wróciliśmy do domu. Tam od razu poszłam na drugie piętro opowiedzieć chłopcom, czego dowiedziałam się w kancelarii taty.

Oni jednak nie uwierzyli w ani jedno moje słowo. Staś powiedział, że powinnam chodzić na warsztaty pisarskie, bo mam wyobraźnię godną Juliusza Verne'a. Zastanawiałam się, jak ich przekonać, że mówię prawdę. Na szczęście usłyszeliśmy z dołu, że tata wrócił. Teraz wystarczyło zapytać tatę o parę szczegółów z dzisiejszego dnia i gdyby się pokrywały z moją opowieścią, toby oznaczało, że niczego nie zmyśliłam. Bracia zgodzili się na taki test.

Tata siedział w salonie na kanapie i był smutny. Zazwyczaj bywa uśmiechnięty, zatem jego ponura mina już sama w sobie potwierdzała, że wszystko, co powiedziałam, jest prawdą.

– Cześć, tatusiu. Miałeś dziś jakichś klientów?

– Tak. Kolejnego szaleńca. Twierdził, że zaatakowały go węże. Uznał to za znak od Boga i poszedł na policję. Mam wrażenie, że pracuję w cyrku, a nie w kancelarii.

– Czy wam to wystarczy? – spytałam szeptem Stasia.

– Nie, o tym mógł ci powiedzieć przez telefon, a resztę mogłaś zmyślić. Teraz ja go spytam. Tato, czy znasz Radzia Szprychę?

Złapałam się za głowę. Co mój brat wyprawia? Nie powinien pytać wprost, bo zaraz tata nabierze podejrzeń. Miałam rację. Tata, zamiast odpowiedzieć, zaczął wypytywać Stasia, skąd wie o Radziu Szprysze.

– Słyszałem o nim w telewizji. I ciekaw jestem, czy się z nim kiedyś zetknąłeś.

Staś sprytnie wybrnął z opresji. Uspokojony tata potwierdził, że bronił go w sprawie kradzieży w wodociągach miejskich.

- Udało mi się wtedy wykazać przed sądem, że psu tropiącemu, który doprowadził policjantów do mieszkania Radzia Szprychy, w sposób nieprawidłowy podano próbkę z zapachami i ten dowód był nieważny. Policja nie miała innych dowodów i Radzio Szprycha został uniewinniony.

Widziałam, że Staś szykuje się do zadania kolejnego pytania, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi i tata poszedł otworzyć. Listonosz przyniósł tacie wezwanie na policję za trzy dni. To był najlepszy dowód, że mówiłam prawdę, jednak wcale nie byłam zadowolona z takiego stanu rzeczy. Teraz wszyscy uświadomiliśmy sobie, że tata jest w prawdziwych tarapatach. Ojciec po odebraniu przesyłki zszedł od razu do swojego gabinetu. Zostaliśmy sami w salonie, zastanawiając się, co mamy robić. Wiedzieliśmy, że możemy mu pomagać tylko w tajemnicy przed nim, bo on nigdy się nie godził, byśmy mieszały się do jego spraw.

Po krótkiej naradzie doszliśmy do wniosku, że powinniśmy zacząć od sprawdzenia, co dzieje się w windzie, bo dzięki temu mogliśmy ustalić, czy to miało jakiś związek z wizytą Radzia Szprychy u taty. Mieliśmy zaledwie trzy dni na rozwiązanie wszystkich zagadek, zanim tata uda się na policję. Postanowiliśmy więc pójść tam jeszcze dziś.

Wyprowadziliśmy z garażu rowery i pojechaliśmy do biura. Tym razem nie musieliśmy ukrywać się przed portierem. Powiedziałam, że przyjechaliśmy po książkę, którą zostawiłam u taty w biurze. Po drodze do windy Staś zastanawiał się, co może powodować, że na osoby jadące windą napadają różne stwory.

- To typowe przykłady omamów. Najczęściej są spowodowane chorobą, wysoką gorączką albo chorobą psychiczną. Niemożliwe jednak, by wszyscy goście taty byli psychicznie chorzy. Weźmy Helę. Ma głowę w najlepszym porządku i nie miała gorączki. Zatem przyczyna

musi być inna – analizował Staś. – Prawdopodobnie te wizje zostały wywołane sztucznie. Widzę trzy możliwości. Pierwsza to hipnoza. Jednak ją wykluczam, bo jak hipnotyzer ukryłby się w windzie? Druga to triki techniczne, za pomocą których ktoś wywoływał wrażenie, że pasażerów windy atakują stwory. No i trzecia możliwość to środki halucynogenne, które wywoływałyby u jadących omamy. Nie mam jednak pojęcia, po co ktoś miałby to robić. Na wszelki wypadek gdyby działo się coś dziwnego, zasłońcie usta chusteczką.

Akurat gdy Staś skończył swoje wywody, drzwi windy się otworzyły. Po wejściu uważnie rozglądałam się po wnętrzu. Od mojej ostatniej wizyty nic się tu nie zmieniło. Metalowa klatka, w niej tablica z przyciskami poszczególnych pięter i na ścianie duże lustro. Drzwi zamknęły się za nami, Tadzik wcisnął szesnaste piętro i winda ruszyła. Przez trzy pierwsze piętra podróż upłynęła spokojnie. Na czwartym w windzie pojawił się krokodyl. Był wysoki, przystojny, stał na dwóch łapach, miał zieloną marynarkę w kolorze własnej skóry, granatową muszkę w białe grochy, na głowie czapkę pilotkę, a na oczach gogle.

– Puścili środki halucynogenne – stwierdził Staś i przytknął chusteczkę do ust. Krokodyl, który dotychczas się do nas uśmiechał, znenacka otworzył paszczę, ukazując rząd wielkich i ostrych jak gwoździe zębów. Wydał z siebie straszliwy odgłos, aż przeszły po nas ciarki, i rzucił się do ataku na Tadzika. Jego zęby w błyskawicznym tempie znalazły się przy szyi Tadzia. Wydawało się, że mojego brata już nic nie jest w stanie ocalić. Odwróciłam głowę od lustra, przy którym stał krokodyl i spojrzałam bezpośrednio na Tadzika. Krokodyla przy nim nie było. Spojrzałam ponownie w kierunku lustra. Krokodyl rozwierał paszczę, szykując się do ataku. Zrozumiałam, co się dzieje. Wszystko, co widzieliśmy, odbywało się na tafli lustra, ale obraz był tak

realistyczny i połączony z dźwiękiem, że wszystkim się wydawało, że to się dzieje w środku windy. Ze mną i z myszą musiało być identycznie, ona istniała tylko na tafli lustra, a moja wyobraźnia wykreowała ją na mysz rzeczywistą. Najprawdopodobniej więc lustro było ekranem, na którym puszczano zwariowany film. Pewnie z jednej ukrytej kamery kręcono nas, a potem na ten obraz nakładano drugi film z krokodylem i puszczano na ekranie imitującym lustro.



Tylko kto i po co to robił? Na to pytanie nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi. Postanowiłam zdobyć dowód tego, co tu się działo, i zrobić zdjęcie obrazowi w lustrze. Wyjęłam telefon. W tym momencie sytuacja w windzie się zmieniła. Krokodyl stał się niewyraźny, mglisty, po czym zamienił się w hipopotama, eleganckiego, ubranego w smoking, z białym jedwabnym szalem owiniętym wokół szyi, i w cylindrze. Uśmiechnął się do nas, uchylił cylindra, po czym rozwarł szczękę,

ukazując las wielkich zębów, przy których użębienie krokodyła było jak przepiórcze jajo przy jajku dinozaura. Po sekundzie obraz hipopotama również stał się niewyraźny, jakby za mgłą. Czyżby miał się pojawić kolejny zwierzak z jeszcze większą szczęką? Gdy obraz hipopotama zniknął, dostrzegłam na lustrze małe zgrubienie, jakby coś poruszało się po jego tafli.

Wyciągnęłam przed siebie rękę, złapałam za to coś i szarpnęłam. To, co złapałam, nie chciało się dać oderwać od szyby, ale w końcu udało mi się. Trzymałam jasnoszarą masę przypominającą nieco rozwodnionego żelka z dwoma szeroko otwartymi ze strachu oczami. To coś przelewało mi się przez palce jak galareta. Nie wytrzymałam i zaczęłam z przerażenia krzyżeć. Staś z Tadzikiem nie pozostali w tyle i też zaczęli się drzeć wniebogłosy. To, co miałam w ręku, było tak samo przestraszone i krzychało równie głośno. W końcu udało się nam wszystkim uspokoić i zamilkliśmy. W windzie zapanowała niezręczna cisza.

– Kim jesteś? – spytałam mazistą galaretę na moim ręku.

Maż przez chwilę milczała, zastanawiając się pewnie, co robić, po czym odpowiedziała:

– Jestem duchem lustra. Wypuść mnie, proszę.



Kompletnie mnie zaskoczyła ta odpowiedź. Bardzo często, jak widzimy coś dziwnego, pytamy się, co to jest, ale tak naprawdę nie liczymy na odpowiedź. Wyobraźcie sobie, że o zmierzchu idziecie do lasu, w którym nagle pojawia się mgła, nic nie widać i wkoło robi się strasznie. Żeby dodać sobie odwagi, zadajecie sobie pytanie: „Co to za mgła?”, ale wcale nie spodziewacie się, że mgła odpowie. Sami sobie wtedy tłumaczycie, że to tylko mgła, zupełnie normalne zjawisko w przyrodzie, że nie ma się czego bać i tak gadając ze sobą, szukacie wyjścia z lasu.

No a wyobraźcie sobie, że ta mgła niespodziewanie by odpowiedziała. Można po prostu zwariować ze strachu, bo kto się spodziewa, że mgła mu odpowie. Jak to sobie wyobrazicie, to uświadomicie sobie, w jakiej ja znalazłam się sytuacji. Wsiadłam do windy, w której nagle pojawili się krokodyl z hipopotamem pod rękę. Gdy już udało mi się opanować strach, nagle na mojej dłoni pojawiła się przelewająca maź patrząca na mnie szarymi oczami, która do tego

potrafi mówić i informuje mnie, że jest duchem lustra. To niezła dawka emocji jak na jedną podróż windą. Chcąc się uwolnić od gadającej mazi, zaczęłam rozpaczliwie machać dłonią, by ją zrzucić, ale nic z tego nie wyszło, bo ona mocno się we mnie wczepiła i zawołała:

– Uspokój się, bo spadnę. Czuję się gorzej niż na kolejce górskiej.

Gorączkowo zastanawiałam się, jak mam się zachować. Nie wierzyłam w duchy. Może to była dalsza część jakiejś sztuczki albo żartu, którego staliśmy się ofiarą? Może duch wcale nie był duchem, tylko tworem audiowizualnego spektaklu? Może to działo się tylko w mojej wyobraźni? Spojrzałam w lustro, w którym odbijała się moja postać z mazią na dłoni, potem spojrzałam na swoją rękę i zobaczyłam to samo. Czyli to coś istniało naprawdę.

– Kim jesteś? – powtórzyłam pytanie.

– Co z tobą, dziewczyno, masz początki sklerozy? Przecież ci mówiłem, że jestem duchem lustra. Masz coś z uszami?

– Nie jestem głucha, tylko zaskoczona. Skąd się tu wzięłeś?

– Wszystko ci opowiem, ale włóż mnie szybko z powrotem do lustra. Bez lustra nie mogę oddychać. Umrę jak ryba bez wody.

Duch rzeczywiście wyglądał blado i oddychał ciężko. Zastanowiłam się, czy to nie podstęp. Teraz miałam ducha w ręku, a konkretnie trzymałam go w dłoni. Jeśli go włożę z powrotem do lustra, będzie mógł nas nadal straszyć. Jednak teraz nie osiągnąłby już takiego efektu. Zresztą gdyby chciał nam znowu zaleźć za skórę, mogliśmy go wyjąć z lustra. Duch obiecał, że opowie nam o sobie, a ja miałam zasadę, że ufam ludziom, którzy dają słowo. Tę samą zasadę postanowiłam stosować też wobec duchów. Wyciągnęłam rękę i włożyłam go do lustra.



Rozdział VII

LONDYŃSKA HISTORIA

Duch wtopił się w lustrzaną tafłę i zniknął nam z oczu. Jednak słyszeliśmy, jak ciężko oddycha. Zakastał jeszcze kilka razy i gdy udało mu się uspokoić, odezwał się do nas:

– Dziękuję, że mnie puściliście. Jestem waszym dłużnikiem. Jak się nazywacie?

Podaliśmy swoje imiona.

- Ja jestem Leon - przedstawił się duch. - Pytałaś, skąd się tutaj wzięłam. Otóż urodziłem się...

Nim zdążyliśmy dowiedzieć się, gdzie Leon się urodził, winda stanęła na piętrze. Otworzyły się drzwi i do środka weszło trzech mężczyzn w garniturach.

- Gdzie się urodziłeś? - dopytywał Tadzik.

Duch milczał. Zrozumieliśmy, że nie chce zdradzać swojej obecności przy obcych. Wróciliśmy na parter, gdzie mężczyźni wysiedli, za to weszła kobieta trzymająca duży karton. Na siódmym piętrze dosiadły się jeszcze dwie osoby. Duch nadal się nie ujawniał. W końcu po kolejnym postoju zostaliśmy w windzie sami. Wykorzystałam ten moment i wciskając guzik „stop”, zatrzymałam windę pomiędzy piętrami.

- Co robisz? - zaniepokoił się Staś.

- Organizuję nam chwilę spokoju - wyjaśniłam, mocując przycisk „stop” spinaczem, który znalazłam w kieszeni. - Teraz nikt nam nie będzie przeszkadzał. Możesz opowiadać dalej.

- Urodziłem się w Londynie prawie sto lat temu. Mieszkaliśmy z mamą i tatą w windzie eleganckiego hotelu Dorchester. Winda była wyłożona ciemnym hebanowym drewnem, na jej podłodze leżał oryginalny ręcznie tkany turecki dywan, miała złote poręcze i w ścianach trzy lustra z prawdziwego kryształu. Moje pierwsze wspomnienia z dzieciństwa to piękne damy w eleganckich sukniach i mężczyźni w czarnych garniturach, w melonikach, z cygarami w zębach i gazetami w rękach jeżdżący naszą windą.

Tata uwielbiał czytać. Gdy tylko któryś z podróżujących mężczyzn otwierał swoją gazetę, on usadawiał się w lustrze obok niego i czytał mu przez ramię. Zawsze narzekał, że winda dojeżdża tak szybko do

celu, a on nie może do końca przeczytać wiadomości. Jeśli jakiś artykuł szczególnie go zainteresował, dyskretnie wyciągał rękę z lustra i wciskał guzik „stop”. Winda niespodziewanie się zatrzymywała i zanim udawało się ją ponownie uruchomić, tata miał czas na doczytanie artykułu.



Mama za to bardzo interesowała się modą. Podziwiała wspaniałe kreacje pań jeżdżących naszą windą, a gdy zostawaliśmy sami, starała się odtworzyć te same modele w szklanym odbiciu. Tata wtedy wpatrywał się w nią długo, z miłością i mówił, że wygląda prześlicznie. Ja już od dziecka uwielbiałem płatać naszym gościom figle. Jak się

zorientowaliście, my, duchy luster, mamy umiejętność pokazywania w lustrzanym odbiciu dowolnych kształtów. Bawiłem się zaskakiwaniem podróżnych. Długie godziny przed zaśnięciem schodziły mi na wymyślaniu zabawnych obrazów. Wyobraźnia podsuwała mi ciągle nowe pomysły: a to pingwiny grillujące na pustyni, a to stada latających węgorzy czy chóry śpiewających strusi. Jak tylko nastawał dzień, nie mogłem się doczekać, by w windzie pojawili się pierwsi goście i wtedy organizowałem moje pokazy. Jakby to było dziś, pamiętam pierwszy.

Kiedy rodzice jeszcze smacznie spali, do windy weszły trzy poważne starsze panie. Były tak smutne, że postanowiłem je rozbawić. W windzie pojawił się muzyk, który zaczął grać na saksofonie melodyjną balladę, po chwili obok niego znalazł się kolejny z trąbką, następny z kontrabasem, potem dodałem jeszcze perkusję, fortepian i kolejne instrumenty. Muzyka stała się głośniejsza, bardziej rytmiczna i po chwili w windzie grała orkiestra jazzowa. Myślałem, że panie przyłączą się do zabawy i zaczną tańczyć. Niestety pierwsza z nich z wrażenia usiadła na podłodze, druga zaczęła się modlić, a trzecia łomotała w drzwi, wołając, żeby natychmiast wezwać księdza, bo w tej windzie straszy i trzeba odprawić egzorcyzmy. Po tym zdarzeniu te panie udzieliły wywiadu do „Timesa” i przez kilka dni ich przygody z windy były głównym przedmiotem rozmów w Londynie.

Tata bardzo się zdenerwował. Powiedział, że jak tak się będę zachowywał, to nikt nie odwiedzi naszego hotelu i przeze mnie on nie będzie miał co czytać, a mama nie zobaczy „windzianych” pokazów mody. Wprowadzili zasady, których musiałem przestrzegać. Mogłem robić dowcipy raz w tygodniu i tylko osobom jeżdżącym samotnie, żeby nie było świadków i by nikt im nie uwierzył. Nie wolno mi było też organizować dużych spektakli.

Mam zasadę, że nie ujawniam się nikomu z dorosłych. Z wami rozmawiam, bo jesteście dziećmi, ale musicie mi obiecać, że nie powiecie o mnie nikomu – zastrzegł duch, a gdy złożyliśmy mu stosowne zapewnienie, kontynuował opowieść. – Posłuszny rodzicom ograniczałem się do pokazywania małych zwierzątek. Czasem przez windę przemknął jelonek, niekiedy latały po niej egzotyczne motyle.

Potem wymyśliłem nową zabawę. Zapamiętywałem sylwetki postaci, które jechały windą, po czym, gdy pojawiali się następni goście, przybierałem postać tych, co wysiedli i udawałem, że oni też jadą. Wychodziły z tego naprawdę zabawne sytuacje. Pewnego razu jadący windą książę Kentu w rozmowie z przyjacielem zwierzył mu się, że uwielbia tańczyć, ale jest osobą bardzo nieśmiałą i wstydzi się prosić kobiety do tanga, bojąc się, że mu odmówią. O tych obawach książę wspominał w związku z wielkim balem organizowanym przez królową. Chwilę później naszą windą jechało kilka niezwyklej urody młodych kobiet, które rozmawiały o tym samym balu. Czekałem na moment, kiedy któraś pojawi się samotnie w windzie i, przybrawszy postać księcia, zaczynałem z nią rozmowę, umawiając się na wspólny taniec na balu. Wymyślałem też historię, dlaczego to one miały podejść do księcia i zaproponować taniec. W ten sposób udało mi się zorganizować dla niego ponad dwadzieścia partnerek. Potem przeczytałem w relacjach z balu, że książę był najbardziej obleganym tancerzem, a wkrótce ożenił się z jedną z partnerek, które mu wybrałem.

Wtrącanie się w miłosne historie stało się moją ulubioną zabawą. W windzie poznałem milorda Woodhouse'a, młodzieńca romantycznego, acz chorobliwie nieśmiałego. W czasie podróży zwierzał się przyjacielowi hrabiemu Henry'emu Moore z szaleńczej

wręcz miłości, jaką darzy księżniczkę Lucillę Paddington. Wspomniał jednak, że jego wrodzona nieśmiałość tak paraliżuje mu mowę, że przy spotkaniu z ukochaną nie dość, że nie jest w stanie się oświadczyć, to wręcz nie potrafi się odezwać. Z tego powodu w trakcie spotkań bezustannie milczą, co powoli staje się krępujące. Milord wydawał się bardzo sympatycznym człowiekiem, dlatego zdecydowałem się mu pomóc. Miałem szczęście, że znałem księżniczkę Lucillę, która często podróżowała naszą windą. Czekałem na moment, gdy spotkam ją samą. Gdy to nastąpiło, przybrałem postać księcia i bez słowa wstępu ukląknęłem przed nią i poprosiłem o jej rękę. Po jej minie poznałem, że udało mi się, jednak księżniczka odpowiedziała, że musi przemyśleć tę propozycję i odpowiedź da w ciągu kilku dni na piśmie. Chcielibyście zobaczyć minę milorda, gdy cztery dni później dostał list, w którym jego ukochana, do której nie miał śmiałości się odezwać, oświadczyła mu, że zgadza się zostać jego żoną.

W windzie poznawałem też najwybitniejsze postaci tamtej epoki. Pewnego dnia jeszcze zaspany spojrzałem na otwierające się drzwi i spostrzegłem, że do windy wsiadł sam premier Winston Churchill z nieodłącznym cygarem w dłoni. W czasie wojny Brytyjczycy go uwielbiali i chcieli wiedzieć o nim jak najwięcej, a on był tak zajęty, że nie miał czasu udzielać wywiadów. Reporterzy błagali, aby się z nimi spotkał, a on najczęściej odmawiał. Szczególnie polubiłem jednego młodego dziennikarza, który jadąc windą, zwierzał się swojej ukochanej, że jego największym marzeniem jest przeprowadzenie wywiadu z premierem. Postanowiłem mu pomóc, jeżdżąc kilkakrotnie windą z Churchillem i słuchając rozmów, które prowadził, znałem jego poglądy na wiele spraw. Gdy pewnego razu dziennikarz jechał sam windą, przystąpiłem do działania. Przybrałem postać premiera i gdy

na mój widok dziennikarz aż zeszywniał z zaskoczenia, przejąłem inicjatywę. Spytałem go, czy on jest tą wschodzącą gwiazdą dziennikarstwa, o której mówi cały Londyn, a gdy zdziwiony milczał, powiedziałem, że dla mnie, to znaczy premiera, wielką przyjemnością będzie powiedzenie kilku słów dla jego gazety. Nim zaczął zadawać mi pytania, sam opowiedziałem mu to, co usłyszałem od premiera. Wywiad ze mną ukazał się następnego dnia i dał początek wielkiej karierze tego dziennikarza.

Był to cudowny okres w moim życiu, byłem szczęśliwym młodym duszkiem, a rodzice z wyrozumiałością znosili moje psoty. Trwało to do momentu, gdy pewnego dnia drzwi windy otworzyły się i na trzecim piętrze wpadło trzech zdyszanych mężczyzn w maskach na twarzy. Jeden z nich trzymał w ręku woreczek, z którego wystawały wepchnięte w pośpiechu klejnoty. Najwyraźniej je ukradli. Mężczyźni spieszyli się, obawiając się, że zaraz w hotelu zjawią się policjanci. Nie popieram kradzieży i uważam, że ich sprawcy powinni trafiać do więzienia. Uznałem, że mógłbym pomóc policji, zatrzymując bandytów do czasu ich przybycia. Przybrałem postać policjantów i zażądałem, żeby rabusie się poddali. Tak byli zaskoczeni, że unieśli ręce do góry. Kazałem im oddać broń. Wyjęli z kieszeni pistolety, które mieli rzucić na podłogę. W tym właśnie momencie dojechaliśmy na parter. Drzwi windy otworzyły się automatycznie i okazało się, że policjanci zdążyli już przyjechać i czekali na złodziei przy wejściu do windy. Kiedy policjanci spostrzegli rabusiów z pistoletami w rękach, zaczęli strzelać. Wszyscy trzech złodzieje zginęli na miejscu od strzałów z broni maszynowej.

Niestety w czasie tej strzelaniny kule rozbiły dwa lustra, w których drzemali moi rodzice. Od dziecka tata i mama wpajali mi, że nigdy pod żadnym pozorem nie mogę opuścić lustra, bo będzie mi grozić

śmiertelne niebezpieczeństwo. Pod gradem kul kryształowe lustra rozpadły się na tysiące maleńkich kawałeczków. Rodzice wypadli na podłogę windy. Próbowali szukać schronienia w potłuczonym szkle. Niestety kawałki były tak małe, że w żadnym nie mogli się zmieścić. Chciałem im pomóc, ale z jedyne go ocalałego lustra, gdzie zostałem, nie mogłem ich dosięgnąć, a gdybym je opuścił, stałbym się tak samo bezradni jak oni. Ten widok do dziś został we mnie. Pamiętam ich, jak pozbawieni schronienia w szklanej tafli, dusili się, aż w końcu odeszli.

Zostałem sam w windzie jednego z najelegantszych londyńskich hoteli. Przez pierwsze dni winda była pełna ludzi. Detektywi, technicy zabezpieczający ślady, fotoreporterzy, zwykli gapie. Potem do windy wstawiono nowe lustra. Mało z tego pamiętam, bo godzinami siedziałem wtulony w kąt lustra i płakałem. Przez kilka lat nikomu nie pokazałem się w lustrzanej tafli. Dręczyły mnie smutek i samotność. W końcu powoli odzyskałem spokój i ponownie zaczął mnie interesować świat zewnętrzny. Jak kiedyś mój ojciec, teraz ja zaglądałem gościom przez ramię, czytając ich gazety. Po pewnym czasie zacząłem znów robić różne żarty.

W trakcie gdy duch opowiadał, winda zazgrzytała i szarpnęło nią w dół. Pomyślałam, że to on robi nam jeden z dowcipów.

– Nie wygłupiaj się, Leon – poprosiłam. – Nie damy ci się kolejny raz nabrać.

– Ale ja nic nie robię – oświadczył duch.

Winda znów zgrzytnęła. Wyglądało to nadzwyczaj realistycznie. Nagle drzwi się otworzyły i zobaczyliśmy mężczyzn w kombinezonach. Złapali nas za ramiona i wyciągnęli z windy. Znaleźliśmy się na korytarzu obok portiera. Zrozumiałam, że to nie inscenizacja. To działało się naprawdę.



– Jesteście cali? – dopytywał się portier.

Uświadomiłam sobie, że opowieść ducha musiała trwać bardzo długo, a my przez ten czas staliśmy w windzie zatrzymanej pomiędzy piętrami. Opowieść była tak pasjonująca, że straciliśmy poczucie czasu, a czekający na windę pomyśleli, że doszło do awarii i wezwali pomoc. W ten sposób zostaliśmy ściągnięci. Mogliśmy wpaść w niezłe tarapaty. Żeby tak się nie stało, powinniśmy przekonać portiera, że nie mamy nic wspólnego z postojem windy.

– Tak – potwierdziłam, że jesteśmy cali. – Tylko się przestraszyliśmy, gdy winda stanęła – powiedziałam nie do końca zgodnie z prawdą.

– Czemu nie nacisnęliście alarmu?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, jeden z mechaników odezwał się:

– Te dzieciaki zatrzymały windę i zablokowały guzik „stop” spinaczem. Nic dziwnego, że nie mogliśmy ich ściągnąć.

Niestety mechanik odnalazł spinacz, którym zablokowałam guzik.



Rozdział VIII

POWTÓRNA AWARIA

Portier zadzwonił do nas do domu. Na szczęście okazało się, że tata akurat wyszedł, więc przyjechała po nas mama. Czekaliśmy na nią na dole w recepcji razem z portierem, który straszył nas opowieścią, że rodzice zbankrutują po tym, jak zapłacą rachunek za ściągnięcie windy. Mamie opowiedział, co się wydarzyło, po czym postraszył ją kosztami. Mama przerwała mu zdecydowanie, oświadczając, że żadnego rachunku nie zamierza płacić, bo przy windzie jest wyraźny napis, że dzieci do lat dwunastu mogą nią jeździć tylko w obecności dorosłych. Jej córka ma lat dziesięć, a nikt z pasażerów windy nie był jeszcze pełnoletni. Zatem to z winy portiera doszło do takiej sytuacji, bo on odpowiada za to, co zaszło, i to on powinien płacić rachunek. Mama dodała, że w tej sprawie skontaktuje się ze swoim adwokatem. Wtedy

portier stracił pewność siebie, nieoczekiwanie zmienił front i przypomniał sobie, że mechanizm windy i tak wymagał przeglądu.

Gdy wyszliśmy z budynku, mama zaczęła wypytywać, co nam strzeliło do głowy, żeby zablokować windę pomiędzy piętrami. Najprościej było opowiedzieć jej prawdę. Niestety nie mogliśmy tego zrobić, obowiązywała nas umowa z duchem, że nikomu o nim nie opowiemy. Na szczęście Staś wziął na siebie wytłumaczenie wszystkiego.

– Gdy wsiedliśmy do windy, zaczęliśmy rozmawiać o hotelu Dorchester, jednym z najstarszych i najelegantszych hoteli w Londynie. Wiesz, że został zbudowany...

Gdy mama zorientowała się, że Staś zamierza opowiedzieć o historii tej budowli, spojrzała nerwowo w niebo, jakby stamtąd oczekiwała pomocy. Wtedy odszyfrowałam plan Stasia.

Jak pamiętacie, mój brat jest pasjonatem historii i potrafi mówić o niej godzinami. Nikt nie jest w stanie wytrzymać jego wykładów i najbardziej oddani mu słuchacze już po kilkudziesięciu minutach opowieści zmywają się pod byle pretekstem. Jedynym słuchaczem, który nie zwiewa przed nim, jestem ja. Kiedy byłam niemowlakiem, Staś, wiedząc, że nie potrafię uciec, siadał przy mojej kołysce i opowiadał mi historie greckich bogów. To od niego dowiedziałam się o mojej imienniczce, pięknej Helenie i wojnie trojańskiej. Gdy już byłam kilkulatek, Staś siadał przy moim łóżku i godzinami opowiadał. Gdy moi rówieśnicy wychowywali się na bajkach Brzechwy, ja słuchałam opowieści brata o historii rodziny Borgiów, bataliach stoczonych przez wojska napoleońskie czy roli floty Stanów Zjednoczonych w wojnie z Japonią na Pacyfiku. Nie mogę narzekać. Słuchanie opowieści Stasia opłaciło się i już na pierwszej lekcji historii zaskoczyłam naszą

nauczycielkę. Wróciłam do domu z szóstką, a pani zaproponowała mi udział w konkursie historycznym.



Kiedy więc Staś zaczął opowiadać historię hotelu Dorchester, mama przewidziała, że może to być początek kilkugodzinnego monologu. Mój brat oczywiście postanowił to wykorzystać. Chciał przestraszyć mamę perspektywą historycznej opowieści, by ona nie wypytywała nas już o tę windę. Mama zareagowała tak, jak przewidział, to znaczy nagle przypomniała sobie, że ma bardzo ważną sprawę do załatwienia. Gdy myśleliśmy, że całkowicie nam się upiekło, oznajmiła, że za karę wszyscy mamy przez tydzień szlaban na wychodzenie z domu po lekcjach. Byliśmy uziemieni i wyglądało na to, że na wysłuchanie do końca opowieści ducha będziemy musieli poczekać siedem dni, a to było o wiele za długo.

Następnego dnia po szkole zgodnie z poleceniem mamy wróciliśmy prosto do domu. Ja poszłam do swojego pokoju odrabiać lekcje. Po chwili zajrzał do mnie tata i spytał, co mam zadane na jutro. Z polskiego miałam napisać wypracowanie o mojej najpiękniejszej wakacyjnej podróży. Gdy powiedziałam o tym tacie, nie potrafił ukryć zazdrości.

Hobby mojego taty to pisanie. Dlatego często mnie prosi, by mógł napisać za mnie wypracowanie. Gdy pierwszy raz to zaproponował, bałam się, że tata napisze coś tak mądrego, że nauczycielka od razu zorientuje się, że nie jestem autorką wypracowania. Tata jednak potrafił dostosować swój styl do poziomu naszej klasy. Co więcej, tata uznał, że nie musimy pisać razem, bo on da sobie sam doskonale radę z wypracowaniem, a ja mam tylko pisać to, co on podyktuje. Jednak nie obywało się bez kłopotów.

W zeszłym roku mieliśmy napisać recenzję z filmu, który ostatnio oglądaliśmy. Dowiedziawszy się o tym, tata zatarł ręce z radości i wzięliśmy się do roboty, co oznaczało, że tata dyktował mi recenzję. Po kilku zdaniach zaprotestowałam, bo w ogóle nie widziałam tego filmu. Niezrażony tata powiedział, żebym się nie przejmowała szczegółami i że jak skończymy pisać, to mi ten film włączy. W trakcie pisania tatę poniosła wyobraźnia twórcza i podyktował mi recenzję na dziesięć stron. Gdy skończyliśmy, padłam ze zmęczenia, nie miałam już siły niczego oglądać i natychmiast poszłam spać. Następnego dnia na lekcji polskiego przeczytałam na głos wypracowanie, po czym pani wezwała moją mamę do szkoły. Okazało się, że tata podyktował mi recenzję niezwykle brutalnego gangsterskiego filmu i polonistka była oburzona, że rodzice pozwalają mi oglądać takie filmy. Wtedy mama miała do mnie pretensje, dlaczego bez jej zgody włączyłam ten film. Gdy

zostałyśmy same, wytłumaczyłam jej, że ja wcale tego nie oglądałam, tylko tata, który kazał mi zapisać swoje wypracowanie.

Po tym zdarzeniu mama zabroniła tacie pisania moich prac, ale on się tym bardzo nie przejął, bo już kilka dni później spytał mnie, co razem napiszemy. Kilka razy obyło się bez wpadek, aż do końca zeszłego roku.

Miałam napisać na komputerze wypracowanie o najlepszym obiedzie, jaki jadłam w życiu. Tacie ten temat przypadł do gustu. Przypomniał sobie o Toskanii, gdzie w starym klasztorze przerobionym na restaurację zjadł najlepsze na świecie spaghetti z truflami. Teraz chciał o tym napisać, usiadł do komputera i sam zabrał się do pracy. Nie potrafiłam mu odmówić. Opowieść o toskańskim obiedzie zajęła mu siedem stron. Dla bezpieczeństwa sprawdziłam, czy nie napisaliśmy czegoś niewłaściwego, co nie spodobałoby się polonistce. Niestety, gdy już poszłam spać, tata przypomniał sobie, że zamówił także deser i ten fragment dopisał później. Czytając następnego dnia przed klasą wypracowanie, ze zdumieniem dowiedziałam się, że po deserze zamówiłam również butelkę przepysznego toskańskiego czerwonego wina. Ponownie mama została wezwana do szkoły, tym razem pod zarzutem rozpijania nieletniej. Po tej rozmowie mama zakazała mi czytania na lekcji polskiego czegokolwiek, co by wyszło spod pióra taty.

Dlatego gdy tata spytał, czy mógłby to wypracowanie napisać za mnie, stanowczo odmówiłam.

- Proszę cię, córeczko, zgódź się. Napisałbym o wyprawie do Indonezji, kiedy na wyspie Komodo razem z twoją mamą szukaliśmy smoków. Dostałabyś szóstkę – kusił.

Musiałam mu odmówić. Gdy wyszedł, szybko opisałam rejs po Morzu Północnym, na który popłynęliśmy z rodzicami. Kiedy

zamknęłam zeszyt, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Mama zakazała mi czytania w szkole wypracowań pisanych przez ojca, co nie oznaczało, że nie mogłam się zgodzić, żeby tata je pisał. Dla siebie na przykład. Odszukałam go siedzącego nad aktami w gabinecie.

– Mam dla ciebie propozycję – zaczęłam ostrożnie. – Zgodzę się, żebyś napisał moje wypracowanie w zamian za drobną przysługę.

Po minie taty zorientowałam się, że już wygrałam.

– Jaką?

– Ja i chłopcy mamy zakaz wychodzenia z domu. Proponuję umowę – starałam się być stanowcza. – Przekonasz mamę, żeby nas puściła na dwie godziny, a w zamian ja oddaję ci swoje wypracowanie.

– Nie mogę niczego obiecać, ale porozmawiam z nią – powiedział.

Gdy kwadrans później wychodziliśmy z domu, tata siedział przed komputerem. Nie zwrócił na nas uwagi, myślami był już w świecie smoków z wyspy Komodo. My zaś dzięki pasji taty dostaliśmy szansę poznania dalszego ciągu historii ducha lustra.

Pod biurkiem taty spotkaliśmy się z Tytusem, po którego wcześniej zadzwoniłam. Chciałam, by mój najlepszy przyjaciel też poznał Leona. Gdy weszliśmy do holu biurowca, czekała nas niemiła niespodzianka.

– Nie, co to, to nie! – wykrzyknął portier, zrywając się na nasz widok z miejsca. – Po tym, co zrobiliście wczoraj, nie wpuszczę was w pobliże mojej windy bez opieki kogoś dorosłego.



- Ale my wcale nie chcemy jechać windą. Wejdziemy na górę po schodach. - Tadzik znalazł genialne wyjście z patowej sytuacji.

Weszliśmy na drugie piętro, a gdy byliśmy już poza zasięgiem wzroku portiera, nacisnęliśmy guzik windy.

- Cześć - przywitaliśmy się z duchem.

Zupełny brak reakcji. Wyglądało na to, że poza nami w windzie nie było nikogo. Zaczęłam się niepokoić, czy Leonowi nic się nie stało. Nagle w lustrze pojawił się rozpędzony parowóz. Jeszcze wczoraj bym się go przestraszyła. Dziś, kiedy znałam możliwości naszego ducha, ta sztuczka nie zrobiła na mnie najmniejszego wrażenia. Parowóz zniknął, a duch odezwał się do nas:

- Cześć, wybaczcie ten pokaz, ale przyzwyczajenie to druga natura ducha. - Nagle zamilkł, bo winda zatrzymała się na piętrze i wsiadła do

niej grupka pasażerów. Przez kilka następnych minut w milczeniu krążyliśmy pomiędzy piętrami, wożąc podróżnych.

Gdy w końcu zostaliśmy sami, zatrzymałam windę, uchyliłam drzwi i w lukę włożyłam plecak, by nikt nie mógł nas ściągnąć. Pomyślicie pewnie, że oszalałam, powtarzając ten sam numer, przez który wczoraj mieliśmy kłopoty. Tym razem jednak byliśmy bardziej przygotowani. Z plecaka wyjęłam dużą kartkę, na której Tadzik napisał: „Przepraszamy – awaria”. Zawiesiliśmy ją na drzwiach. Teraz, jeśli ktoś zobaczy stojącą na piętrze windę, nie wezwie mechaników. Dzięki temu my będziemy mogli spokojnie pogadać. Duch kontynuował swoją opowieść:

– Pewnego dnia do windy weszło dwóch mężczyzn w strojach roboczych...



Duch myślał, że jadą dokonać naprawy w którymś z hotelowych pokoi, ale z ich rozmowy zorientował się, że oni mają pracować w jego windzie. Okazało się, że dyrektor hotelu zdecydował, że windy, które

miały już ponad sto lat, mają być wymienione na nowoczesne. Robotnicy mieli zdemontować jego dom. Tak się zdenerwował, że przybrał postać rozjuszonego byka, który, wydając z siebie potworne odgłosy, zaszarżował na mężczyzn. Przerazili się i uciekli. Niestety niebawem w windzie zjawiała się kolejna ekipa. Z rozmów mężczyzn duch dowiedział się, że ich poprzednicy zostali wyrzuceni z pracy za pijaństwo, bo po ucieczce z windy pobiegli do baru, gdzie upili się w sztok. Duch uznał, że jest jeszcze dla niego nadzieja: jeśli będzie straszył kolejnych robotników, a oni będą pić na umór, to wkrótce zabraknie fachowców, którzy mogliby rozmontować windę. Tym razem postanowił przybrać postać dzikiego niedźwiedzia grizzly. Niestety, zanim zdążył zrealizować plan, robotnicy rozwiesili w windzie ochronne płachty zakrywające lustro. Stał się dla nich niewidoczny i nie mógł ich przestraszyć. Zasłonięty w swojej tafli słyszał tylko, jak demontują kabinę windy.

– Wyobrażacie sobie, co ja przeżyłem – opowiadał Leon. – Słyszałem, jak moje lustro jest wyjmowane ze ściany windy. Owinięto mnie jakąś szmatą, było mi ciemno i duszno. Wszędzie pył, o mało się nie udusiłem. Nie widziałem, co się dzieje, czułem tylko, że włożono mnie do jakiegoś pojemnika i wywieziono gdzieś w nieznane. Byłem w ciemności i duchocie. Nachodziły mnie najczarniejsze myśli, że zostałem gdzieś porzucony na wysypisku. W takim odrętwieniu i niepewności żyłem trzy długie dni. Gdy traciłem już nadzieję na ocalenie, usłyszałem odgłos kroków zbliżających się do mnie. Poczułem, że moje lustro ktoś podnosi i zdjęto ze mnie materiał, którym byłem owinięty. Widziałem i mogłem oddychać. Byłem w wielkim magazynie, który zapełniał się ludźmi. Przypomniałem sobie, że zabrano mnie z hotelowej windy w piątek, potem był weekend

wolny od pracy. To dlatego nikogo tu nie było. Zastanawiałem się, co się dalej ze mną stanie. Zacząłem nasłuchiwać rozmów.

– Co robimy z tym starym szmelcem? – robotnik spytał kolegę, wskazując na moje lustro.

– Miał je ktoś wziąć do domu, ale się rozmyślił. Szef powiedział, żeby wyrzucić na wysypisko śmieci.

– Dobra, to od razu wrzucimy je do kontenera.

To brzmiało jak wyrok śmierci. Jeśliby to zrobili, kryształowe lustro stłukłoby się na tysiące kawałeczków, a ja udusiłbym się w męczarniach. Zacząłem trząść się ze strachu.

– Chory jesteś, Richard? – spytał mężczyzna kolegę.

– Nie, a dlaczego?

– Bo cały się trzęsiesz, myślałem, że to od gorączki.

– Sądziłem, że to ciebie telepie po gorzale. Diabeł wie, skąd te wibracje.

Podnieśli lustro i nieśli mnie korytarzem. Czułem się jak skazaniec w drodze na szafot. Rozpaczliwie zastanawiałem się nad ratunkiem, wtedy dostrzegłem idących z drugiej strony magazynu dwóch ludzi z szybą. To była ostatnia deska ratunku. Jeśli przeskoczę, mogę przetrwać. Tafle mijaly się w odległości metra. Odbiłem się z całej siły, poszybowałem przez korytarz i wskoczyłem do szyby. Gdy myślałem, że jestem już bezpieczny, poczułem, że gwałtownie usuwam się w dół. Jednocześnie usłyszałem okrzyk jednego z tragarzy:

– O Boże, diabeł przeleciał w powietrzu!

Musiał mnie zobaczyć i z przerażenia puścił szybę. Teraz spadałem wraz z nią. Myślałem, że moje ziemskie dni dobiegają końca, gdy spostrzegłem kolejne lustro stojące naprzeciwko mnie oparte o ścianę magazynu. Bez namysłu odbiłem się z całych sił i nim szyba zdążyła

roztrzaskać się o podłogę, przeskoczyłem do następnego lustra. Tak znalazłem się w moim nowym domu. Po kilku godzinach magazynierzy załadowali lustro wraz ze mną na wózek i zawieźli do fabrycznej hali. Tam lustro wmontowano w drewnianą płytę i zapakowano do kontenera. Przez kilka dni podróżowałem w ciemności. Słyszałem pracę silnika samochodu, który mnie wiózł, potem znalazłem się na statku, co rozpoznałem po łagodnym kołysaniu. W końcu wyjęto mnie z kontenera. Usłyszałem ludzi mówiących w dziwnym języku, którego nie rozumiałem. Nadstawiłem ucha, a ponieważ mój hotel odwiedzało dużo obcokrajowców, zetknąłem się z większością języków świata. Słowa: „Ciężka ta skrzynia. Jarek, zrzućmy ją gdzieś na chwilę, bo nie utrzymam” brzmiały jakoś znajomo. Przypomniałem sobie, jak kilka lat temu brytyjskiego premiera odwiedziła polska delegacja rządowa, która mieszkała w moim hotelu. To był język polski, byłem więc w Polsce. Zacząłem sobie przypominać informacje o tym kraju. Czytałem, że je się tam bigos i pierogi, że papieżem był Polak, że siedzibą królów był Wawel – miejsce, gdzie mieszkał Smok Wawelski.

W końcu wyjęto mnie ze skrzyni, moje oczy powoli przyzwyczyły się do światła, które z początku mnie oślepiło, i zorientowałem się, że znajduję się w windzie. Starąłem się ustalić, co to za miejsce, winda była nowocześniejsza niż w starym hotelu. Widziałem duży hol z recepcją, nad którą zawieszona była tablica z nazwami firm. Zorientowałem się, że to elegancki biurowiec. Szybko polubiłem swoje nowe miejsce, doskwierał mi tylko brak znajomości języka. Na szczęście mam talent do języków obcych i szybko nauczyłem się polskiego. Mówię już bez akcentu.

Gdy poznaliśmy historię ducha, nie mieliśmy wątpliwości, że to jego dowcipy były powodem szaleństw klientów taty. Nasz nowy przyjaciel nie zdawał sobie sprawy, że mimowolnie staje się przyczyną bankructwa naszej rodziny. Teraz, kiedy się zaprzyjaźniliśmy, wystarczyło go poprosić, żeby nie straszył klientów taty i wszystko dobrze się skończy. Postanowiłam nie zwlekać i załatwić to od razu.

– Leon, mam do ciebie prośbę. Czy mógłbyś nie straszyć gości jadących na szesnaste piętro?

– Dlaczego akurat tych? – zainteresował się.

– Bo tam jest kancelaria mojego taty. Po tym, jak ich straszysz, są tak przerażeni, że rezygnują z usług taty.

– To ty jesteś córką mecenasa z szesnastego piętra? Dlaczego od razu nie powiedziałaś? Mam dla twojego taty interesującą wiadomość, ale nie mogłem mu jej przekazać, bo jak wicie, nie rozmawiam z dorosłymi. Kilka dni temu usłyszałem w windzie rozmowę dwóch mężczyzn. Nie możesz tylko powiedzieć tacie, że wiesz to ode mnie – zastrzegł duch. – Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby dorośli dowiedzieli się o moim istnieniu? Nie mógłbym spokojnie żyć, a w najlepszym wypadku zabraliby mnie do cyrku i pokazywali jako ósmy cud świata, a przy najgorszym scenariuszu mógłbym trafić do laboratorium, gdzie robiliby na mnie eksperymenty.

Pokiwałam głową.

– To było dwa lub trzy dni temu – zaczął Leon. – Późnym popołudniem. Mężczyźni weszli do windy i wcisnęli guzik na szesnaste piętro. Pamiętam, że wtedy długo nikt nie korzystał z windy i już się nudziłem. Wyglądali dziwnie, mieli postawione wysoko kołnierze, mimo że dzień był ciepły, na oczach duże czarne okulary, których nie zdjęli nawet w windzie, a na głowach naciągnięte prawie na oczy czapki

bejsbolowe. Mówili, że jadą do kancelarii twojego taty. Nie byłoby w tym niczego nadzwyczajnego, gdyby nie to, że w trakcie podróży dopiero ustalali, z jaką sprawą się do niego zgłoszą.

Opowieść ducha bardzo nas zaciekawiła, wyglądało na to, że nie tylko my byliśmy zainteresowani tym, co dzieje się w kancelarii taty. Ktoś inny również chciał do niej przeniknąć. Czy ich wizyta mogła mieć coś wspólnego z wizytą w kancelarii Radzia Szprychy?

– Z tego, co mówili, wynikało, że oni znali twojego tatę – kontynuował opowieść duch. – Bronił ich już wcześniej w jakichś sprawach. Rozmawiali też o tym, że chcą szukać czegoś, co miało być ich i zostało ukryte w kancelarii. Specjalnie wymyślili jakąś bardzo trudną sprawę, bo liczyli, że adwokat pójdzie do biblioteki poszukać rozwiązania, a oni będą mieli czas przeszukać jego gabinet. Bardzo im na tym czymś zależało. Powiedzieli nawet, że jeśli tego nie znajdą, będą musieli włamać się do biura, żeby móc je całe przeszukać. Niestety nie mówili, czego szukają.

Myśli kłębiły mi się po głowie od zastanawiania się nad tym, co usłyszałam od ducha. Zapytałam go, czy ci mężczyźni jechali w dół tą samą windą.

– Kiedy wracali, w windzie było więcej osób i nie rozmawiali – wyjaśnił duch. – Jednak nie wyglądali na zadowolonych, więc pewnie nie znaleźli tego, po co przyszli.

– Co się dzieje z tą windą? Znowu awaria? – Usłyszałam głos dochodzący z korytarza.

– Powinna działać. – Poznałam głos portiera. – Wczoraj był generalny przegląd. Zaraz sprawdzę.

Nagle powiało grozą, mogliśmy zostać zdemaskowani. Nie chciałabym być w naszych skórkach, gdyby portier nas teraz złapał.

Tadzik błyskawicznie zdjął wywieszkę z drzwi i wcisnął guzik na parter. Skoro portier był tu, to oznaczało, że nie ma go na parterze, czyli droga do wyjścia była wolna.



Rozdział IX

NARADA

Po wyjściu na dwór odbyliśmy naradę, zastanawiając się, jak powinniśmy teraz postąpić. Najprościej byłoby opowiedzieć

o wszystkim tacie, ale wiązała nas obietnica złożona duchowi.

– Sytuacja, w której ktoś chce się włamać do biura taty, to stan wyższej konieczności. W takim przypadku nie musimy dotrzymać danego słowa – przekonywał Staś, który pochwalił się znajomością prawniczego terminu.

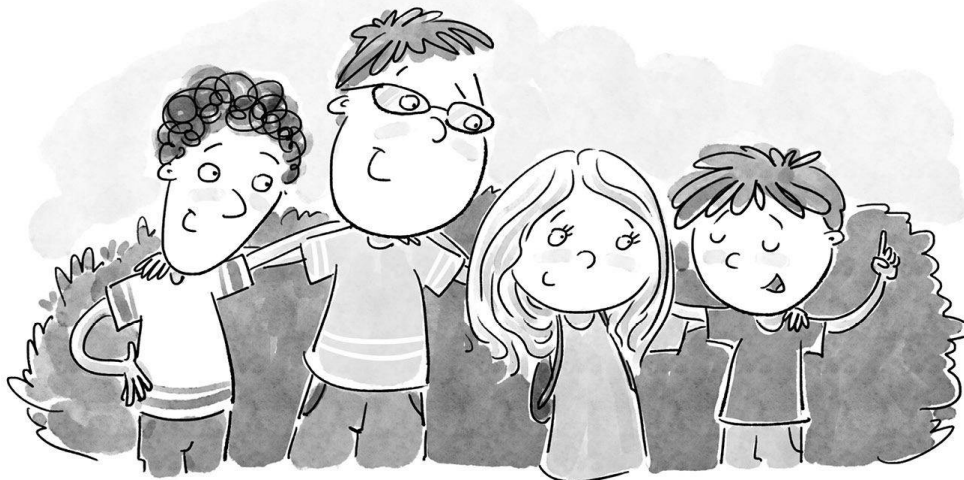
– Co to znaczy? – zainteresował się Tadzik.

– To taka nadzwyczajna sytuacja, kiedy komuś coś grozi i żeby mu pomóc, można złamać prawo.

– Już widzę to oczyma wyobraźni – zadrwił Tytus. – Opowiadacie tacie, że ma być włamanie do jego biura i namawiacie go, żeby zawiadomił policję. Dochodzi do przesłuchania i śledczy pyta, skąd o tym wiecie, a wy tłumaczycie, że od ducha lustra, tylko że on nie chce tego potwierdzić, bo się ukrywa. Dobrze by było, gdyby was tylko wyrzucili z komisariatu. Obawiam się, że raczej wszyscy łącznie z tatą wylądowalibyście na badaniach w psychiatryku.

Musieliśmy przyznać, że Tytus ma rację. Tylko co w takim razie mieliśmy zrobić? Udawać, że nic się nie stało, i pozwolić, by ci bandyci włamali się do biura taty? Na szczęście Tytus wpadł na najprostszy pomysł, który, nie wiem dlaczego, nie przyszedł mi od razu do głowy.

– Jeśli nie możemy nikomu opowiedzieć o niebezpieczeństwie grożącym waszemu tacie, sami musimy nakryć złodziei.



Propozycja Tytusa od razu nam się spodobała. Teraz musieliśmy wymyślić plan, jak ochronić biuro przed złodziejami. Do tego potrzebowaliśmy jak najwięcej informacji o naszych przeciwnikach, dlatego postanowiliśmy sobie przypomnieć wszystko, czego dowiedzieliśmy się w ciągu ostatnich dni. Staś starał się podsumować te informacje:

- Radzio Szprycha ze współnikami ukradł klejnoty królowej brytyjskiej. Po napadzie w czasie ucieczki samochodem Radzio zwiął i przyjechał do biura taty. Nie wiemy dlaczego. Albo przyszedł po poradę i wyszedł z kancelarii ze skradzionymi klejnotami, albo odwrotnie: chciał z kancelarii zrobić bezpieczną kryjówkę dla ukradzionych klejnotów. Bał się, że u niego policja je odnajdzie i potrzebował bezpiecznego miejsca, gdzie może je ukryć. Wkrótce po jego wizycie w kancelarii zjawiają się tajemniczy mężczyźni i czegoś tam szukają. Chyba nie mamy wątpliwości, że byli to dwaj współnicy Radzia Szprychy, których on okradł. Po obejrzeniu reportażu w telewizji dowiadują się, że po tym, jak im uciekł, wszedł do biurowca. Uświadamiają sobie, że w tym biurowcu ma kancelarię jego adwokat. Są pewni, że tam Radzio Szprycha ukrył skradzione klejnoty, więc

przyjeżdżają je odzyskać. Nie znaleźli ich i nie znalazł ich tata, co znaczy, że Radzio Szprycha je świetnie ukrył. Ale oni po nie wrócą...

Zaczęłam analizować słowa Stasia. Jasne już było, że policja uważa, że tata jest zamieszany w kradzież klejnotów. Mogli nawet podejrzewać, że on jest mózgiem całej operacji, której wykonanie zlecił swojemu dawnemu klientowi Radziowi Szprysze. Żeby tego dowieść, musieli odnaleźć klejnoty. Tych samych klejnotów szukali prawdziwi wspólnicy Radzia Szprychy. To, że oni szukają klejnotów, mogło okazać się dla nas korzystne, bo jeśli znaleźliby je, a policja by się o tym dowiedziała, to przestałaby podejrzewać tatę.

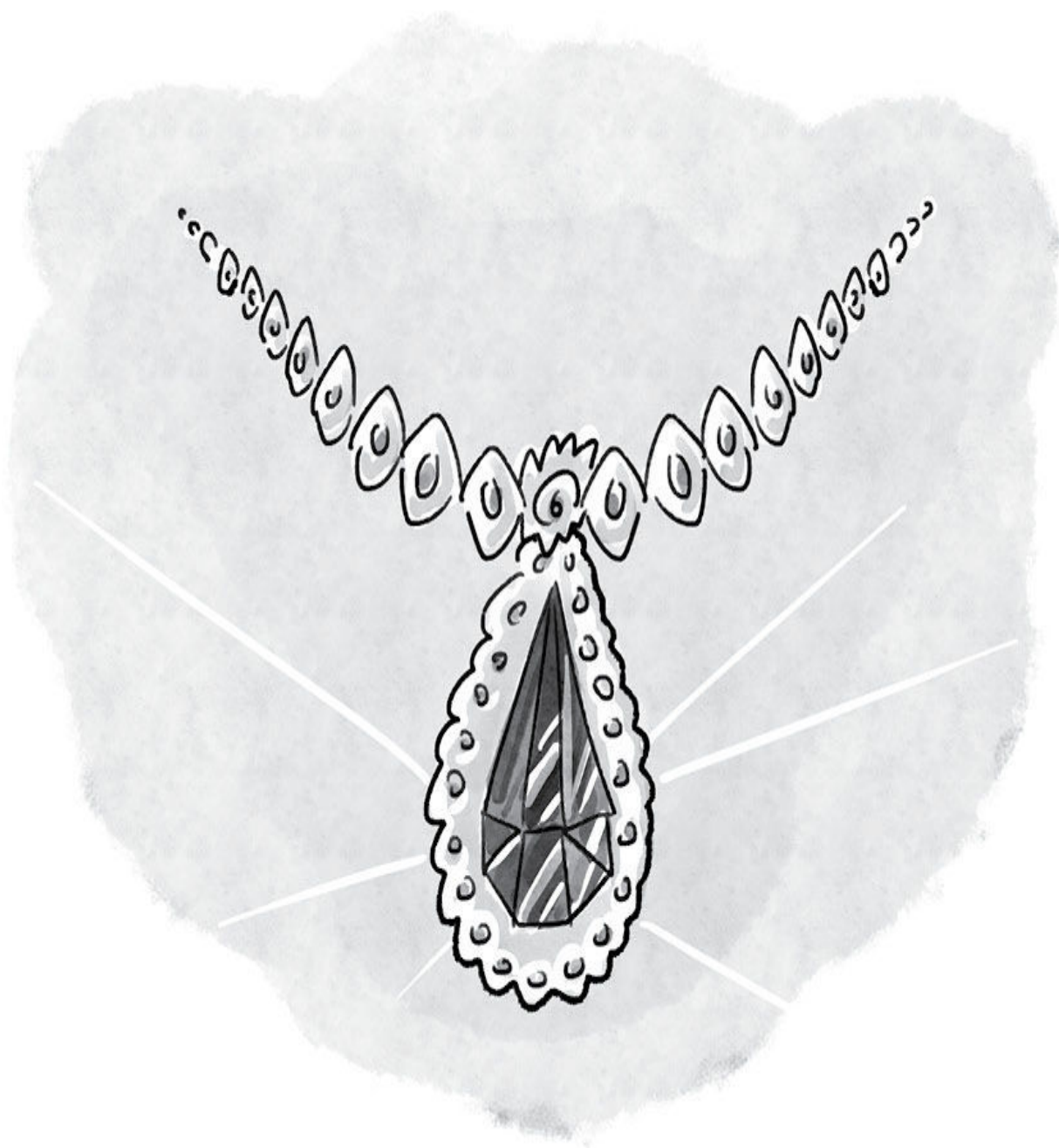
Wyglądało na to, że najbardziej pomogliśmy tacie, gdybyśmy najpierw kontrolowali, czy ci mężczyźni odnajdą klejnoty, a dopiero potem zawiadomili policję. Tylko żeby pomóc bandytom odzyskać klejnoty, najpierw powinniśmy ich poznać, a my nie mieliśmy bladego pojęcia, kim są. Gdybyśmy chociaż wiedzieli, jak wyglądają, pokazalibyśmy ich tacie, a on na pewno by ich rozpoznał. Znał wielu przestępców z różnych procesów sądowych.

– Słyszeliście o portrecie pamięciowym? – zapytał nagle Staś. Wyglądał, jakby właśnie wpadł na jakiś genialny pomysł.

Oczywiście, że wszyscy słyszeliśmy, oglądamy przecież filmy kryminalne. Jeśli policja znajduje świadka przestępstwa, to na podstawie jego relacji sporządza się portret przestępcy, a potem taki portret publikuje się w mediach, licząc, że ktoś rozpozna podejrzanego. Pomysł na pierwszy rzut oka był genialny, bo przecież duch widział tych bandytów, jak jechali windą do kancelarii taty. Mógł zatem nam ich opisać, a my sporządzilibyśmy takie właśnie portrety i pokazalibyśmy je tacie.

Już chciałam uściskać Stasia i powiedzieć, że jest geniuszem, gdy zdałam sobie sprawę, że pomysł jest niemożliwy do zrealizowania. Dlaczego? – spytacie. Już tłumaczę. Otóż wszyscy członkowie naszej rodziny poza Michałem, którego od kilku dni nie było w Warszawie, bo pojechał na plener malarski, obdarzeni zostali genetycznie antytalentem do rysowania. W jaki sposób mielibyśmy więc sporządzić portret pamięciowy? Okazało się jednak, że nie doceniłam pomysłowości mojego brata.

– Pamiętajcie, że duch potrafi przybierać dowolne kształty? Jeśli widział tych bandytów, to potrafi się do nich upodobnić. Wcale nie musimy ich rysować, wystarczy, że zrobimy mu zdjęcie komórką i będziemy mieli idealny portret pamięciowy, którego nikt nie odróżni od oryginału. Potem pokażemy zdjęcie tacie i spytamy, czy ich zna.



Rozdział X

ŚMIERTELNE ZAGROŻENIE

Nie będę was zanudzała szczegółami, w jaki sposób ponownie zmyliliśmy czujność portiera, żeby dostać się do windy. Ważne, że kilka

minut później znów rozmawialiśmy z duchem.

– Cześć, Leon – przywitaliśmy naszego kumpla. – Będziemy potrzebowali twojej pomocy.

– Mam kogoś postraszyć? – zainteresował się duch.

– Nie. Chcielibyśmy cię poprosić, żebyś nam pokazał, jak wyglądali ci dwaj tajemniczy panowie, którzy jechali do taty. Musimy się tego dowiedzieć.

– A po co? – spytał duch, który najzwyczajniej w świecie musiał się nudzić i wyglądało na to, że chce sobie pogadać.

Spojrzałam na pozostałych, którzy z przyzwoleniem kiwnęli głowami. Jeśli chcieliśmy od ducha pomocy, nie mogliśmy mieć przed nim żadnych tajemnic, to byłoby nie fair. Szybko opowiedziałam więc o kradzieży klejnotów królowej brytyjskiej, o tym, jak tata został w to zamieszany i o naszym planie.

– Niezła kryminalna afera – oceniał Leon. – Mogę razem z wami ją rozwiązać?

– Pewnie – zgodziliśmy się. W końcu jedna głowa więcej zawsze się przyda i dobrze będzie mieć ducha za sprzymierzeńca.

Zadowolony Leon zakotłował się w lustrze i na jego tafli pojawił się portret dwóch mężczyzn. Wyjęliśmy telefony i zrobiliśmy zdjęcia. Teraz musieliśmy wrócić do domu i pokazać je tacie.



- Dzięki, Leon. Bardzo nam pomogłeś. Jutro postaramy się zajrzeć do ciebie, by opowiedzieć, czego się dowiedzieliśmy.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się duch. - Przecież ustaliliśmy, że razem z wami będę mógł rozwiązać tę zagadkę. Nie wyobrażacie sobie, jak może się duchowi znudzić życie przez tyle lat w czterech ścianach windy. Musicie mnie zabrać ze sobą. To będzie najwspanialsza przygoda!

Zaczęliśmy się śmiać. Przecież Leon był duchem lustra i mógł żyć tylko w lustrzanej tafli, bez niej by się udusił. Gdybyśmy go zabrali ze sobą, zginąłby w ciągu kilku minut. Nie mieliśmy zamiaru zostać mordercami, o czym poinformowaliśmy ducha.

- Nie jestem samobójcą - odparł. - Skazany jestem na życie w lustrze, ale to nie znaczy, że całe życie muszę mieszkać w windzie.

Przyjrzałam się szklanej tafli, która była mieszkaniem Leona. Musiała ważyć kilka kilo. Jeśli nawet udałoby nam się ją odłączyć od ściany windy, to nigdy nie dalibyśmy rady z nią wyjść z budynku, portier od razu by nas zatrzymał. Nie potrafilibyśmy też wytłumaczyć rodzicom, skąd wzięliśmy lustro i dlaczego przynieśliśmy je do domu.

– Nie możemy cię zabrać. – Ze smutkiem wyjaśniłam duchowi wszystkie powody.

Wysłuchawszy mnie, Leon był wyraźnie rozbawiony.

– A czy kiedy wyjeżdżasz na wakacje, to zabierasz ze sobą cały dom, czy tylko walizkę?

– Walizkę – przyznałam. – Całego domu bym nie uniosła, z walizką też jest mi ciężko i zawsze któryś z braci mi ją niesie.

– Tak samo ja – tłumaczył. – By gdzieś iść, nie muszę używać do tego całego mojego mieszkania. Potrzebuję lustra, żeby żyć, ale wystarczy mi do tego bardzo małe lustro, nie mam wielkich potrzeb. Widziałem, że masz w plecaku puderniczkę.

Otworzyłam plecak. Faktycznie miałam w nim różową puderniczkę, którą dostałam na urodziny od mamy. Zawsze chciałam taką mieć, czułam się wtedy taka dorosła. Gdy otworzyłam tę puderniczkę, duch przeskoczył do niej.

– Jest mi tu całkiem wygodnie – oznajmił. – Możemy ruszać. Och, jak ja marzę o wielkiej przygodzie.

Włożyłam puderniczkę z duchem do plecaka i wyszliśmy z windy. Nie chcieliśmy zadzierać z portierem, więc zeszliśmy po schodach. Gdy byliśmy na dole i przechodziliśmy przez hol, uśmiechając się do portiera, usłyszałam stłumiony krzyk:

– Ratunku, pomocy, wypuście mnie!



Przestraszona zatrzymałam się i zaczęłam się rozglądać, szukając tego, kto krzyczy. Nie zobaczyłam niczego podejrzanego, za to usłyszałam ponowny i coraz bardziej rozdzierający krzyk o pomoc. Wtedy spostrzegłam, że portier wpatruje się we mnie. O co mu chodzi? Tu ktoś wzywa pomocy, pewnie grozi mu niebezpieczeństwo, a on zamiast pomagać, wciąż patrzy. I znów krzyk, tak bliski i głośny. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że dochodzi on z mojego plecaka. To oznaczało, że nasz duch jest w tarapatkach. Co mu się mogło stać? Ktoś go zaatakował? Drugi duch? Jednak to wydawało się zbyt niewiarygodne, ale tak czy inaczej – musiałam natychmiast mu pomóc. Tylko że ten portier patrzył cały czas na mnie, nie mogę przecież wyjąć przy nim ducha z torebki. Rzuciłam się biegiem do wyjścia. Usłyszałam jeszcze, jak Tadzik tłumaczy portierowi:

– Siostrze włączyło się w torebce radio, to jej się często zdarza. Powtarzam jej: „Nie ściszej, tylko wyłączaj”, ale ona mnie nigdy nie

słucha. Nie uwierzy pan, ale pewnego dnia w klasie...

 Nie słyszałam dalszego ciągu, pokonałam obrotowe drzwi i znalazłam się na dworze. Wyciągnęłam puderniczkę z torby. Duch był różowo-blady.



Rozdział XI

IDENTYFIKACJA

Co mu się mogło stać? – zastanawiałam się przerażona i wtedy uświadomiłam sobie, że to była moja wina, to ja wykończyłam naszego ducha.

Jak wiecie albo nie, w puderniczkach pomiędzy warstwą pudru na jednej ściance a lustrem umocowanym na drugiej jest zawsze gąbka, dzięki której puder nie brudzi lustra. Z mojej puderniczki gąbka wypadła kilka dni temu. Wtedy specjalnie się tym nie przejęłam, bo ja

jej w ogóle nie używam, tylko noszę od czasu do czasu w plecaku, od kiedy usłyszałam od mamy, że elegancka kobieta powinna zawsze mieć przy sobie puderniczkę. Zupełnie o tym zapomniałam i nie pamiętałam aż dotąd. Reszty już możecie się sami domyślić. Gdy zamknęłam wieko puderniczki i wrzuciłam ją do plecaka, tumany pudru zwały się na biednego ducha. Człowiek przysypany mąką czy solą bardzo szybko by się udusił. Podobny los zgotowałam duchowi.

Musiałam go natychmiast reanimować. Oby nie było za późno. Błyskawicznie przetarłam powierzchnię lustra rąbkiem sukienki, po czym wyjęłam z torebki chusteczkę i zaczęłam czyścić taflę, potem tą chusteczką zastąpiłam gąbkę. Uwolniony od pudrowej warstwy duch powoli dawał oznaki życia. Zaczął oddychać, najpierw płytko, potem nieco głębiej, aż w końcu odetchnął pełną piersią, nabierając leciutkich rumieńców. Szczęśliwa przytuliłam ducha.

– Kochany Leonku, tak cię przepraszam, to moja wina. Jak się czujesz?

Duch przez chwilę jeszcze nie reagował, nadal był oszołomiony, aż w końcu wydał z siebie głos:

– Załóż mi okulary przeciwsłoneczne – wyszeptał.

W pierwszym odruchu przestraszyłam się, że od nadmiaru wrażeń Leon jest w szoku i mówi od rzeczy i dopiero po chwili zrozumiałam. Przez całe swoje życie duch mieszkał w windzie, gdzie było sztuczne oświetlenie. Teraz był na dworze, świeciło słońce, mógł więc dostać zapalenia spojówek. Błyskawicznie zdjęłam moje przeciwsłoneczne okulary i nałożyłam je na lusterko w pudernicze.

– Uff, lepiej – stwierdził duch. – Dziękuję.

Pomyślałam, że teraz, kiedy doszedł do siebie, będzie miał pretensje za moje gapiostwo. Na szczęście dla mnie duch w nowych

przeciwsłonecznych okularach zaczął się rozglądać i świat zewnętrzny go całkowicie zafascynował.



– To wszystko jest nieprawdopodobnie piękne – mówił do siebie.

Wtedy dotarło do mnie, że to wszystko, co dla mnie jest codziennością, ziemia, trawa, drzewa, niebo, słońce, przelatujące ptaki, on dotychczas znał tylko ze zdjęć i dziś zobaczył po raz pierwszy. Wszystko go interesowało i co chwila zadawał nowe pytania, na które skwapliwie odpowiadałam, nie chcąc, by zaczął wspominać rozsypany puder.

Potem wróciliśmy do domu. Byłam bardzo ciekawa, jak tacie poszło pisanie mojego wypracowania, ale nie mogłam o to zapytać, bo mama była w domu. Mieliśmy zresztą teraz ważniejsze sprawy na głowie. Poszliśmy wydrukować zdjęcia z windy, żeby je pokazać tacie i niestety okazało się, że w lustrzanym odbiciu widać nasze twarze. Trzeba było powtórzyć wszystkie ujęcia.

Przemknęliśmy się do łazienki i starannie zamknęliśmy drzwi na klucz. Musieliśmy być ostrożni. Wyobrażacie sobie, co by było, gdyby nagle weszła mama i zobaczyła ducha odtwarzającego wizerunek groźnych przestępców? Mogłoby się skończyć wizytą na pogotowiu na oddziale reanimacyjnym, a tego woleliśmy mamie zaoszczędzić. I tak ma ostatnio za dużo zmartwień. Wyjęłam ducha z torebki i przełożyłam z puderniczki do dużego lustra nad umywalką.

– Miło tutaj – pochwalił ducha, rozciągając skurczone w pudernicze ramiona. – Mogę się wykąpać? – spytał, wpatrując się w dużą wannę z hydromasażem. – Nie myłem się od urodzenia.

– Nie teraz – powstrzymałam go. – Jeśli wytrzymałeś bez kąpieli tak długo, to możesz jeszcze z godzinkę poczekać. Najpierw sesja zdjęciowa.

- Okej - zgodził się. - Ci faceci nie wyglądali na szczególnie domytych, to tak wyjdzie bardziej naturalnie.

Duch zaczął pozować w lustrze, a my robiliśmy zdjęcia. Po chwili mieliśmy kilka bardzo dobrych ujęć.

- Chodźmy je wydrukować i pokażemy je tacie - zaproponowałam.

Zapakowałam Leona z powrotem do puderniczki i poszliśmy do pokoju Tadzia wydrukować zdjęcia. Pozostawało nam jeszcze jedno: ustalić, w jaki sposób pokażemy je tacie. Nie mogliśmy przecież tak po prostu pokazać mu zdjęcia i spytać, kto na nim jest. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy, że tylko ja pójdę do taty, bo gdyby nagle w jego gabinecie pojawiła się nieoczekiwanie cała rodzina, to wzmogłoby jego podejrzliwość. Włożyłam zdjęcie do zeszytu i zeszłam na dół do gabinetu taty. Ucieszył się na mój widok.

- Skończyłem wypracowanie, przeczytasz?

- Oczywiście, na pewno jest fantastyczne, tak jak wszystkie poprzednie. - Wiedziałam, że w ten sposób zrobię mu przyjemność. Tata uwielbia, jak ktoś czyta jego teksty, a gdy do tego je chwali, jest wniebowzięty.

Usiadłam na fotelu przy biurku i zerknęłam na tatę kątem oka. Sprawdzał, czy na pewno czytam.

Wypracowanie było zabawne i kilka razy szczerze się roześmiałam. Tata był zachwycony. Nie odrywając oczu od tekstu, wyjęłam wydrukowane zdjęcie z zeszytu i dyskretnie opuściłam na ziemię, po czym nogą wsunęłam je pod biurko. Doczytałam do końca i powiedziałam tacie, że bardzo mi się podobało. Gdy wstawałam z fotela, maszynopis wyślizgnął mi się z rąk i kartki upadły na podłogę. Pochyliłam się, żeby je pozbierać i wtedy wyjęłam fotografię spod biurka.

- Znalazłam jakieś zdjęcie. - Pokazałam tacie. - Kim są ci panowie?
Zaciekawiony tata podszedł do mnie i wziął do ręki zdjęcie.

- Skąd się tu wzięło? - zastanawiał się zdziwiony.

- Tu leżało. - Pokazałam mu miejsce, gdzie na podłodze oparta była sterta akt. - Musiało ci wypaść - zasugerowałam.

- Nie przypominam sobie tego zdjęcia, coraz gorzej z moją głową - zmartwił się tata. - To moi klienci. Broniłem ich.

Wiedziałam, że tata uwielbia opowiadać o prowadzonych przez siebie sprawach, zwłaszcza jeśli udało mu się je wygrać. Musiałam to wykorzystać.

- O co byli oskarżeni?

- To był bardzo ciekawy proces. Ci dwaj panowie zostali oskarżeni o napad.

- Na pewno pisały o tym gazety - drążyłam temat.

Wiedziałam, że tata zbiera wycinki o prowadzonych przez siebie sprawach. Dzięki temu miałam szansę dowiedzieć się więcej.



- Tak, był o tym duży artykuł w gazecie. Zaraz ci pokażę. - Tata sięgnął po segregator, w którym trzymał wycinki z tych swoich spraw, i zaczął w nim grzebać. - O, mam. - Rozłożył na biurku stronę z gazety. Zobaczyłam dużą fotografię sali sądowej, przy pierwszej drewnianej ławie siedział tata ubrany w czarną togę, a za nim siedzieli dwóch mężczyzn. Rozpoznałam ich. To byli ci sami, którzy jechali windą do kancelarii taty. Nim zdążyłam o nich spytać, drzwi do gabinetu taty otworzyły się i stanęła w nich mama.

- Wołałam, ale wy nic nie słyszycie. Zapraszam na kolację.

Byłam zła. Właśnie teraz, gdy mogłam się wszystkiego dowiedzieć, przyszła mama i nam przerwała. Tata wyjął mi artykuł z ręki i chciał go włożyć do segregatora.

- Nie chowaj - poprosiłam. - Chciałabym to przeczytać po kolacji.

Tata położył artykuł na biurku i poszliśmy do jadalni. Gdy weszliśmy do kuchni, Staś dużą łyżką pałaszował risotto prosto

z garnka.

– Jak możesz? – oburzyła się mama. – Wyszłam na minutę, a ty w tym czasie zdążyłeś wyjść kilka porcji.

– Byłem bardzo głodny, od rana nic nie jadłem – tradycyjnie odparł Staś, nie próbując nawet udawać, że mu wstyd. Zazwyczaj w takich sytuacjach mu nie darowuję, ale tym razem odpuściłam. Mieliśmy ważniejsze rzeczy do załatwienia.

– Tata zaczął mi opowiadać o bardzo ciekawym procesie, który prowadził – poinformowałam rodzinę. – Opowiesz nam o nim?

Mama spojrzała na mnie, sprawdzając, czy aby nie jestem chora. Doskonale wiedziałam dlaczego. Na ogół jest tak, że to tata chce nam opowiadać o procesach, które prowadzi. Uwielbia to i często krąży po domu, szukając ofiary. My zaś staramy się za wszelką cenę zejść mu wtedy z drogi. Tym razem było zupełnie odwrotnie i to zaniepokoiło mamę. Na wszelki wypadek położyła mi rękę na głowie, sprawdzając, czy nie mam gorączki, ale nie stwierdziwszy żadnych podejrzanych objawów, uspokoiła się. Tata jak zwykle nie dał się prosić.

– Tę sprawę prowadziłem wiele miesięcy temu. Dwaj mężczyźni ze zdjęcia, które znalazłaś w moim gabinecie, to Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy, którzy zostali oskarżeni o napad.

O mało nie podskoczyłam na krześle. Jeszcze nie zdążyłam skosztować pierwszego kęsa risotta, a zadanie było już wykonane. Znaliśmy tożsamość mężczyzn, którzy dokonali napadu, a teraz zamierzali włamać się do kancelarii taty, by odnaleźć w niej klejnoty, które być może ukrył w niej Radzio Szprycha. Wiedzieliśmy, przed kim mamy teraz pilnować kancelarii taty. A właściwie to „pilnować” nie było tutaj właściwym słowem. Gdy się pilnuje, to się chce, żeby nic nie zginęło. U nas sytuacja była zupełnie odwrotna. Idealnie by było, gdyby

Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy dostali się do kancelarii taty i zabrali te przekłete klejnoty, których nawet nie miałam okazji zobaczyć.

Na chwilę zapomniałam o napadzie i niebezpieczeństwie grożącym tacie i po raz pierwszy pomyślałam o tych klejnotach. Jeśli zakładała je sama królowa brytyjska, jakież musiały być piękne! Noszenie ich było zapewne marzeniem każdej kobiety. Ja nie byłam wprawdzie jeszcze kobietą, tylko małą dziewczynką, ale na pewno też bym w nich pięknie wyglądała. Gdyby tak je znaleźć i wypożyczyć choćby na jeden dzień. Mogłabym pójść w nich do szkoły, wszystkie koleżanki pospadałyby na ich widok z krzeseł, a po lekcjach poszlibyśmy razem z Tytusem na lody.

Ten obraz robił się w mojej głowie coraz bardziej wyrazisty, ale szybko zdałam sobie sprawę, że muszę zwalczyć tę pokusę. Przecież zdjęcia skradzionych klejnotów były publikowane w każdej gazecie, to obecnie najbardziej poszukiwana biżuteria na świecie. Gdybym się w nich gdziekolwiek pojawiła, to pięć minut później w tym miejscu znalazłaby się cała warszawska policja. No, a kto odpowiada za szkody wyrządzone przez dzieci? Oczywiście rodzice. Czyli w tym samym areszcie znalazłby się kilka minut później tata. Sama zgotowałamby mu los, przed którym teraz chcieliśmy go uchronić.

Szybko w myślach zrzuciłam z siebie królewskie klejnoty i powróciłam do analizowania sprawy. Tak, idealnym rozwiązaniem byłoby, gdyby pod naszą kontrolą Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy zabrali te klejnoty. My byśmy tylko zawiadomili policję, gdzie przestępcy ze swoim łupem przebywają, i byłoby po sprawie. Tylko czy taki scenariusz był realny? Przecież tata przeszukał już swój gabinet, podejrzewając, że Radzio Szprycha ukrył tam klejnoty, i nic nie znalazł.

Potem szukali ich Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy i też ich nie znaleźli, zatem wcale nie było pewne, że one tam są. Chyba że Radzio Szprycha wymyślił jakiś genialny schowek, którego nie znał właściciel gabinetu, czyli tata. Jeśli schowek ten był tak idealny, to mogli nie odnaleźć go również Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy.

Uznałam, że jak tylko nadarzy się okazja, my też musimy przetrząsnąć cały gabinet, wszak nie był on taki duży, zaledwie dwadzieścia metrów kwadratowych. Nie mogło w nim przepaść bez wieści coś, co jest warte czterdzieści milionów funtów. Powinniśmy to zrobić jak najszybciej, bo jeśli policja podejrzewa tatę, to na pewno też będzie chciała przeszukać jego gabinet.

Przypomniałam sobie, że klejnoty były oprawione w szlachetne kruszce. Jeśli byśmy ich nawet nie zobaczyli, to przecież musieliśmy je wykryć. Wystarczył wykrywacz metalu, a taki na pewno można wypożyczyć. Jeśli rabusie nie odnaleźli klejnotów, to zrobimy to my i tak to zaaranżujemy, żeby oni je znaleźli. A zatem powinniśmy odszukać naszych rabusiów, jeszcze zanim oni przyjdą do biura, by móc ich kontrolować. Skupiłam się na opowieści taty.

– Oni zostali oskarżeni o napad na bank.

– Powiedziałaś na początku, że ich uniewinniono, czyli rozumiem, że ich oskarżono niesłusznie, bo tego napadu nie dokonali – przerwał tacie Staś, przełykając risotto.

– To za daleko posunięta hipoteza – sprostował tata. – Jak wam wielokrotnie opowiadałem, żeby kogoś skazać w procesie karnym, trzeba mu udowodnić winę. Wina jest wtedy udowodniona, jeśli sędzia jest w stu procentach pewien, że to oskarżony jest winny. Jeśli ma jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, kto jest sprawcą, to powinien oskarżonego uniewinnić, bo zgodnie z podstawową zasadą kodeksu

postępowania karnego wszystkie wątpliwości powinny być rozstrzygane na korzyść oskarżonego.

To, co tata mówił, wydawało się bardzo skomplikowane, ale na razie nadażałam.

– Zatem – kontynuował tata – wyrok uniewinniający musi zapaść zarówno wtedy, gdy sąd jest w pełni przekonany, że ktoś jest niewinny, jak również wtedy, gdy brak jest stuprocentowych dowodów winy. W ten sposób niektórzy przestępcy unikają kary, ale musi się to tak dziać, żeby zagwarantować, że nikt nie zostanie niesłusznie skazany.

– To znaczy, że oni byli winni, a nie zostali skazani? – dopytywał się Staś.

– Nie było stuprocentowych dowodów ich winy, a zatem nie mogę rozstrzygnąć, czy byli winni, czy nie – odpowiedział tata. – Jak co chwila nie będziecie mi przerywać, to opowiem wam całą historię, a wy rozstrzygniecie sami.

– Zamieniam się w słuch – oświadczył Staś i dla uwiarygodnienia swych słów nałożył sobie na talerz kolejną już, podwójną porcję risotto.

– Rano, dwie minuty po otwarciu banku spółdzielczego pod jego wejście podjechał na sygnale wóz straży pożarnej. Z samochodu wyskoczyło trzech strażaków i wbiegło do środka. Krzyczeli, że mają zgłoszenie pożaru i ogłosili natychmiastową ewakuację budynku. Przerażeni pracownicy wybiegli z budynku, a strażacy przystąpili do akcji gaśniczej. Ludzie na zewnątrz usłyszeli potężny huk, więc cofnęli się, myśląc, że doszło do eksplozji. Potem w środku zapanowała cisza. Po upływie około trzech minut strażacy wybiegli z banku i nie żegnając się z nikim ani nie wyjaśniając, co się stało, odjechali. Pracownicy przez chwilę stali pod bankiem zdezorientowani, nie wiedząc, co robić, aż w końcu odważyli się zajrzeć do środka. Ich

pierwsze zdziwienie wywołał brak śladów pożaru i wtedy zaczęli usilnie zastanawiać się, po co przyjechali strażacy. Nie wiedzieli też, czy w związku z odjazdem strażaków niebezpieczeństwo już minęło.



Dyrektor banku zadzwonił do straży pożarnej. Tam dowiedział się, że nikt nie wie, by jakiś wóz strażacki wyjeżdżał do banku gasić pożar. Strażak nie miał czasu dłużej rozmawiać z dyrektorem, bo okazało się, że właśnie zginął jeden z ich wozów. Sprawa stawała się coraz dziwniejsza i dyrektor, nie zważając na potencjalne niebezpieczeństwo, zdecydował się wejść do środka i osobiście zwizytować swój bank. Ta wizytacja doprowadziła go do palpacji serca, po wejściu do skarbca zobaczył bowiem, że drzwi do kasy zostały wysadzone, a cała gotówka zniknęła. Nietrudno było się domyślić, że sprawcami kradzieży byli strażacy, którzy tak szybko odjechali spod banku. Dyrektor natychmiast

zadzwoił po policję. Policjanci przesłuchiwali wszystkich pracowników, chcąc dowiedzieć się, jak wyglądali włamywacze, niestety złoczyńcy cały czas mieli kaski na głowach i nikt nie zauważył ich twarzy.

Policjanci przejrzeni nagrania z bankowych kamer, ale nie znaleźli niczego, co mogłoby ich naprowadzić na trop złodziei albo ich zidentyfikować. Nie zabezpieczyli też żadnych śladów, bo strażacy nie zdjęli rękawiczek. Natychmiast wszczęto poszukiwania wozu strażackiego, licząc, że w ten sposób uda się odnaleźć rabusiów. Zaczęto analizować zapisy z miejskiego monitoringu i wkrótce samochód, który ukradziono z parkingu straży pożarnej, został odnaleziony porzucony na polance nad Wisłą. W samochodzie też nie udało się zabezpieczyć żadnych śladów. Wtedy policja dała ogłoszenie w mediach, by zgłaszali się wszyscy, którzy mają jakąś wiedzę o porzuconym wozie strażackim. To pomogło i w końcu udało się wpaść na konkretny trop.

Pięćdziesiąt metrów od polanki, gdzie porzucono samochód, był mały zagajnik. Do tego zagajnika wybrała się na wagar dwójka uczniów pobliskiego liceum. Andrzej Wychodnik i Danuta Ucieczka. Gdy zobaczyli wjeżdżający na polankę wóz strażacki, ukryli się w zagajniku, nie chcąc być przyłapani w trakcie wagarów. Schowani za drzewem obserwowali strażaków. Zobaczyli, jak na polankę podjechał niebieski renault laguna. Strażacy zdjęli z siebie mundury, które wrzucili do bagażnika samochodu, wrzucili tam jeszcze płócienny worek i odjechali. Uczniowie, gdy po powrocie do domu usłyszeli komunikat w telewizji, sami zgłosili się na policję. Po złożeniu przez nich zeznań policjanci zaczęli sprawdzać wszystkie niebieskie laguny, ale okazało się, że samochód ten został skradziony dzień przed napadem, a następnie też porzucony.

Istotniejsze było to, że uczniowie widzieli twarze mężczyzn, którzy wysiedli z wozu i zdjęli z głów kaski. Byli w odległości ponad pięćdziesięciu metrów, zatem nie widzieli bardzo wyraźnego obrazu, ale podali kilka szczegółów, na podstawie których policyjni graficy zaczęli pracować nad portretami pamięciowymi złodziei. Niezależnie od tego analitycy zaczęli przeglądać zdjęcia różnych znanych przestępców, szukając osób odpowiadających opisom licealistów. Na jednej z tablic poglądowych natknęli się na zdjęcia Mieczysława Chciwego i Edwarda Lepkiej Rączki i wytypowali ich jako potencjalnych sprawców napadu. W momencie, gdy policjanci mają podejrzanych, to albo ich obserwują, licząc, że dzięki temu natrafią na jakiś dowód przestępstwa, albo przez zaskoczenie robią u takich osób rewizję. To, o czym wam opowiadam, działo się bardzo krótko po napadzie i policjanci zakładali, że jeśli zrobią u nich rewizję, mogą znaleźć skradzione pieniądze. Zdecydowano się zatem na ten drugi wariant i wcześniej rano do mieszkania każdego z tych mężczyzn wkroczyła brygada specjalna policjantów.

Słuchając opowieści taty, zrozumiałam, dlaczego Radzio Szprycha nie miał zamiaru przechowywać u siebie skradzionych klejnotów i zdecydował się zdeponować je w bezpieczniejszym miejscu.

– Policjanci przeszukali te mieszkania, ale niczego nie znaleźli; ani skradzionych pieniędzy, ani żadnego dowodu mogącego świadczyć, że to mężczyźni dokonali napadu. W takich wypadkach dla policji najważniejsze jest alibi, czyli ustalenie, co podejrzany robił w czasie napadu. Zatrzymani zgodnie zeznali, że tego dnia wybrali się na grzyby, a jako dowód każdy z nich pokazał koszyk z zebranymi grzybami. Alibi nie było specjalnie wiarygodne, bo dawali je sobie sami podejrzani, a grzyby mogli kupić na bazarze, ale policja nie miała też żadnego

dowodu, że ich wersja jest nieprawdziwa. W tej sytuacji zdecydowano się zatrzymać ich na czterdzieści osiem godzin i zawieźć na komendę. Jeśli policja ma podejrzanych o popełnienie przestępstwa i świadków tego przestępstwa, w takich wypadkach przeprowadza się okazanie, czyli pokazuje podejrzanych świadkom, żeby ci ich zidentyfikowali. Tak było i tym razem. Poproszono licealistów o identyfikację zatrzymanych mężczyzn.

Żeby takie okazanie miało wartość dowodową, trzeba je przeprowadzić według ściśle określonych zasad. Podejrzany musi być okazany świadkowi w grupie trzech innych osób o podobnym wyglądzie i w sposób pozbawiony jakiegokolwiek sugestii. Okazanie odbywa się przez lustro fenickie, to jest takie, przez które świadek widzi okazywane mu osoby, ale sam nie jest dla nich widoczny. W ten sposób zapewnia się bezpieczeństwo świadkowi i eliminuje możliwość wpłynięcia okazywanych na jego wybór. Zatrzymanych okazano świadkom i licealiści rozpoznali Edwarda Lepką Rączkę i Mieczysława Chciwego jako tych mężczyzn, którzy na polance nad Wisłą wysiedli z wozu strażackiego. W ten sposób zdobyto, jak się wydawało, bezsporny dowód ich winy. Prokurator postawił im zarzuty i zorganizował konferencję prasową, na której ogłosił, że zatrzymał sprawców napadu. Sąd zastosował wobec nich areszt, a ja zostałem wynajęty, żeby ich bronić.

– Mówiłeś, tato, że oni zostali uniewinnieni – przypomniał Staś. – Ale przecież to niemożliwe, jeśli świadkowie rozpoznali ich, to przecież musieli zostać skazani.

– Tak również wydawało się prokuratorowi i dlatego już przed zapadnięciem wyroku dzielił skórę na niedźwiedziu, ale pamiętajcie,

że w prawie nie ma nic oczywistego, sprawy z pozoru jednoznaczne nagle potrafią się bardzo zagmatwać.

– Naprawdę ich obroniłeś? – spytałam, wiedząc, jak tata lubi, gdy interesuję się jego pracą. – Jak to się stało?

– To nie było wcale takie trudne – odrzekł skromnie tata. – Jak wam mówiłem, okazanie, żeby miało wartość dowodową, musi być przeprowadzone według określonych reguł, czyli tak, żeby rozpoznający nie byli poddani żadnej sugestii. Dlatego w takich sprawach zadaję dużo pytań odnośnie do tego, jak przebiegało okazanie. No i w trakcie tych pytań dowiedziałem się czegoś sensacyjnego. Otóż zatrzymanych mężczyzn przyprowadzono skutych w kajdanki pod pokój okazań, a ponieważ był zamknięty, posadzono ich na krzesłach na korytarzu. Naprzeciwko nich usiedli ci licealiści czekający na rozpoznanie. Widzieli ich zatem razem w kajdankach pilnowanych przez policjantów. Dopiero po kilku minutach pokój otwarto i zatrzymanych mężczyzn wprowadzono do niego. Chwilę później na korytarzu pokazało się kilku mężczyzn w mundurach policyjnych, którzy również weszli do pokoju okazań. Oni potem byli okazywani tym licealistom wraz z moimi klientami. Czy wyobrażacie sobie większą sugestię? – opowiadał rozentuzjasmowany tata. – Ci świadkowie widzieli najpierw oskarżonych w kajdankach, a potem widzieli pozostałych okazywanych w mundurach policyjnych. W takich warunkach większość ludzi wskazałaby jako sprawców mężczyzn, których widzieli skutych. Czynność okazania przeprowadzono nieprawidłowo i nie miała ona wartości dowodowej. Tak też ocenił to sąd, a ponieważ rozpoznanie było jedynym dowodem w sprawie, sąd nie miał innego wyjścia i wydał wyrok uniewinniający – zakończył opowieść tata.



Niesamowite, pomyślałam. Czyjś błąd i sprawcy nie ponoszą kary, bo po tym, co usłyszałam, nie miałam wątpliwości, że to ci sami mężczyźni przed rokiem okradli bank, a teraz zrabowali klejnoty królowej brytyjskiej.

– Czy miałeś z nimi kontakt po procesie? – spytałam tatę.

– Jak tylko zostali wypuszczeni z aresztu, zniknęli mi z oczu i nie widziałem ich prawie przez rok. Po procesie zapraszali mnie na drinka do jakiegoś swojego baru, chyba nazywał się Rozwałka, ale oczywiście odmówiłem. Teraz całkiem niedawno odwiedzili mnie, chcąc zasięgnąć porady.

– A o co pytali? – starałam się wyciągnąć jak najwięcej informacji od taty.

– Kochanie, wiesz, że nawet jakbym bardzo chciał, nie mogę ci powiedzieć. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa – przypomniał tata.

– A to znaczy, że to, o czym rozmawiam ze swoimi klientami, jest świętą tajemnicą, której nie mogę zdradzić w żadnych okolicznościach nikomu.

Jak mogłabym o tym zapomnieć? Tata o tej tajemnicy opowiadał mi już kilkakrotnie, ale tak naprawdę myśmy już wszystko wiedzieli. Powinniśmy teraz skoncentrować się na zdobyciu wskazówek, gdzie by można było tych dwóch znaleźć. Niestety tata zajrzał do garnka, z którego Staś właśnie wyjadł ostatnią porcję risotto, potem spojrzął na zegarek i stwierdziwszy, że jest bardzo późno, a on musi jeszcze popracować, wstał od stołu.



Rozdział XII

ZAMACH NA DUCHA

Po wyjściu taty poczułam, że jestem bardzo głodna. Odruchowo wyciągnęłam rękę w kierunku garnka, gdy uświadomiłam sobie, że gdy ja koncentrowałam się na tym, by jak najwięcej wyciągnąć z taty, Staś skutecznie pozbawiał nas pożywienia. Dostrzegając mój rozpaczliwy ruch, mama spojrzała na mnie i na Tadzia ze współczuciem.

– Pewnie jesteście głodni?

– Tak, z radością bym coś jeszcze zjadł – odpowiedział w naszym imieniu Staś.

Mama westchnęła tylko, powstrzymując się od komentarza i powiedziała, że idzie do spiżarni sprawdzić, czy w domu zostało jeszcze coś do jedzenia.

- Może weźmiesz koszyk, żebyś mogła więcej zabrać - odpowiedział jej Staś. Gdy mama wyszła, siłą powstrzymałam się od kopnięcia Stasia w goleń.

Korzystając z nieobecności mamy, mogliśmy omówić, co robimy dalej. Powinniśmy odnaleźć tych złodziei, by móc ich zacząć kontrolować.

- Myślisz, że to będzie takie proste? - Tadzik ostudził mój entuzjazm. - Przestępcy na ogół ukrywają się, a nie paradują publicznie, żeby ich wszyscy mogli spotkać. Pewnie zaszyli się jak mysz w dziurze i nie wychylają z niej nosa. Tak samo jak Radzio Szprycha, którego szuka policja i nie może znaleźć.

- Nie możesz ich porównywać - zaprotestowałam. - Pamiętaj, że Radzia Szprychy szukają zarówno jego kumple, jak i policjanci, którzy wiedzą, że on był złodziejem.

- Nie zgadzam się z tobą - powiedział Tadzio. - Jeśli Radzio Szprycha wie, że oni go szukają, to myślisz, że on będzie tak spokojnie na to czekał? Skąd wiesz, że nie postanowił załatwić ich pierwszy. Oni muszą brać to pod uwagę i na pewno zaszyli się w jakimś miejscu, którego nikt nie może znaleźć. Poza tym pamiętaj, że jeśli policja wie, że w napadzie brał udział Radzio Szprycha, a napastników było trzech, to na pewno zastanawiają się, kim są pozostali. I pewnie ich już szukają.

To, co powiedział Tadzik, brzmiało przekonująco. Ale czy to znaczyło, że mieliśmy się poddać? Nie mogliśmy jednak kontynuować tego tematu, bo w kuchni zjawiała się mama. Pomagając jej zrobić kanapki, rozmawialiśmy na neutralny temat. Potem postawiliśmy talerz z kanapkami na stole i natychmiast rzuciliśmy się na nie z Tadzkiem, jak sprinter na linię mety, chcąc wyprzedzić Stasia i zdobyć tym razem choć kęs dla siebie. Gdy skończyliśmy, mama powiedziała, że znalazła jeszcze

dwa kawałki szarlotki, które postawiła na kredensie. W takich sytuacjach refleks Stasia jest rewelacyjny. Mój brat zerwał się z krzesła w okamgnieniu i, taranując wszystko, ruszył w kierunku kredensu. Pech chciał, że na jego drodze stał mój plecak, który przewrócił.

– Ratunku, pomocy! – Usłyszałam stłumiony okrzyk.

– Co to było? – Odwróciła się zdziwiona mama.

Wiedziałam doskonale, ale ostatnią rzeczą, którą mogłam zrobić, to powiedzieć o tym mamie.

– Coś mi się włączyło w telefonie. – Znalazłam najprostsze wyjaśnienie. Zastanawiałam się, co się mogło stać duchowi. Staś, biegnąc, mógł go nadepnąć albo, co gorsza, stłuc lusterko, w którym przechowywaliśmy ducha. Miałam nadzieję, że nie będziemy musieli go reanimować, ale, tak czy owak, trzeba było natychmiast sprawdzić, co się stało.

– Muszę lecieć do toalety – oznajmiłam. Złapałam plecak i wybiegłam z kuchni. W łazience błyskawicznie otworzyłam suwak. W środku zobaczyłam otwartą puderniczkę. Musiało to się stać, gdy Staś wszedł w kolizję z plecakiem. Wyciągnęłam puderniczkę na blat umywalki. Spojrzałam w lusterko. Ducha tam nie było. Zniknął. Co się z nim mogło stać? – zastanawiałam się gorączkowo. Wyrzuciłam na blat zawartość plecaka i rozpaczliwie zaczęłam przeglądać wszystkie rzeczy. W końcu na mojej legitymacji szkolnej dostrzegłam szarą rozmazaną ciężko dyszącą maź. To musiał być Leon. Złapałam legitymację i cisnęłam mazią w tafłę łazienkowego lustra. To był naprawdę ostatni moment. Kilka minut zajęło Leonowi dochodzenie do siebie. Gdy w końcu mógł mówić, sprawiał wrażenie mocno zdenerwowanego. W pierwszych wyduszonych z siebie słowach oświadczył, że chwila, w której zdecydował się wyruszyć z nami, była najgorszą w jego życiu.

- Dotychczas mieszkałem w wielkim, przestronnym lustrze - skarżył się wzburzony. - Pełnym wygód i luksusów. Na jego tafli mogłem odegrać każdą scenę, którą podrzuciła mi moja wyobraźnia. A co mnie spotkało zamiast tego? Ciemna, maleńka puderniczka, gdzie nie można wystawić nawet miniaturowego spektaklu. Mała i ciemna jak grób, w którym chcieliście mnie pochować, przysypując mnie pudrem. Myślałem, że te niewygody będą tylko przez chwilę, a próba zabójstwa była przypadkowa. Zaufałem ci, dałem się jeszcze raz wepchnąć do tej ciemnej trumny i co mnie spotkało? Przeżyłem coś, co przypominało zderzenie z nosorożcem. Uderzenie było tak silne, że aż wyleciałem z lustra i o mało się nie udusiłem. Zostaję tutaj - stwierdził, oglądając nasze łazienkowe lustro. - Żadna siła mnie stąd nie wyciągnie i za żadne skarby świata nie wrócę do tego podróznego grobowca. - Wymownie spojrział na puderniczkę leżącą na blacie.

Histeria Leona nie była udawana, faktycznie przez nas ostatnio sporo przeżył.

Zaczęłam go pocieszać, przeproszać i obiecywać, że to się więcej nie powtórzy. Jednocześnie przeglądałam szuflady w łazienkowej szafce, szukając dla Leona obszerniejszego i bardziej komfortowego środka transportu. W końcu znalazłam duże pudełko z lusterkiem i cieniami do powiek mamy. Szybko wyjęłam z niego część z cieniami i pędzelkami, po czym zaprosiłam Leona do nowego domu. Pomarudził jeszcze chwilę, ale wskoczył. Włożyłam ducha do plecaka i razem poszliśmy do pokoju Tadzia. Tam przełożyłam Leona na honorowe miejsce, w lustro wmontowane w szafę. Całkowicie już udobruchany rozglądał się z zainteresowaniem po pokoju.

- Ładnie tu - ocenił. - A co to za naczynia? - zaciekawiał się, patrząc na puchary stojące na półkach.

- To nie naczynia, tylko nagrody za wygranie zawodów narciarskich
- tłumaczył Tadzik.

- Nauczysz mnie jeździć? – poprosił Leon.

Zdecydowałam, że muszę zdyscyplinować to towarzystwo. Tadzik potrafił opowiadać o nartach godzinami i jeśli teraz by zaczął, ciężko byłoby pogadać o sprawie biżuterii królewskiej.

- Będziecie się uczyli jeździć, kiedy klejnoty brytyjskiej królowej wrócą bezpiecznie na swoje miejsce do skarbcza w Tower. A teraz zastanówmy się, jak odnaleźć Mieczysława Chciwego i Edwarda Lepką Rączkę.

- Statystycznie człowiek najwięcej czasu spędza w miejscu pracy i miejscu zamieszkania – przypomniał Staś.

- Jednak ta statystyka tym razem nam się do niczego nie przyda. Oni się ukrywają, co znaczy, że nie pokazują się w domu – przypomniałam bratu. – Mogę się założyć, że policja tak samo jak obserwowała nasz dom, obserwuje ich. A co do miejsca pracy, to zapomniałeś, że oni są złodziejami? Ich praca to pewnie za każdym razem nowy napad.



- A jak myślisz, co oni robią z pieniędzmi, które ukradną? - spytał Staś.

Brat zaskoczył mnie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- Pewnie wydają na życie - strzeliłam.

- W gazecie pisano, że z tego banku ukradziono kilka milionów złotych. Trudno takie pieniądze przejeść - analizował Staś. - Może gdzieś inwestują? Tylko że to pieniądze z napadów i nie mogą robić tego legalnie, bo natychmiast zainteresowałaby się tym policja. Prowadzą pewnie jakiś interes, który zarejestrowany jest na kogoś innego. Pamiętasz, co mówił tata? Gdy wygrał im sprawę, powiedzieli, że zapraszają go do ich baru na drinka. Mogło im chodzić o bar, w którym stale bywają, ale również o bar, który jest ich, bo został otwarty za ich pieniądze. Może to jest to miejsce?

– Jesteś geniuszem. – Uściskałam brata trochę zła na siebie, że ja sama na to nie wpadłam.

– Sprawdźmy w internecie, gdzie jest ten bar.

– No właśnie z tym będzie problem – odparł niepewnym głosem Staś. – Zapomniałem, jak się nazywał.

– Nie przejmuj się – pocieszyłam brata. – Pójdę do taty i go spytam.

– Nie musisz, chodzi o bar Rozwałka – oznajmił duch.

– Skąd wiesz? – Spojrzeliśmy wszyscy zdziwieni w jego stronę.

– Jak ci mężczyźni jechali windą, rozmawiali, że po spotkaniu w kancelarii pojedą załatwiać swoje sprawy i wieczorem spotkają się w tym barze. Wasz tata wymienił tę samą nazwę. Nie mówiłem wam o tym, bo wtedy nie wydawało mi się to istotne.

– Sprawdzę, gdzie jest ten bar. – Tadzik włączył komputer. – O, mam. Ulica Sokołowska dwadzieścia pięć, to gdzieś na Woli. Musimy tam pojechać.

Łatwo powiedzieć, ale trudniej wykonać, pomyślałam.

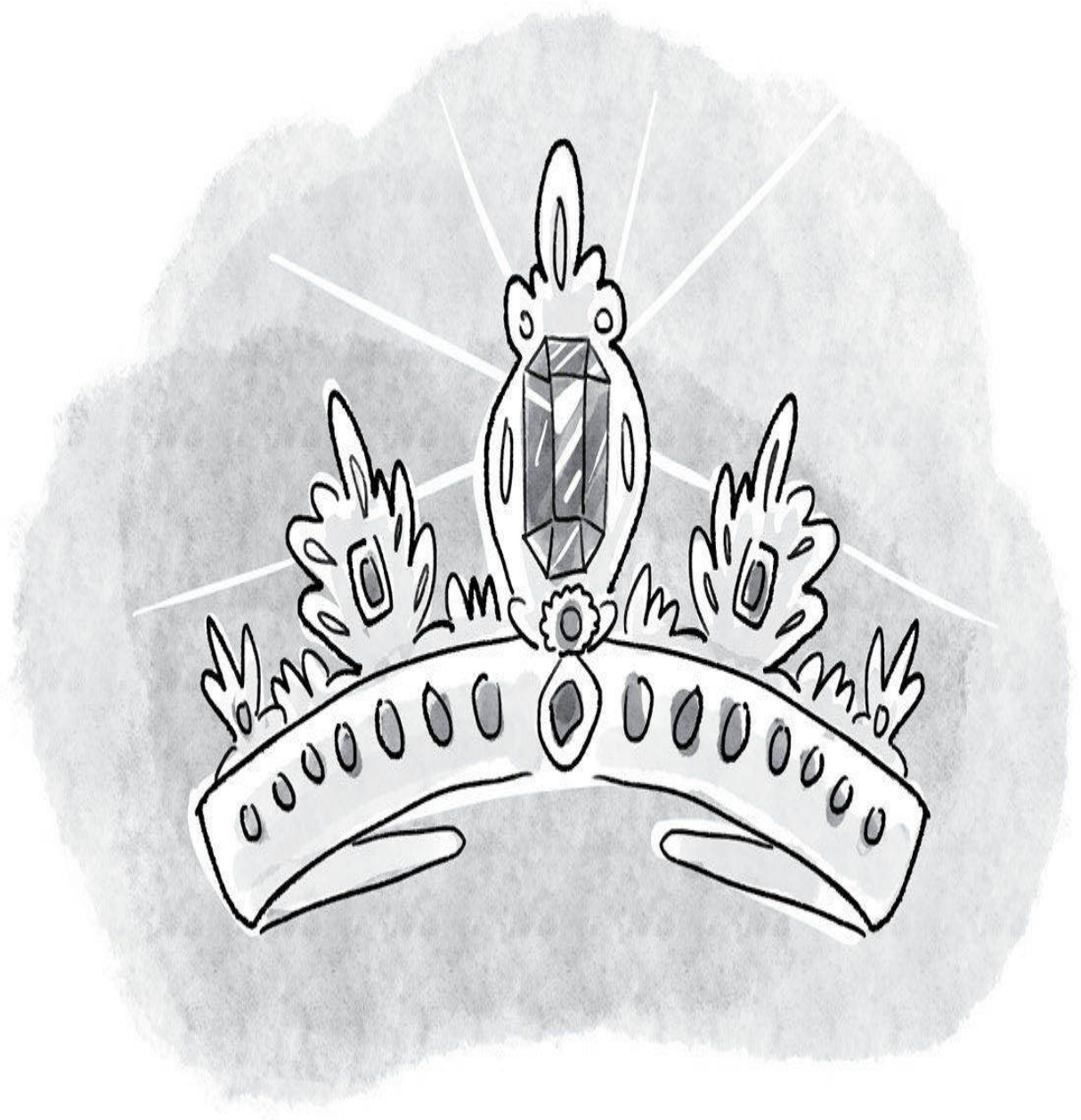
Była już godzina dziewiętnasta trzydzieści i ciężko by było wytłumaczyć rodzicom, gdzie nagle wszyscy wychodzimy. Wtedy drzwi do pokoju Tadzia otworzyły się i stanęła w nich mama.

Przestraszyłam się, czy nie słyszała naszej rozmowy, ale na szczęście ona powiedziała tylko, że udało jej się namówić tatę, żeby poszli do kina na dwudziestą i wychodzą, zatem prosi, żeby któreś z nas wyprowadziło Szaszłyka na spacer.



Dostaliśmy prezent od losu, który postanowiłam natychmiast wykorzystać, odpowiadając, że na dworze jest tak ładnie, że pewnie przejdziemy się z nim wszyscy. Oczywiście planowaliśmy przy okazji bardzo długiego spaceru z Szaszłykiem zajrzeć do baru Rozwałka.

Poczekaliśmy, aż rodzice wyjdą, po czym przepakowałam Leona z powrotem do pudełka, zabraliśmy ze sobą Szaszłyka i po półgodzinnej podróży dotarliśmy na miejsce.



Rozdział XIII

UPIORNA WYPRAWA

Na dworze zapadał zmrok. Lubię noc, najbardziej wtedy, gdy leżę w moim ciepłym i wygodnym łóżku, wtulam się w przytulankę

i czekam, aż nadejdzie sen. Nie boję się ciemności, bo wiem, że w pokoju obok są rodzice, a piętro wyżej bracia. Taka noc jest miła, czuję się bezpieczna i spokojnie zasypiam.

Ta noc, która nas zastała, gdy wysiedliśmy z autobusu, była zupełnie inna. Skręciliśmy w małą uliczkę, gdzie było ciemno jak na cmentarzu o północy. Dziwicie się pewnie, skąd wiem, jak wygląda cmentarz o północy. Macie rację, nigdy o tej godzinie tam nie byłam, ale oglądałam film o chłopcu, który założył się z kolegami, że spędzi na nim całą noc. Na początku był bardzo dzielny, ale gdy kościelny zegar zaczął wybijać północ, czyli godzinę duchów, nie wytrzymał i zwiął co sił w nogach.

W miejscu, w którym byliśmy, było tak samo strasznie ciemno i wkoło pusto. Nie będę bujać. Miałam ochotę zrobić to samo co on, czyli uciekać stąd jak najszybciej do domu. Czułam, jak po plecach zaczynają przebiegać mi zimne dreszcze. Spojrzałam na braci. Oni też mieli nietęgą miny, choć bardzo starali się to ukryć. Jedyne Szaszłyk wydawał się niczym nie przejmować i wesoło merdał ogonem. Poszliśmy za nim w mrok, czując się coraz bardziej nieswojo.



Po pewnej chwili zobaczyliśmy mały przyblakły neon. W ten oto sposób dotarliśmy do baru Rozwałka. Przez brudną szybę zajrzeliśmy do środka. W mrocznym pomieszczeniu zobaczyliśmy ciągnący się wzdłuż ściany bar, przy którym siedziało kilku mężczyzn. Dwie sylwetki wydały mi się znajome. Tak, to byli klienci mojego taty, ci ze zdjęcia w gazecie. A zatem trafiliśmy w dziesiątkę.

Pod wpływem emocji strach nagle minął, najtrudniejszą część planu mieliśmy za sobą. Teraz wystarczyło dowiedzieć się, kiedy planują włamanie do biura taty i czy wiedzą, gdzie ukrywa się ich wspólnik. I gdy o tym pomyślałam, uświadomiłam sobie, że tak naprawdę to dopiero początek prawdziwego niebezpieczeństwa. Na razie staliśmy sobie spokojnie na ulicy, a żeby się czegoś dowiedzieć, musieliśmy wejść do środka. Moi bracia chyba pomyśleli to samo, bo jednocześnie z mocno przerażonymi minami spojrzeliśmy na siebie. Już chciałam

spytać, co teraz robimy, gdy uprzedził mnie Tadzik, zadając to samo pytanie. Po nim nastąpiła długa cisza.

– Musimy wejść do środka – powiedziałam ostrożnie.

– Nie boisz się? – spytał Staś mocno niepewnym głosem.

– Pewnie, że się boję, ale nie mamy wyjścia. Jeśli tam nie wejdziemy, to nasz tata może trafić do więzienia.

– Tak, to rzeczywiście jest przekonujący argument – przyznał Staś, z lekka szcękając zębami.

– To nie musi być wcale niebezpieczne – włączył się do rozmowy Tadzik. – Jeśli inni goście tam siedzą, to znaczy, że i nam może się uda przeżyć. Wejdziemy i usiądziemy przy stoliku. Położymy koło nich plecak z duchem, żeby mógł wszystko słyszeć, a sami zamówimy colę.

To wydawało się całkiem rozsądne. Przecież w środku nie musieliśmy dokonywać żadnych bohaterских czynów. Nie musieliśmy się skradać, by niepostrzeżenie zbliżyć się do złodziei, ani niczego im wykradać. Wystarczyło po prostu wejść do środka i coś zamówić, a duch załatwi wszystko za nas.

– No to do roboty – ożywionym głosem ponaglił nas Staś, który chyba uświadomił sobie, że istotnie nic nam nie grozi. – Wchodzimy.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Nie czekając na zaproszenie, jako drugi do baru wepchnął się Szaszłyk. Nie mając wyjścia, razem z Tadzikiem ruszyliśmy za nimi. Twarze wszystkich w barze zwróciły się w naszym kierunku. Mama mi kiedyś mówiła, że taka sytuacja nazywa się: „mieć dobre wejście”. To taki moment, gdy jak się pojawiaasz, wszyscy zwracają na ciebie uwagę. Dotąd nigdy mnie nic takiego nie spotkało, ale zawsze musi być ten pierwszy raz. Uśmiechnęłam się więc do gości baru i pomachałam im ręką.

Zza baru wyszedł barman i ruszył w naszym kierunku. Przypomniałam sobie, że jak byłam dwa tygodnie temu z rodzicami na obiedzie w restauracji, to też podszedł do nas kelner i zaprowadził nas do stolika. Wyglądało na to, że to był bardziej elegancki lokal, niż mi się z początku wydawało. Mężczyzna zbliżył się do nas i gdy uśmiechnęłam się do niego, on ryknął tak głośno, jakby co najmniej próbował przekrzyczeć młot pneumatyczny:

– A wy tu czego szukacie?! Nie wiecie, że dzieciom nie wolno wchodzić wieczorem do baru?! Wynoście się stąd z tym kundlem!

Szaszyk nie rozumie ludzkiej mowy, ale jest bardzo inteligentnym psem i zapewne dlatego znalazł się pierwszy przy drzwiach. My znaleźliśmy się tam zaraz za nim. Przerażeni wialiśmy co sił w nogach. Zatrzymaliśmy się dopiero na dworze niedaleko drzwi wejściowych i zdyszani z trudem łapaliśmy oddech.

– Miałem przecucie, że nie powinniśmy tam wchodzić – wydyszał Tadzik. – Widzieliście tego olbrzyma? Miał ponad dwa metry wzrostu i musiał ważyć ze sto pięćdziesiąt kilo. Jak ryknął, to myślałem, że mi bębenki pękną. Nie ma szans tam się dostać. Gość jest jak Cerber.



Niestety musiałam się zgodzić z bratem, wyglądało na to, że nasza misja zakończy się niepowodzeniem.

– Ale Cerbera udało się pokonać – odezwał się Staś.

Oboje z Tadzikiem zdziwieni spojrzeliśmy na niego.

– Nie pamiętacie tego mitu? – spytał zdziwiony. – Cerber był trójgłowym psem, który strzegł wejścia do świata zmarłych. Miał być strażnikiem doskonałym, ale i jego udało się przechytrzyć. Najpierw Orfeusz udobruchał go śpiewem i grą na lirze, a potem Sybilla uspiła go ciastkami z makiem i miodem. Nie ma takiego strażnika, którego nie można przechytrzyć.

– Chcesz temu wielkoludowi dać ciasto czy zagrać? – spytałam.

– Prędzej bym umarł ze strachu, nim bym się do niego zbliżył. Ale przychodzi mi inny pomysł do głowy. Jeśli nie można wykonać jakiejś misji, to trzeba znaleźć kogoś, komu to może się udać.

- Co masz na myśli?

- Jeżeli my nie możemy dostać się do środka, bo nie chce nas tam wpuścić ten przerośnięty wykidajło, to musimy znaleźć kogoś, kto wykona za nas tę misję. Kogoś, kogo on nie wyrzuci.

- To chyba musiałby być ktoś niewidzialny - wtrącił Tadzik. - Bo ten facet sprawia wrażenie, jakby chciał zabić każdego, kogo zobaczy.

- Jest takie powiedzenie: „Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle”. My je nieco zmodyfikujemy: „Gdzie diabeł nie może, tam ducha pośle”.

Żeby to miało sens, duch musiałby się najpierw dostać do środka, co wcale nie było takie proste, skoro nam się nie udało. Przecież duch nie mógł poruszać się sam, musielibyśmy go wnieść do środka i umieścić w lustrze nad barem. Jeżeli ten olbrzym raz nas nie wpuścił, dlaczego miałyby postąpić inaczej, gdybyśmy chcieli do środka przemycić ducha?

- Nie musielibyśmy tam wcale wchodzić - oznajmił Staś. - Od drzwi wejściowych do lustra nad barem jest nie dalej niż pięć metrów. To nieduża odległość. Zamiast wejść i wsadzać ducha do lustra, możemy go tam po prostu wrzucić. Otwieramy drzwi, rzucamy duchem w lustro i zwiewamy.

- Co to, to nie. Nie wrobiecie mnie w to. Nie umawialiśmy się na żadne lotnicze misje! - Z mojego plecaka wydobył się zdecydowany okrzyk protestu.

Pomysł Stasia wydawał się zupełnie niezły, musieliśmy tylko jeszcze przekonać ducha.

- Przecież wykonywałaś już takie skoki - przypomniałam. - Opowiadałaś, że jak trafiłaś do magazynu w Londynie, sam przeskakiwałaś z jednej szyby do drugiej.

- To prawda - przyznał. - To było najbardziej traumatyczne wydarzenie w moim życiu. O mało wtedy nie zginąłem. Za żadne skarby nie zamierzam tego powtarzać.

- Nie przesadzaj, to tylko kilka metrów. To żadna misja lotnicza, to zwykły skok. Taki mały trening sportowy, coś dla zdrowia.

- Pięć metrów to olbrzymia odległość - protestował duch. - Czy wiesz, co się może po drodze stać?

- No, nie rozśmieszaj mnie - przerwał duchowi Tadzik. - Rekord świata w skoku w dal pobił Mike Powell, skacząc osiem metrów i dziewięćdziesiąt centymetrów, i nic mu się nie stało. Czy słyszałeś kiedyś o wypadku skoczka w dal? To najbezpieczniejsza dyscyplina na świecie.

- A pomyślałeś, że to droga w jedną stronę? - przerwał mu duch. - Załóżmy, że wykonam ten skok. Trafiam do lustra nad barem i co dalej? Nie mam jak wrócić do was, a wy nie możecie przyjść po mnie. Nie chcę do końca życia zostać w takim obskurnym miejscu.

O tym nie pomyśleliśmy. Cały plan trzeba było opracować od początku. Nim jednak zdążyliśmy zacząć o tym rozmawiać, usłyszałam dźwięk przychodzącego esemesa. Spojrzałam na ekran. To mama pytała, czy u nas wszystko w porządku, film w kinie się kończył i rodzice niedługo wracają do domu. Spojrzałam na zegarek. Była za kwadrans dziesiąta, a my zupełnie straciliśmy poczucie czasu. Żeby zdążyć przed rodzicami, musieliśmy natychmiast ruszać. Co sił w nogach pobiegliśmy do autobusu. Z każdym krokiem, którym oddalałam się od tego okropnego miejsca, czułam się szczęśliwsza i bardziej bezpieczna.



Rozdział XIV

BRAWUROWA OBRONA

Uff, zdążyliśmy, wpadliśmy do domu dosłownie trzy minuty przed powrotem rodziców. Nie chcąc narażać się na niewygodne pytania, co

robiliśmy wieczorem, rozeszliśmy się po swoich pokojach. W łóżku chciałam się nad tym wszystkim jeszcze zastanowić, ale nie zdążyłam, bo zasnęłam, gdy tylko dotknęłam ciałem materaca.

Następnego dnia wszyscy skończyliśmy szkołę po trzech lekcjach i spotkaliśmy się w domu, by wymyślić, w jaki sposób ewakuować ducha do baru. Rozmawialiśmy już kwadrans i mieliśmy wrażenie, jakbyśmy mieli rozplątać węzeł gordyjski. Wiecie, o co chodzi? Tak się mówi, jak się ma do rozstrzygnięcia bardzo trudną sprawę. To nazwa skomplikowanego węzła, którym połączono jarzmo i dyszel wozu króla Frygii, Gordiasa. Zgodnie z przepowiednią człowiek, który rozplątałby ten węzeł, miał zostać królem Frygii. Gdy Aleksander Macedoński wyruszył na podbój imperium perskiego, dowiedziawszy się o przepowiedni, postanowił rozwiązać węzeł. Próbował, ale nie mógł sobie poradzić, wtedy wy dobył swój miecz i przeciął węzeł. My jednak, mimo że staraliśmy się nie mniej niż Aleksander Macedoński, nie umieliśmy rozwiązać naszego problemu.

Nagle zadzwieczał mój telefon. Dzwonił tata.

– Tak się cieszę, że cię złapałem, próbowałem dodzwonić się do mamy, ale nie odbiera. Musisz mi pomóc. Jestem w sądzie i za pół godziny zaczyna się sprawa, w której bronię. Przywieź mi, proszę, akta do sądu, są w moim gabinecie.

Sprawa była tak ważna, że oczywiście nie mogliśmy odmówić, reszta musiała poczekać.

– Co to są akta? – zainteresował się duch, gdy jechaliśmy tramwajem do sądu.

– Akta to taka teczka, w której tata trzyma kopie dokumentów. Są tam zeznania świadków, opinie biegłych, zdjęcia z miejsca przestępstwa. Wszystkie te dowody, na podstawie których prokurator,

czyli ten pan, co oskarża w sądzie, twierdzi, że ktoś popełnił przestępstwo. – Zabłysnęłam przed duchem moją wiedzą.

– Nigdy nie widziałem akt sądowych, mógłbym na nie spojrzeć? – spytał zainteresowany duch.

– Pewnie, czemu nie – zgodziłam się, po czym położyłam pudełko z duchem na kolanach i otworzyłam przed nim akta.

– Niesamowite, ale ciekawe! – wykrzykiwał duch, prosząc, żebym przekładała kolejne kartki.

– Co ciekawego wyczytałeś? – spytałam.

– To akta kradzieży w sklepie numizmatycznym.

– W jakim sklepie?



- Sklepie numizmatycznym, czyli sklepie ze starymi monetami. Można tam kupić stare monety, które nie są już w obiegu, ale mają wartość historyczną. Niektóre z nich bite są ze szlachejnych kruszców jak srebro czy złoto. Nie wyobrażasz sobie, jaką takie stare monety mogą osiągać wartość. W tej sprawie ukradziono najdroższą polską monetę. To sto dukatów wybitych w 1621 roku za czasów Zygmunta III Wazy. Do dziś zachowało się ich tylko kilka. Taką samą sprzedano na aukcji w Nowym Jorku za ponad milion dolarów. Nieprawdopodobne pieniądze, a twój tata broni podejrzanego o tę kradzież.

- Ma szansę wygrać ten proces?

- Obawiam się, że minimalne. Musiałby zdarzyć się cud, bo z tego, co przeczytałem, wydaje się, że dowody winy oskarżonego są stuprocentowe. Otóż klient twojego taty, pan Eugeniusz Rybka, był współwłaścicielem tego sklepu. Pokłócił się jednak ze swoim wspólnikiem Antonim Ptakiem. Pan Ptak spłacił Rybkę i przejął sklep wraz z całym towarem, jednak pan Rybka uważał, że został oszukany. Odgrażał się, że jeśli nie dostanie pieniędzy, które mu się należą, to porachuje panu Ptakowi wszystkie kości. Ponieważ pan Rybka to mistrz bokserski wagi ciężkiej, pan Ptak naprawdę się przestraszył i wynajął trzech ochroniarzy, bez których nie wychodził z domu, ale Rybce zapłacić nie chciał i twierdził, że się rozliczył tak, jak powinien. Pan Rybka jak to usłyszał, strasznie się zdenerwował i groził, że Ptak tego pożałuje. Spotkali się na negocjacje, ale nie udało im się dojść do porozumienia. Dzień później włamano się do sklepu Ptaka i dokonano kradzieży tej bezcennej monety. Włamanie odkrył sprzedawca, chwilę po jego telefonie do sklepu przyjechali właściciel i policjanci. Zaczęto zabezpieczać ślady i wyobraż sobie, co znaleziono.

Pod gablotą, z której ukradziono monetę Zygmunta III Wazy, leżał dowód osobisty Eugeniusza Rybki. Jak trzeba być zdenerwowanym, żeby zgubić własny dowód osobisty na miejscu kradzieży? To tak jakby zostawić karteczkę: „Ja to zrobiłem” z własnoręcznym podpisem. Pan Rybka został natychmiast aresztowany.

– I odzyskano monetę?

– Niestety nie. Zdążył ją ukryć. Będzie miał niezły kapitał, kiedy wyjdzie z więzienia. Na szczęście panu Ptakowi odszkodowanie za straty wypłaci towarzystwo ubezpieczeniowe.

– A czy Rybka przyznał się do winy? – dopytywałam się.

– Nie. Mówi, że z tym napadem nie ma nic wspólnego. Przyznaje, że groził Ptakowi, że go puści z torbami, ale zamierzał iść do sądu, a nie go okradać. Na jego niekorzyść przemawia jednak to, że tylko on, poza pracownikami, znał kod do alarmu w sklepie, a ten alarm został wyłączony przez złodzieja. Tłumaczył, że dowód musiał gdzieś zgubić i tego nie zauważył i dlatego nie zgłosił zguby na policję. Nie ma też żadnego alibi, twierdzi, że tego dnia spał sam w domu i nie ma na to żadnych świadków. Nie brzmi to przekonująco i prokurator jest pewny wygranej. Obawiam się, że twój tata nie ma dużych szans w tej sprawie. Samo nieprzyznanie się do winy Rybce nie pomoże, gdy wszystkie dowody są przeciwko niemu.

Gdy to usłyszałam, zrobiło mi się smutno. Wiedziałam, jak tata przejmuje się sprawami, które prowadzi i jak cieszy się z wygranej. Ma wystarczająco dużo kłopotów, a na dodatek czeka go jeszcze przegrana sprawa.

Odnaleźliśmy tatę na korytarzu sądowym rozmawiającego z mężczyzną ubranym w ciemną togę z czerwoną wypustką. To był prokurator. Ten, który oskarżał w tej sprawie. Tata dostrzegł nas i dał

ręką znak, abyśmy chwilę poczekali. Usiedliśmy na ławce, a gdy tata skończył rozmawiać, zanieśliśmy mu akta. Tata, który na ogół cały czas żartuje, tym razem nie był w najlepszym humorze. Musiał zdawać sobie sprawę, że w tej potyczce nie ma dużych szans na sukces. Nie chcieliśmy mu przeszkadzać i po krótkiej rozmowie ruszyliśmy do wyjścia.

Byliśmy już na schodach, gdy poczułam niepokój. Coś było nie tak. Zatrzymałam się i wtedy zdałam sobie sprawę, że nie mam ze sobą plecaka, a to oznaczało, że zgubiłam naszego ducha.

- Znajdziemy go, tylko musisz sobie przypomnieć, gdzie go miałaś ostatnio – ponaglał mnie Tadzik.

Łatwo pytać, ale trudniej w takich nerwach sobie cokolwiek przypomnieć. Wiedziałam, że jeśli chcę odnaleźć ducha, to muszę się skupić. Na pewno wyszłam z plecakiem z tramwaju. Zarzuciłam go na ramię i nie zdejmowałam aż do wejścia do sądu. Kiedy zobaczyłam, że tata rozmawia z prokuratorem, usiedliśmy na ławce. Wtedy zdjęłam plecak z ramienia i położyłam obok siebie. Potem wstałam i nie pamiętałam, bym miała go ze sobą, więc najprawdopodobniej został na ławce. Jeśli nikt go nie zabrał, powinien być tam nadal.

Zrozumiałam znaczenie powiedzenia „biec jak szalony”, gdy zdyszana zatrzymałam się przy ławce. Na szczęście plecak leżał w tym samym miejscu. Odetchnęłam z ulgą, teraz musiałam przeprosić ducha, że o mało go nie zgubiłam. Miałam nadzieję, że nie najadł się przeze mnie strachu. Nie mogłam tego zrobić od razu, bo obok siedziało dwóch panów. Wyobraźcie sobie, jakie by zrobili miny, gdyby zobaczyli mnie mówiącą do wnętrza plecaka. Przenieśliśmy się w głąb korytarza, żeby móc spokojnie pogadać z duchem.

- Przepraszam, stary, naprawdę nie chciałam cię zapomnieć... - zaczęłam.



- Nieważne - przerwał mi duch. - Nie mamy teraz czasu na konwenanse, chyba wiem, jak pomóc twojemu tacie wygrać sprawę.

- Niemożliwe! Co wymyśliłeś?

- Nie wymyśliłem, tylko poznałem nowe dowody - wyjaśnił duch. - Jak poszłaś i mnie zapomniałaś, na twoim miejscu usiedli dwaj mężczyźni. Ci sami, których musiałaś zobaczyć, kiedy wróciłaś po mnie. To świadkowie w sprawie, w której broni twój tata. Obaj pracują w sklepie, gdzie dokonano kradzieży.

- Powiedzieli, kto naprawdę ukradł? Może to oni sami gwizdnęli monetę? - zaczął dopytywać się Tadzik.

- Jak będziesz mi przerywał, to nie zdążę opowiedzieć, zanim zacznie się sprawa. Musimy się śpieszyć. Oni nic nie ukradli i nie powiedzieli, kto ukradł, ale mówili o takich rzeczach, dzięki którym będziemy mogli wykazać, że pan Rybka jest niewinny. Otóż jeden z nich

jako pierwszy przyszedł po kradzieży, bo tego dnia otwierał sklep. Otworzył szuflady z monetami, by ułożyć je w gablocie, zobaczył, że nie ma najcenniejszej i zorientował się, że musiało dojść do włamania. Rozejrzał się po sklepie, ale nie zobaczył niczego podejrzanego. Zawiadomił więc pana Ptaka i policję o kradzieży. Czekał na nich, nakręcił telefonem film, w którym utrwalił wnętrze sklepu po włamaniu. Po kilku minutach w sklepie zjawił się właściciel, a chwilę po nim policja. Policjanci kazali im wyjść, żeby zabezpieczyć ślady, zanim jednak wyszli, pan Ptak zobaczył na podłodze dowód osobisty pana Rybki. To jest główny dowód w sprawie.

Czekałam na dalszy ciąg, ale duch zamilkł, a ja nie mogłam zrozumieć, co miało wskazywać na niewinność pana Rybki. Przecież duch opowiedział to samo, co wynikało z akt. Oczywiście natychmiast spytałam o to.

– Nie zauważyłaś pewnej niekonsekwencji? – zdziwił się duch. – Przeanalizujmy to jeszcze raz. Zgodnie z tezą oskarżenia, dokonując kradzieży, pan Rybka miał zgubić swój dowód osobisty, który upadł przy gablocie. Miało to się stać, gdy chował ukradzioną monetę do portfela. Ale sprzedawca, który otwierał sklep, rozejrzał się po wnętrzu i niczego podejrzanego nie zauważył. W aktach jest zdjęcie miejsca, gdzie miał zostać znaleziony dowód osobisty, to podłoga przed gablotą, czyli świetnie widoczny punkt. Gdyby dowód tam wtedy leżał, to mężczyzna na pewno by go zauważył.

– Teraz rozumiem! – wykrzyknęłam podekscytowana. – Jeśli w chwili otwarcia sklepu go nie było, to oznacza, że pan Rybka nie mógł go zostawić, więc ktoś chce go zrobić w tę kradzież. Dowód pojawia się po przyjeździe policji i pana Ptaka. To on musiał go podrzucić i sfingował całą kradzież, żeby zrzucić podejrzenie na pana Rybkę.

- Tylko dlaczego miałby to robić? - zastanawiał się Tadzik.

- Bo w ten sposób upiekł kilka pieczeni na jednym ogniu - tłumaczył duch. - Za ukradzioną monetę dostanie odszkodowanie, a monetę sprzeda, czyli zarobi dwukrotnie, do tego nikt go nie będzie podejrzewał, a za kradzież zostanie skazany kto inny. To genialny plan. Najprawdopodobniej żadnego włamania nie było - wyjaśniał dalej Leon. - Po co Ptak miałby ryzykować, że ktoś go zobaczy i wezwie policję? Monetę zabrał pewnie poprzedniego dnia przed samym zamknięciem sklepu. Nie mógł wtedy zostawić dowodu na widocznym miejscu, bo ktoś mógłby to zobaczyć. Postanowił to zrobić następnego dnia. Wiedział, że jak sprzedawca zobaczy, że zginęła moneta, natychmiast go zawiadomi. Czekał na telefon w pobliżu sklepu, by przybyć przed policją, wykorzystał moment nieuwagi sprzedawcy i wtedy podrzucił dowód pana Rybki.

- To ma sens - przyznał Staś. - Ale skąd miał jego dowód?

- Nie pamiętasz? - zdziwił się duch. - Przecież czytałem z akt, że dzień wcześniej spotkali się, chcąc zawrzeć ugodę. Wtedy musiał ukraść mu dowód i mając go już w ręku, zainscenizował kradzież.

- Tylko jak my to udowodnimy? - zaniepokoiłam się. - Jeśli nawet ten świadek potwierdzi to przed sądem, to czy sąd da mu wiarę? Przecież może przyjąć, że on był tak zdenerwowany, że po prostu nie zauważył dowodu.

- Pamiętaj o jednym. On mówił, że nakręcił film telefonem. Zatem to nagranie będzie najlepszym dowodem.

- Racja. - Złapałam się za głowę. - Jak sąd zobaczy film, to tata wygra sprawę. Zaraz mu to powiem.

- Nie tak prędko - powstrzymał mnie duch. - Przecież nie możesz powiedzieć tacie, że dowiedziałaś się tego ode mnie. Pamiętaj, że ja nie

istnieję.

Tym razem duch mnie nie docenił. Wiedziałam, jak przekazać te wszystkie informacje tacie, nie zdradzając ducha.

– Zaufajcie mi – poprosiłam. – Wszystko załatwię.

Idąc korytarzem do taty, zobaczyłam dwóch policjantów prowadzących na salę rozpraw masywnego mężczyznę skutego kajdankami. To musiał być pan Rybka. Z opowiadań taty wiedziałam, że po przyprowadzeniu oskarżonego na salę rozpraw sprawa jest wywoływana, więc miałam bardzo mało czasu, bo tata zaraz wejdzie do środka. Rzuciłam się biegiem w kierunku taty.

– Co tu jeszcze robisz? – zdziwił się na mój widok.

– Musimy koniecznie porozmawiać.

– Bezimienna, proszę, nie teraz, zaraz zaczyna się proces.

– To bardzo ważne, sprawa życia i śmierci. Musimy teraz.

Tata westchnął ciężko, ale musiał dostrzec we mnie szaloną determinację, bo dodał:

– Mów szybko.



– Nudziłam się w autobusie i przejrzałam akta twojej sprawy – rozpoczęłam opowiadanie. – Czekaając na ciebie, usiadłam na ławce obok dwóch panów i przypadkowo słyszałam ich rozmowę. To byli świadkowie, którzy mają zeznawać w tej samej sprawie. Jeden z nich to pan, który wszedł jako pierwszy do sklepu i odkrył kradzież. Mówił koledze, że nie zauważył żadnych śladów, ale na wszelki wypadek nakręcił komórką film. Czyli że gdy wchodził do sklepu, to nie było tam dowodu, więc chyba podrzucono go później. To na pewno będzie na filmie.

Tata, słuchając mnie, miał coraz większe oczy.

– Proszę na salę w sprawie oskarżonego Eugeniusza Rybki – powiedział woźny sądowy.

– Bezimienna, jesteś genialna. – Tata ucałował mnie, założył togię i wszedł na salę rozpraw.

Tak byliśmy ciekawi, czy tacie uda się uniewinnić pana Rybkę, że zdecydowaliśmy czekać na koniec sprawy. Po godzinie duże drewniane drzwi w końcu otworzyły się i ukazał się w nich pan Rybka. Nie miał już kajdanek na rękach. Widząc to, wiedziałam, że wygraliśmy. Chwilę później na korytarzu pojawił się tata. Pan Rybka wpatrywał się w niego z uwielbieniem jak niedźwiadek w baryłkę miodu. W końcu nie wytrzymał targających nim emocji i wykrzyknął:

– Mistrzu, jest pan genialny!

Po czym doskoczył do taty i uściśnął go ze wszystkich sił. Wyglądało to bardzo komicznie, pan Rybka jest bowiem o wiele wyższy i masywniejszy od taty. Gdy zatem objął tatę, ten całkowicie zniknął w jego ramionach. Tata protestował:

– Panie Eugeniuszu, nie trzeba, duszę się.



W końcu, gdy tata z braku dopływu powietrza stawał się coraz czerwiejszy, pan Rybka uwolnił go z uścisku i dla odmiany zaczął podrzucać go do góry. Tata fruwał w górę i w dół, pan Rybka zaś powtarzał z uwielbieniem:

– Dziękuję, mistrzu, jak ja się panu odwdzięczę?

Widząc, że twarz taty z powodu nieustającego wyrzucania go w powietrze zmieniła kolor z czerwonego na blady, postanowiliśmy interweniować. Podbiegliśmy do nich i zażądaliśmy, by pan Rybka postawił tatę na ziemi. Udało się, tata, dotknąwszy nogami podłogi, z trudem łapał powietrze, a pan Rybka dostrzegłszy, że w czasie uścisków i podrzucania ubranie taty się wymięło, zaczął go otrzepywać. Pan Rybka miał łapy jak bochny i otrzepywanie taty nie należało do najdelikatniejszych czynności, jakie widziałam w życiu.

Tata jęknął, po czym umknął w bok, wydusiwszy z siebie:

– Panie Eugeniuszu, proszę się nie kłopotać.

– Ależ mistrzu, to nie kłopot, tylko sama przyjemność.

W końcu tacie udało się wymknąć panu Eugeniuszowi. Natychmiast ukrył się za nami i dopiero gdy był już bezpieczny, zainteresował się, co tu robimy.

– Byliśmy tak ciekawi, jak skończy się sprawa, że postanowiliśmy poczekać na ciebie – wyjaśnił Staś. – Wygrałeś?

– Tak, to raczej daje się dostrzec. – Znacząco spojrział na pana Rybkę.

– A to wszystko dzięki tobie, Bezimienna. – Tata zwrócił się do mnie, a ja poczułam się bardzo dumna, choć wiedziałam, że niezasłużenie, bo to przecież duch rozwiązał całą zagadkę. – To, co mówiłaś, okazało się prawdą. Ten sprzedawca rzeczywiście nagrał wewnątrz sklepu i gdy on przyszedł jako pierwszy, na podłodze nie było dowodu osobistego. To

był niepodważalny dowód, że mój klient nie dokonał kradzieży, a w całą sprawę próbowano go wrobić. I wtedy zaczęło się najciekawsze – kontynuował opowieść tata. – Kiedy już było jasne, że dowód pana Rybki został podrzucony, najistotniejsze stało się wyjaśnienie, kto go podrzucił, bo jasne było, że to on był prawdziwym sprawcą kradzieży. Na pewno nie zrobił tego sprzedawca, bo nie miał w tym żadnego interesu. Zaraz po nim w sklepie pojawił się pan Ptak i dla wszystkich było oczywiste, że to jego sprawka. Co innego jednak coś uważać, a co innego móc to udowodnić. I wtedy przyszło mi coś do głowy. Jeśli to pan Ptak zabrał monetę ze swojego sklepu, to musiał ją gdzieś ukryć. Idealnym miejscem wydawał się jego portfel. Jeśli tak było, to istniało prawdopodobieństwo, że moneta nadal tam jest. Pan Ptak był na sali jako widz, chciał być świadkiem, jak jego były wspólnik zostaje skazany. Gdy przyszło mi do głowy, gdzie może być moneta, powiedziałem o moim podejrzeniu sędziemu. On zaś uznał, że nie jest to wcale głupi pomysł i nakazał policjantom przeszukanie pana Ptaka i wiecie, co się okazało? Trafiłem. W jego portfelu była moneta.

Gdy tata to mówił, drzwi od sali rozpraw otworzyły się ponownie i wyszedł z nich szarpiący się mężczyzna prowadzony przez dwóch policjantów.

– Widzicie, jak fortuna może kołem się toczyć. – Tata wskazał na tego człowieka. – Mój klient został uniewinniony, a pana Ptaka czeka proces o składanie fałszywych zeznań i próbę wyłudzenia ubezpieczenia. Jeszcze raz ci dziękuję, córeczko, za ten pomysł, że sprzedawcy mogą mieć film z nagraniem.

– Nic z tego nie rozumiem – odezwał się dotąd milczący pan Rybka.
– To nie pan mecenas przygotowywał koncepcję mojej obrony, tylko córka?

- Oczywiście, że tata - odpowiedziałam szybko, bo zrobiło się niezręcznie. - Ja byłam tylko jego asystentką. Jak musi wymyślić coś bardzo ważnego, to prosi mnie, żebym z nim posiedziała. A jak znajdzie rozwiązanie, to mówi, że to dzięki mnie, bo jestem jego żoną.

Tata odetchnął z ulgą, co znaczyło, że udało nam się wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

- Jeśli jesteś żoną taty, to tobie też zawdzięczam uniewinnienie - rozpromienił się pan Rybka. - Zatem jestem twoim dożywotnim dłużnikiem. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, to zawsze możesz na mnie liczyć. Muszę cię uściskać.

Usłyszawszy, że pan Rybka najpierw zamierza mnie zmiążdżyć, a potem podrzucać jak worek kartofli, uskokczyłam w bok, znikając z zasięgu jego ramion. Tata postanowił wykorzystać moment, gdy wszyscy byliśmy bezpieczni, by pożegnać się z klientem. Szliśmy już w kierunku wyjścia, kiedy tata spotkał kolegę i zaczął z nim rozmawiać.

- A może skorzystamy z jego oferty? - zaproponował Staś, gdy zostaliśmy sami.

- Z jakiej oferty? - nie zrozumiałam.

- Przecież pan Rybka powiedział, że po tym, jak pomogłaś w jego uniewinnieniu, jest twoim dłużnikiem i zrobi dla ciebie wszystko. Możemy go poprosić, żeby poszedł do baru i podsłuchał, o czym będą rozmawiać Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy.

Chwilę zastanowiłam się nad tym, co powiedział Staś, i doszłam do wniosku, że to genialny pomysł. Pan Rybka był naszą szansą.



Rozdział XV

TATA MA KŁOPOTY

Pan Rybka bez wahania zgodził się spełnić moją prośbę. Powiedział, że to będzie dla niego największa przyjemność i że w ten sposób spłaci dług. Obiecał też, że sprawa zostanie pomiędzy nami i o niczym nie powie tacie. Umówiliśmy się, że zadzwoni do mnie po wizycie w barze i opowie, o czym rozmawiali Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy.

Wróciliśmy z tatą do domu i czekaliśmy zdenerwowani na wiadomość od naszego informatora. Minęło kilka godzin, a mój telefon nadal milczał. W końcu gdy usłyszałam głos dzwonka, odebrałam w ułamku sekundy. To był pan Rybka.

- Nie dotarłem do baru - poinformował mnie smutnym głosem, a ja zdrętwiałam, jakby ktoś wylał na mnie wiadro zimnej wody.



- Jak to nie dotarł pan? - odezwałam się w końcu. - Przecież się umówiliśmy. Obiecał pan.

- Nie zdążyłem tam dojść, bo zatrzymała mnie policja i wyładowałem na komisariacie - tłumaczył pan Rybka. - Nie wprowadzono jeszcze do systemu dzisiejszego wyroku uniewinniającego, więc wciąż byłem poszukiwany. Kiedy mnie

wylegitymowali, nie chcieli słuchać moich tłumaczeń, zatrzymali mnie i zaprowadzili na komisariat.

- To dlaczego nie zadzwonił pan od razu do taty? - spytałam zdziwiona.

- Dopiero teraz pozwolili mi zatelefonować. Nie miałem ze sobą telefonu do twojego taty, więc zadzwoniłem do ciebie. Poproś go, proszę, żeby mnie stąd jak najszybciej wyciągnął.

- Podam panu do niego numer, niech pan zadzwoni, mnie może nie uwierzyć - zaproponowałam.

- Nie mogę. Jako zatrzymany mam prawo tylko do jednego telefonu - tłumaczył pan Rybka.

- Proszę kończyć. - Usłyszałam w tle obcy głos i połączenie zostało przerwane.

Zastanawiałam się, jak powiedzieć tacie, że jego klient zadzwonił do mnie, bym ją poprosiła tatę o pomoc. Tata zacznie pytać, skąd pan Rybka miał mój numer telefonu, zamiast szybko próbować go uwolnić. Przecież my potrzebowaliśmy pana Rybki na wolności, a nie w areszcie, bo tylko w ten sposób mógł nam pomóc. Postanowiłam nie mówić, na który telefon dzwonił pan Rybka, a tacie nie zdążyłam przekazać słuchawki, bo rozmowa została przerwana przez strażnika.

Udało się, tata nie przeprowadził śledztwa, na jaki numer dzwonił pan Rybka. Gorzej, bo w ogóle niespecjalnie przejął się tą sprawą. Uznał, że skoro zaszła pomyłka, to ją wyjaśni. Za kilka godzin jego klient zostanie wypuszczony na wolność.

- Tato, przecież sam mi mówiłeś, że ten pan przez dwa miesiące był w areszcie. I teraz, kiedy okazało się, że jest niewinny, ma tam wrócić? To przecież niesprawiedliwe. Musisz coś zrobić.

- Dobrze - westchnął tata. - Pojadę tam jutro z samego rana i pokażę im dzisiejszy wyrok sądu. Na pewno go zwolnią.

Następnego dnia z powodu prac remontowych w szkole mieliśmy wolne.

- A moglibyśmy z tobą pojechać? - spytałam, gdy tata rano powiedział, że jedzie na komisariat. Uznałam, że to najlepsza możliwość spotkania z panem Rybką i poproszenia go, by zaraz pojechał do baru.

- Po co? Przecież was tam nie wpuszczą.

- Proszę, zgódź się, poczekamy na ciebie na zewnątrz - nalegałam. - Już tyle wiemy o tej sprawie, że chcielibyśmy być przy jej szczęśliwym zakończeniu.

- No dobrze - zgodził się tata.

Tym razem trwało to dużo krócej niż w sądzie. Po niespełna kwadransie w drzwiach komisariatu pojawił się pan Rybka. Już drugi raz byłam świadkiem, jak ten klient taty odzyskuje wolność. Musieliśmy wymyślić jakiś sposób, żeby zostać z nim sam na sam, by spokojnie porozmawiać. Wtedy zorientowałam się, że pan Rybka przyszedł sam, a tata gdzieś zniknął. Pewnie załatwia coś jeszcze z policjantami, pomyślałam i podeszłam do pana Rybki, by wykorzystać ten czas na omówienie naszych spraw.

- Oczywiście, że tam zaraz pojadę - zgodził się. - Obiecałem ci, a teraz jestem już twoim podwójnym dłużnikiem. Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiem.

- A gdzie jest tata? - spytałam, gdy nasze sprawy mieliśmy już omówione.

- Przez szybę w drzwiach widziałem, jak rozmawiał jeszcze z policjantami. Powinien tu za chwilę być, podziękujcie mu w moim imieniu za pomoc.



Gdy odszedł, czekaliśmy nadal pod komisariatem, ale tata nie wychodził. Zaczynaliśmy się coraz bardziej niepokoić i jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, że powinniśmy iść dowiedzieć się, co się z nim dzieje. Nigdy wcześniej nie byłam na komendzie policji i byłam ciekawa, jak ona wygląda. Gdy weszliśmy do środka, okazało się, że niczym nie różni się od innych urzędów. Weszliśmy do dużej jasnej poczekalni, gdzie wzdłuż ścian ustawione były krzesła dla oczekujących interesantów. W środku nie było nikogo. Naprzeciwko drzwi była recepcja, za którą siedział umundurowany policjant. Po prawej stronie od recepcji były schody prowadzące na górę. Chcąc się czegoś dowiedzieć, podeszliśmy do dyżurnego policjanta. Rozmowę rozpoczął Staś, który – jak twierdzi cała rodzina – jeśli coś nie dotyczy spraw żywności, ma z nas najlepsze maniery.

- Dzień dobry, jestem Stanisław Boner - przedstawił się policjantowi. - Nasz tata jest adwokatem pana Rybki, który został zatrzymany. Tata przyszedł tutaj wyjaśnić to nieporozumienie, pan Rybka został wypuszczony, a naszego taty nadal nie ma. Chcielibyśmy dowiedzieć się, co się z nim stało.

- Tak, pan mecenas wchodził, zaraz ustalę, gdzie jest. - Policjant wziął do ręki telefon. - Już wszystko wiem - zwrócił się do nas po krótkiej rozmowie telefonicznej. - Wasz tata był na jutro wezwany do nas jako świadek. Gdy przypadkowo zjawił się dzisiaj, moi koledzy postanowili, że przesłuchają go od razu. Za chwilę przesłuchanie waszego taty rozpocznie się w pokoju dwieście trzy. Wracajcie do domu, to może trochę potrwać - poradził nam.

Po wyjściu na zewnątrz zastanawialiśmy się, w jakiej sprawie tata ma być przesłuchiwany i oczywiście do głowy przychodziła nam tylko jedna odpowiedź, że w sprawie kradzieży klejnotów królowej brytyjskiej. Jeśli tak było, to przesłuchanie bardzo nas interesowało. Tatę zapewne będą pytać, czy widział się z Radziem Szprychą, a także Edwardem Lepką Rączką i Mieczysławem Chciwym. Tylko w jaki sposób się dowiedzieć, o czym tata rozmawia z policjantami?

- To nie powinno być trudne - ocenił Staś. - Pamiętajcie, co mówił pan Rybka? Widział przez szybę w drzwiach tatę rozmawiającego z policjantami. A jeśli w drzwiach pokoi są szyby, to umieścimy w szybie ducha, a on nam wszystko zreferuje.

- Ale jak dostaniemy się do tych drzwi? Drogi na górę pilnuje policjant - Tadzik miał wątpliwości.

- Któreś z nas się przemknie - zaproponował Staś. - Ja z Helą wrócimy tam i zagadamy dyżurnego, a ty w tym czasie pójdziesz na górę.

Tadzik nie kupił tego pomysłu. Uznał, że jest nierealny. Hol był duży, widoczny z recepcji i nie było szans, by niepostrzeżenie dostać się do środka. Staś pokiwał głową, po czym pomyślał chwilę i wykrzyknął:

– Mam! Znalazłem rozwiązanie. Zastanówcie się, jaka czynność jest niezbędna człowiekowi do życia?

Długo nie trzeba było się zastanawiać nad odpowiedzią. Znając łakomstwo mojego brata, od razu pomyślałam, że musi chodzić o jedzenie i okazało się, że trafiłam w dziesiątkę.

– Zgadza się – potwierdził Staś. – Nawet policjanci muszą jeść. Wiadomo, że nie gotują sobie w czasie pracy, a zatem jedzenie muszą sobie zamawiać z miasta. Dyżurny powinien być przyzwyczajony, że często ktoś coś zamawia i pewnie wpuszcza dostawców na górę.

Na szczęście w okolicy była pizzeria, w której zamówiliśmy trzy margherity na wynos. Oczywiście trójka dostawców musiałaby wzbudzić podejrzenia. Ustaliliśmy, że do tej misji najlepszy będzie Tadzio. Wszedł do środka, niosąc przed sobą trzy wielkie pudła ze świeżą, pachnącą pizzą i dyżurnemu powiedział, że to dostawa do pokoju dwieście trzy, a ten, nie pytając o nic, wskazał mu ręką, że ma iść na górę. Zamontowanie ducha w szklanych drzwiach też obyło się bez żadnych problemów.

Po wykonaniu zadania Tadzik musiał zrobić coś z przyniesioną pizzą, przełożył więc wszystkie trzy do jednego opakowania, a dwa puste pudełka wyrzucił. Dzięki temu dyżurny na dole widział, że pizza została dostarczona, a my siedliśmy na ławce naprzeciwko komendy i zjedliśmy solidne śniadanie. Potem nie pozostawało nam nic innego, niż czekać na koniec przesłuchania taty i telefon od pana Rybki.

Minęła godzina, potem druga, aż zaczęliśmy się niepokoić. W końcu uznaliśmy, że powinniśmy sprawdzić, co się dzieje. Tym razem poszłam

ja ze Stasiem, a Tadzio, żeby nie zostać rozpoznanym przez dyżurnego, został na zewnątrz.

- A co wy tu robicie? - zdziwił się na nasz widok dyżurny. - Mieliście wracać do domu.

- Tak pan mówił - przyznał Staś. - Ale my postanowiliśmy jednak poczekać na tatę, a jego nie ma i nie ma i trochę zaczynamy się niepokoić.

- Dobrze, poczekajcie. Sprawdzę, co się stało. - Podniósł słuchawkę, przez chwilę rozmawiał, a my po jego minie zorientowaliśmy się, że musiało stać się coś złego. - Idźcie do domu - powiedział policjant. - Wasz tata dzisiaj nie wróci.

- Jak to? - zdziwiłam się. - Przesłuchanie nie może trwać tak długo.

- Przesłuchanie już się skończyło. Wasz tata został zatrzymany.



- Co to znaczy „zatrzymany”? - Nie mogłam zrozumieć, o czym ten policjant mówi.

- To znaczy, że jest podejrzany o popełnienie przestępstwa. Takie osoby są zatrzymywane w areszcie. Jutro przesłucha go prokurator i wtedy on zdecyduje, co dalej.

Słyszając to, poczułam się, jakby ktoś rozbił pałkę bejsbolową na mojej głowie.

- Jakiego przestępstwa? Przecież tata to najuczciwszy człowiek w całej galaktyce. On na pewno nie zrobił nic złego!

- Nie możemy udzielać takich informacji dzieciom. Dzwonimy do waszej mamy, ale nie odbiera telefonu. Jak odsłucha wiadomość na sekretarce i oddzwoni, udzielimy jej informacji. A teraz wracajcie do domu, komenda to nie jest miejsce dla dzieci.

Dopiero na zewnątrz mogliśmy spokojnie porozmawiać. Zdawaliśmy sobie sprawę, że stało się najgorsze, czyli policja uznała, że tata jest zamieszany w sprawę napadu. Nie wiedzieliśmy tylko, jakie mają na to dowody. To mógłby nam powiedzieć tylko duch, bo on był tam na miejscu i wszystko słyszał. Jednak wcześniej powinniśmy zawiadomić kogoś dorosłego. Z mamą czasem tak bywało, że kiedy szła na spotkanie, wyłączała telefon, a potem go zapomniała włączyć. Sprawdziliśmy jeszcze raz, ale mama nadal nie odbierała. W tej sytuacji uznaliśmy, że powinniśmy zwrócić się o pomoc do współnika taty, wujka Aleksandra. Baliśmy się, że nam nie uwierzy przez telefon, dlatego postanowiliśmy pojechać do niego do domu.

Na szczęście wujek był na miejscu i oczywiście i tak uznał, że to żart. Muszę wam się przyznać, że trochę boję się wujka Aleksandra. Jest bardzo wysoki i masywny. Gdyby kręcono film, w którym trzeba by było obsadzić rolę olbrzyma, wujek by się do niej świetnie nadawał. Do tego jest bardzo silny i ma donośny, tubalny głos. Zdawaliśmy sobie sprawę, że na początku może nie uwierzyć w naszą historię i się rozgniewa, że

próbujemy zrobić go w konia. Ustaliliśmy więc, że Staś zrelacjonuje mu całą sprawę. Wujek Aleksander jest ojcem chrzestnym Stasia, oni się bardzo lubią i wujek uważa, że Staś jest najpoważniejszy z nas wszystkich. Dodam jeszcze, że wujek tak samo jak Staś uwielbia historię, zwłaszcza starożytną. Zna na pamięć wszystkie mity greckie i godzinami może o nich opowiadać. Jak do nas przychodzi, bardzo często siadają sobie razem ze Stasiem i rozmawiają o sprawach, o których my nie mamy pojęcia.

– To nie żart, wujku – rozpoczął Staś. – Musimy ci coś ważnego opowiedzieć. Wiem, że możesz nam nie uwierzyć od razu, dlatego proszę, nie denerwuj się, tylko pozwól nam dokończyć.

Staś zaczął od początku, najpierw o tym, jak pan Eugeniusz Rybka został uniewinniony w sądzie, potem jak został z powrotem zatrzymany, jak tata pojechał na komisariat go uwolnić i w końcu, jak czekając na niego, dowiedzieliśmy się od dyżurnego policjanta, że tata został zatrzymany. W trakcie opowieści Stasia uważnie wpatrywałam się w wujka, który robił się coraz bardziej czerwony na twarzy. Mimo narastającej złości nie reagował jednak, dając nam do końca opowiedzieć całą historię. W końcu gdy Staś skończył, wujek wybuchnął:

– To niemożliwe, na pewno musieliście coś pomylić!

– Nic nie pomyliliśmy, wujku – odpowiedzieliśmy zgodnym chórem.

– Dyżurny powiedział wyraźnie, że tata jest podejrzany o przestępstwo i spędzi noc na komisariacie. Chciał powiadomić o tym mamę, ale ona nie odbiera telefonu.

Widząc, że mówimy poważnie, wujek w końcu nam uwierzył.

– Czy oni kompletnie zidiocieli?! Jak mogło im nawet przyjść do głowy, że wasz tata popełnił jakieś przestępstwo?! Muszę im wyjaśnić,

że to nieporozumienie.

Odetchnęłam z ulgą. Jeśli wujek zajmie się tą sprawą, to tata niebawem wróci do domu. Wujek odszukał numer na komisariat. Rozmowa, którą przeprowadził, była dość żywiołowa. W końcu odłożył słuchawkę.

– Oni naprawdę zwariowali – stwierdził. – Uważają, że wasz tata ma coś wspólnego z tym wielkim rabunkiem klejnotów królowej brytyjskiej. Nie chcą mi nic więcej powiedzieć przez telefon. Muszę tam pojechać.

– Wujku, jedziemy z tobą – oświadczyliśmy.

– Nie ma mowy. Komisariat to nie jest miejsce dla dzieci.

– Ale tu chodzi o naszego tatę! – zaprotestowałam.

– No dobrze. I tak nie mogę zostawić was samych – zdecydował wujek. – Jedziemy.

Po chwili znaleźliśmy się pod komisariatem.

– Poczekaście w samochodzie, a ja pójdę – zdecydował wujek.

Już chciałam się na to zgodzić, gdy do głowy przyszedł mi pewien pomysł. Wujek na pewno wejdzie na górę. Gdyby któreś z nas poszło z nim, to przy okazji moglibyśmy odebrać ducha i dowiedzieć się, jak przebiegało przesłuchanie taty.

– Zabierz mnie z sobą, wujku – poprosiłam. – Tak się martwię o tatę.

– Nie ma mowy. Już wam mówiłem, że komisariat to nie miejsce dla dzieci.

– Ale jeśli oni zobaczą taką małą dziewczynkę, to może zmiękną im serca i puszczą tatę. Weźmy ich na litość.

Wujek przyjrzał mi się uważnie

– To dobry pomysł. Hela, ty naprawdę masz głowę na karku. Będzie z ciebie świetny adwokat.

Zrobiło mi się bardzo miło od pochwał wujka, dumna weszłam z nim do komisariatu. Wujek przedstawił się, pokazał swoją legitymację adwokacką i powiedział, że chce się widzieć z policjantem prowadzącym postępowanie. Dyżurny zadzwonił i po chwili wskazał wujkowi schody na górę. Oczywiście ruszyłam za wujkiem, jednak policjant natychmiast zainterweniował.

– A ty dokąd się wybierasz, dziewczynko? Nie mówiłem ci, że komisariat to nie miejsce dla dzieci?

Oczywiście wiedziałam, bo dziś wszyscy mi o tym mówili. Zrobiłam tylko smutną minę i milczałam.

– Muszę ją ze sobą zabrać – tłumaczył policjantowi wujek. – Zamknęliście jej tatę, jej mamy nie mogę odszukać, trzeba się nią zaopiekować.

– Pan mecenas może iść na górę sam, dziewczynka musi tu poczekać, będę miał na nią oko – zdecydował stanowczo dyżurny.

Wyglądało na to, że sprawa została przegrana, gdy przypomniałam sobie, czego najbardziej nie lubili rodzice i ich przyjaciele. Otóż tego, jak dostawałam histerycznego ataku płaczu. Jeśli dorośli nie lubią płaczących dzieci, to może ta ich niechęć mogła przynieść efekt. Jednak jak rozryczeć się na zawołanie, zwłaszcza kiedy się już nie jest taką maleńką dziewczynką. Na szczęście miałam w tym pewne doświadczenie. Nie chwaliłam się wam jeszcze, ale po szkole chodzę na zajęcia kółka teatralnego. W jednym ze spektakli grałam rolę dziewczynki, która dowiaduje się, że jej koleżanka bardzo brzydko się wobec niej zachowała. Dowiedziawszy się o tym, zaczyna histerycznie płakać. Odgrywałam tę rolę kilka razy i głośne płkanie mam opanowane do perfekcji. Zatem gdy usłyszałam, że nie mogę pójść

z wujkiem na górę, zakryłam rękoma oczy i zaczęłam wydawać z siebie głośne dźwięki pozorujące płacz.

- A jej co się stało? - spytał przestraszony dyżurny, zakrywając sobie jednocześnie uszy.

- Jak to co? - dudniącym głosem odezwał się wujek Aleksander. - Zatrzymujecie jej ojca, pozbawiacie dziecko rodzica, a teraz pan nie pozwala jej iść, żeby dowiedzieć się, co się stało z tatą i chce, by dziecko w takim stanie zostało samo. To, co pan robi, to brak elementarnej wrażliwości!

- Niech pan coś zrobi, żeby przestała tak głośno płakać - poprosił dyżurny.



Słyszając jego prośbę, oczywiście zwiększyłam wydawane odgłosy o kilkanaście decybeli.

- Niby jak? – spytał wujek. – Nie mam pojęcia, jak się uspokaja dzieci, pan chciał z nią zostać, to niech pan ją uspokoi.

Po minie policjanta widać było, że również nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać.

- No dobrze – skapitulował. – Niech pan ją zabierze na górę.

Nie czekając, aż zmieni zdanie, ruszyłam natychmiast za wujkiem. Gdy podeszliśmy do pokoju 203, zaczęłam bacznie obserwować szklane drzwi, chcąc zlokalizować Leona. Dostrzegłam małe zaciemnienie blisko klamki. W ten sposób duch, nie chcąc się zdekonspirować, dał mi znać, z którego miejsca mogę go odebrać. Postanowiłam załatwić to od razu. Gdy wujek Aleksander zapukał i otworzył drzwi, wyjęłam pudełko z plecaka. Duch musiał mieć już dosyć pobytu na komisariacie, bo przeskoczył do niego błyskawicznie.

- A co to za dziecko? – zdziwił się policjant, gdy weszłam za wujkiem do pokoju.

- To córka mecenasa, którego bezpodstawnie zatrzymaliście. O co jest podejrzany?

- Nie mogę panu udzielić tej informacji – odparł policjant.

- Jak to nie może pan? – zdziwił się wujek. – To pana obowiązek. Jak mam kogoś bronić, jeśli nawet nie wiem, co mu się zarzuca?

- Bo to sprawa najwyższej tajności – tłumaczył policjant. – Zakazano nam o niej z kimkolwiek rozmawiać. Jeśli chce się pan czegoś dowiedzieć, musi się pan skontaktować z prokuratorem.

- A gdzie jest mój klient, czy mogę się z nim zobaczyć?

- Jest na dole w izbie zatrzymań, ale żeby się z nim zobaczyć, musi pan uzyskać zgodę prokuratora.

Wujek opuszczał pokój jak niepyszny.

- To skandal - mamrotał pod nosem. - Będę w tej sprawie interweniował na najwyższym szczeblu. Odwiozę was do domu i pojedę do prokuratora.

Nie protestowaliśmy, uznając, że lepiej będzie, jeśli wujek zajmie się sprawami prawnymi, a my skoncentrujemy się na dowiedzeniu od ducha, co się wydarzyło w czasie przesłuchania.

W domu nie było jeszcze mamy.

- Dobrze, że mnie stamtąd zabraliście - zaczął Leon, gdy mogliśmy spokojnie porozmawiać. - Co za straszne miejsce! - ponarzekął, po czym przeszedł do opowieści: - Tak, jak przewidywaliśmy, waszego tatę przesłuchiowano w sprawie kradzieży klejnotów królowej. Zaczęli od tego, czy zna Radzia Szprychę, a jak tata potwierdził, pytali, kiedy widział go po raz ostatni. Tata powiedział, że Radzio Szprycha przyszedł do niego do biura w dniu napadu. Wtedy chcieli się dowiedzieć, co się działo w trakcie spotkania, ale tata odmówił odpowiedzi.

- Dlaczego? - spytałam.

- Twierdził, że wszystko, o czym rozmawiał ze swoim klientem, to tajemnica adwokacka i nie może o tym mówić.

No jasne, jak pamiętacie, tata mówił nam o tym wielokrotnie. Jeśli klient przychodzi do adwokata po pomoc, to opowiada mu o swoich najskrytszych sprawach. To, co powie, jest objęte tajemnicą i adwokat nigdy tej tajemnicy nie może nikomu zdradzić.

- Kiedy wasz tata odmówił odpowiedzi, policjanci zaczęli go straszyć. Powiedzieli, że wiedzą, że Radzio Szprycha od razu po tym napadzie przyjechał do taty z ukradzionymi klejnotami, a gdy wychodził, to ich nie miał ze sobą. Zdaniem policjantów to oznacza jedno, że musiał je przekazać tacie, więc tata jest jego współnikiem.

Powiedzieli, że oni mają niezbite dowody i jeśli tata chce wyjść z tego cały, to musi im dowieść, że jest niewinny i opowiedzieć, co się wydarzyło w trakcie spotkania.

– I co on na to?

– Powiedział, że oni oszaleli, a on woli być podejrzany, niż zdradzić tajemnicę klienta. Wtedy oni na to, że w takim razie wystąpią do sądu o nakaz aresztowania i będą czekać, aż zmieni zdanie. Na tym przesłuchanie się zakończyło i tatę zaprowadzili do izby zatrzymań. Najciekawszego dowiedziałem się jednak po przesłuchaniu. Gdy wyprowadzono waszego tatę, oni jeszcze rozmawiali o sprawie. Mówili, że sprawdzali wszystkie osoby pracujące w biurowcu, do którego wszedł Radzio Szprycha po napadzie, i ustalili, że tata był wcześniej jego obrońcą. Założyli zatem, że Radzio przyszedł na spotkanie z tatą. Kiedy wasz tata to potwierdził w trakcie jego przesłuchania, inni policjanci dokonali przeszukania kancelarii taty.

– I co, znaleźli coś? – spytaliśmy chórem.

– Nie, w biurze nie było śladu po klejnotach.

Wiedzieliśmy, że kancelaria taty była przeszukiwana kilkakrotnie. Najpierw zrobili to Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy, potem sam tata, gdy dowiedział się, że klejnoty mogły zostać u niego, a teraz policja. Wyglądało na to, że ich tam naprawdę nie ma.

– Policjanci są zdania, że one są tam nadal – kontynuował duch. – Tylko Radzio Szprycha ukrył je tak sprytnie, że nikt nie może ich znaleźć. Ich druga wersja to, że wasz tata wyniósł klejnoty z kancelarii i gdzieś je ukrył, co do tego są jednak mniej przekonani. Uważają jednak, że nawet jeśli tata nie wie, gdzie są klejnoty, to może im dać jakieś wskazówki, jak dorwać Radzia Szprychę. Dlatego dla nich kluczem do całej sprawy jest tata.

– Dlaczego tak uważają? – dopytywał się Staś. – Przecież równie dobrze Radzio Szprycha mógł je zabrać z sobą.

– Dlatego, że na monitoringu widać go, jak wchodzi do budynku z woreczkiem, a jak wychodzi, już go nie ma.

– Czego jeszcze się dowiedziałeś?

– Oni nie mają pojęcia, kim są wspólnicy Radzia Szprychy, bo byli w maskach i nie udało im się ich zidentyfikować.

To była dobra wiadomość. Policjanci tak samo jak my nie wiedzieli, gdzie jest Radzio Szprycha i skradzione przez niego klejnoty. Teraz zakładaliśmy, że klejnoty ma nadal Radzio, a do taty mógł przyjść dla zmylenia tropów. Lecz w jednym byliśmy lepsi od policji: wiedzieliśmy, kim byli jego wspólnicy i dzięki nim mieliśmy dużo większą szansę jako pierwsi odnaleźć Radzia. Do tego potrzebowaliśmy informacji od pana Rybki, a on jak na złość nadal milczał.

– A co będzie, jeśli on się niczego nie dowie? – wypowiedziałam głośno pytanie, które po cichu zadawał sobie każdy z nas.

– Policjanci mówili, że mają wystąpić o nakaz aresztowania taty i przewiozą go do aresztu. Ma tam siedzieć, jak mówili, do czasu, aż zacznie współpracować.

– Tak nie może być! – zaprotestowałam. – Nie ma mowy, żeby tata spędził choć jeden dzień w areszcie.

– Nie martw się, na pewno wujek Aleksander jeszcze dziś go wyciągnie – próbował pocieszyć mnie Staś. Nie przekonał mnie jednak, zwłaszcza po relacji ducha.

– Wymyślmy coś, żeby mu pomóc – poprosiłam.

Przez chwilę panowała cisza, jak makiem zasiał, po czym odezwał się duch:

– Mam pewien pomysł, jak moglibyśmy go odbić z komisariatu.



Rozdział XVI

ATAK NA KOMISARIAT

Po słowach ducha wybuchnęliśmy śmiechem. To, co powiedział, skojarzyło nam się z westernem. Na pewno takie sceny wielokrotnie oglądaliście na filmie – zły szeryf zamyka dobrego bohatera w areszcie, wtedy pojawiają się jego kumple, którzy chcą go uwolnić, z tego powodu w mieście dochodzi do gigantycznej strzelaniny, w wyniku której dobro triumfuje. W przypadku taty nie mielibyśmy nic przeciwko temu, żeby dobro zatriumfowało. Nie mogliśmy jednak sobie wyobrazić, w jaki sposób duch zamierza odbić tatę z komisariatu policji.

– To niewykonalne – ocenił Staś. – Nie mamy żadnego doświadczenia w atakowaniu komisariatu, a jeśli nawet udałoby się nam odbić tatę, to wtedy stałby się on najbardziej poszukiwanym człowiekiem w kraju, a my razem z nim. Jak myślisz, ile czasu jest

w stanie pozostawać na wolności najbardziej poszukiwany człowiek? Podejrzewam, że w ciągu godziny wszyscy zostalibyśmy złapani.

– Zapominasz o Radziu Szprysze – przypomniał Stasiowi duch. – W tej chwili on jest najbardziej poszukiwanym człowiekiem w kraju, a mimo to skutecznie ukrywa się przed policją.

– Teoretycznie masz rację – przyznał Staś. – Ale pamiętaj, że on jest zawodowym przestępcą i częścią jego zawodu jest chowanie się przed stróżami prawa. Ma w tym doświadczenie i jest do tego przygotowany. Zapewne jeszcze długo przed napadem przygotował sobie kryjówkę, a z tego co wiem ani tata, ani my żadną kryjówką nie dysponujemy.

– Żebyście widzieli swoje miny, jak powiedziałem o odbiciu waszego taty. Nie przypuszczałem, że potraktujecie to dosłownie. Żeby coś osiągnąć, nie zawsze trzeba używać siły, mądrością można osiągnąć o wiele więcej – oświadczył duch. – Wpadłem na pomysł, dzięki któremu wasz tata zostanie uwolniony legalnie i nikt go nie będzie szukał.

– Ale to niemożliwe – oponował Staś.

– Chcesz się założyć? – spytał duch.

Staś nie chciał.

– No to bierzemy się do roboty – pospieszał nas duch, kiedy już zdradził nam swój pomysł. – Musimy się z tym uporać, zanim wasza mama wróci do domu. Potrzebuję tabletu, śrubokrętu, obcęarów i dodatkowej pomocy. Zadzwońcie po Tytusa, żeby za pół godziny czekał na nas pod komisariatem.

Tadzio przyniósł swój tablet, do którego duch natychmiast wskoczył. Otworzył przeglądarkę i, skacząc po ekranie, wstukiwiał różne hasła. Nie mieliśmy czasu przyjrzeć się, co robi, bo w tym czasie

poszliśmy do garażu po śrubokręt. Gdy wróciliśmy na górę, duch już sprawdził, co miał do sprawdzenia.

– Jedziemy na komisariat – zarządził.

Po raz trzeci tego dnia wylądowaliśmy przed komisariatem, gdzie czekał już na nas Tytus. Zajrzeliśmy przez okno do środka. Za kontuarem siedział ten sam dyżurny. Przed komisariatem zatrzymał się samochód, z którego wysiadł mężczyzna w mundurze policyjnym i wszedł do środka.

– Szczęście nam sprzyja. Rozpoczynamy akcję „wejście do komisariatu” – oświadczył duch, po czym przydzielił nam zadania.

– Wszystko jasne?

– Jasne – potwierdziliśmy.

– No to zaczynamy.

Na znak ducha Tadzik podbiegł do zaparkowanego samochodu, a my ustawiliśmy się z boku drzwi komisariatu. Tadzik oparł ręce na masce samochodu i zaczął nim bujać. Na efekt nie trzeba było długo czekać, w samochodzie odezwał się alarm antywłamaniowy. Tadzik odbiegł od samochodu i dołączył do nas. Nadszedł moment na drugi etap planu. Tytus otworzył drzwi do komisariatu i wbiegł do środka, krzycząc:

– Panie policjancie, panie policjancie, ktoś próbuje ukraść żółtego peugeota stojącego przed komisariatem!

– To samochód dowódcy! – wykrzyknął policjant i zerwał się ze swojego miejsca w dyżurce.

– Ten mężczyzna chyba ukrył się za samochodem – podpowiedział mu Tytus, gdy dyżurny dopadł do drzwi.

– Zaraz złapię łobuza. – Policjant pobiegł w kierunku samochodu.

Na moment wrota do komisariatu stanęły otworem.

– Szybko, zanim się zorientuje – ponagłał nas duch. Zostawiliśmy Tytusa na zewnątrz i wbiegliśmy do środka.

Już w środku usłyszeliśmy głos policjanta:

– Za samochodem nikogo nie ma.

– Musiał uciec, jak pobiegłem po pana – odparł Tytus. – Całe szczęście, że nie ukradł samochodu.

Nie czekając, co będzie dalej, wbiegliśmy po schodach na drugie piętro. Na szczęście na schodach nie spotkaliśmy nikogo, wyobrażacie sobie, jakbyśmy musieli się tłumaczyć, gdyby spytał, co tutaj robimy? Na górze duch wskazał nam duże ściennie lustro wiszące w korytarzu.

– Zdejmujcie – polecił.

Dzięki zabranym z domu narzędziom szybko udało nam się odkręcić lustro. Duch wskoczył do niego i po chwili na lustrzanej tafli pojawiła się sylwetka pięćdziesięcioletniego wysokiego siwiejącego mężczyzny w policyjnym mundurze.

– Jak wyglądam? – spytał duch.

– Bardzo realistycznie i godnie – oceniłam.

– O to chodziło. Możemy zaczynać główną część przedstawienia.

Przenieśliśmy lustro pod drzwi pokoju 203, po czym otworzyliśmy te drzwi. Na widok postaci policjanta w mundurze dwaj mężczyźni po cywilnemu w pokoju zerwali się na nogi.

– Czołem, panie pułkowniku! – wykrzyknęli.

– Czołem, panowie, spoczniej, siadajcie. Jak poszło przesłuchanie mecenasa? Dowiedzieliście się czegoś od niego?

– Niestety nie, panie pułkowniku. Milczy jak zakłęty, twierdzi, że wszystko, co wie, to tajemnica adwokacka i nie może na ten temat zeznawać. Ale zmiękczymy go. Nie z takimi twardzielami mieliśmy już do czynienia. Spędzi noc w zimnej piwnicy i od razu nabierze ochoty

do rozmowy. Chcemy go przesłuchać jutro rano jeszcze raz przed zawiezieniem do prokuratora. Jak nie zdecyduje się mówić jutro, to zmieni zdanie za kilka dni. Nic tak dobrze jak czas spędzony w areszcie nie rozwiązuje języków podejrzanych.

– Niestety, panowie, ale tym razem nie będziemy mieli okazji sprawdzić, czy ta reguła zawsze się sprawdza.

– Nie rozumiem – zdziwił się policjant.

– Zmieniliśmy plan śledztwa – odparł pułkownik. – Uznaliśmy dziś na odprawie, że czekanie, aż go złamiemy, może zbyt długo trwać. Nie ukryjemy tego, że został zatrzymany i jak Radzio Szprycha dowie się, że on siedzi, może uciec z kraju. Jeśli uda mu się zabrać ze sobą klejnoty, możemy nie zobaczyć już ani ich, ani jego. Jaka to by była kompromitacja dla naszego kraju i naszej policji. Wyobrażacie sobie te nagłówki w gazetach: „Klejnoty skradzione brytyjskiej królowej nie zostały odnalezione, polska policja pozwala uciec sprawcy i wywieźć łup z kraju”? To byłby skandal na cały świat. Ktoś musiałby za to odpowiedzieć i jak myślicie, kto to by był?

Obaj policjanci siedzieli w milczeniu.

– Otóż, panowie, kozłami ofiarnymi całej sprawy staliby się oficerowie prowadzący śledztwo, czyli panowie, i oficer nadzorujący śledztwo, czyli ja. A pamiętacie, co się dzieje z kozłami ofiarnymi? Zwalnia się ich albo degraduje. Jeśli nie poradzimy sobie z tą sprawą, wszyscy skończymy w jakiejś zapadłej dziurze, kierując ruchem drogowym.



- To co w takim razie mamy robić?
 - Wypuszczamy go!
 - Wypuszczamy? Po co? Wtedy zwieje i Radzio Szprycha, i on.
 - Nie mądrzcie się, panowie, tylko posłuchajcie. Mamy przygotowany plan śledztwa. Dziś jeszcze zwolnicie mecenasa. Powiecie mu, że podejrzenia wobec niego się nie potwierdziły i dlatego jest wolny. Nie jest nam też potrzebna jego relacja z przebiegu spotkania z Radziem Szprychą, mamy bowiem innego informatora, który w najbliższym czasie wskaże nam, gdzie są klejnoty.
 - Co nam to da?
 - Oj, do najmądrzejszych to wy nie należycie – rozzłościł się pułkownik. – Pomyślcie, co byście zrobili, gdybyście się dowiedzieli, że ktoś chce włamać się do waszej piwnicy i zabrać wasz rower.
 - Zaczaiłbym się pod piwnicą i czekał, aż złodziej przyjdzie, żeby go złapać.
 - Bardzo dobrze, ale zastanówcie się, co by się stało, gdybyście w końcu się zmęczyli i zasnęli.
 - Wtedy złodziej buchnąłby rower.
 - Bardzo dobrze, a pomyślcie, co można by zrobić, żeby złodziej nie zabrał roweru.
 - Można by rower zabrać z piwnicy, wtedy by go nie mógł ukraść.
 - Bardzo dobrze, a teraz pomyślcie. Jeśli mecenas jest zamieszany w kradzież klejnotów i dowie się, że policja niebawem ustali, gdzie one są, co wtedy zrobi?
 - Nic nie zrobi, bo siedzi w więzieniu – odparł policjant.
- Duch w skórze pułkownika westchnął ciężko.

- No dobrze, to wyobraźcie sobie, że go dzisiaj wypuszczamy na wolność - zażądał.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić, przecież my nigdy, jeśli nie musimy, nikogo nie wypuszczamy - odparł policjant.

- Musicie sobie wyobrazić - powiedział duch. - To polecenie służbowe.

- No, jeśli by wyszedł, toby na pewno starał się ocalić klejnoty i zabrać je ze skrytki, zanim my do nich dotrzemy - dedukował policjant. - Albo poszedłby po nie sam, albo skontaktował się z Radziem Szprychą, żeby on zabrał klejnoty.

- Brawo - pochwalił pułkownik. - W końcu zrozumieliście.

- Nic nie rozumiałem - odparł policjant. - Jeśli my go puścimy, a on zabierze klejnoty, to my ich nie znajdziemy. Będzie jeszcze gorzej, niż jest teraz.

- Faktycznie nic nie zrozumieliście - potwierdził pułkownik. - Spróbujcie jeszcze raz. Teraz nie wiemy, gdzie są klejnoty, i mecenas pewnie tego nie wie, czyli sytuacja jest patowa. Natomiast jeśli Radzio Szprycha dowie się, że zatrzymaliśmy jego mecenasa, to sam zabierze klejnoty z kryjówki i nigdy już ich nie zobaczymy, bo jeśli nawet mecenas zdecyduje się mówić, to ich już nie będzie w miejscu, o którym on wie. A teraz spróbujcie przemyśleć drugi wariant. Wypuszczamy mecenasa, mówiąc mu, że nie musimy go trzymać dalej, bo zaraz będziemy wiedzieć, gdzie są klejnoty.

- Już wiem, szefie, my go śledzimy i doprowadzi nas do Radzia Szprychy, a Radzio do klejnotów. Zatrzymujemy go, odzyskujemy klejnoty i nie zostajemy krawężnikami.

- Uff - westchnął duch.

- To genialny plan - ekscytował się policjant. - Tylko jak go zrealizować, skoro mecenas jest zatrzymany. Jak siedzi, nie doprowadzi nas do Radzia Szprychy.

Czuliśmy, że duch w skórze policjanta jest bliski obłądu, na szczęście udało mu się opanować.

- No właśnie w tej sprawie do was przyjechałem - przypomniał policjantowi. - Macie go natychmiast zwolnić, a potem śledzić. Wykonać - polecił duch. - Żegnam panów.

Obaj policjanci zerwali się na nogi, żegnając swojego szefa. Odstawiliśmy lustro na bok i zatrzasnęliśmy drzwi.

- Ale dałeś czadu - pochwalił ducha Tadzio. - Czegoś tak genialnego w życiu nie widziałem.

- Zwiewajmy stąd lepiej jak najszybciej - przerwał mu duch. - Zanim nas nakryją.

- Tylko jak my się stąd wydostaniemy? - spytał Staś. - Przecież na dole jest dyżurny. Jak nas zobaczy, to po nas.

Słyszając Stasia, zatrzymaliśmy się w pół drogi. O tym na śmierć zapomnieliśmy. Wyglądało na to, że dużo łatwiej dostać się na komisariat, niż się z niego wydostać. Na szczęście był z nami duch, który powiedział nam, że przygotował już plan ewakuacji.

- Znoście lustro na dół - zażądał.

Nie mieliśmy pojęcia po co, ale nie było czasu pytać, w każdej chwili ktoś mógł nas zauważyć. Chwyciliśmy lustro i zbiegliśmy na pierwsze piętro, mieliśmy do przebycia jeszcze ostatni kawałek schodów, gdy usłyszeliśmy kroki osoby idącej z dołu.

- Szybko pod ścianę i schowajcie się za lustro - błyskawicznie zareagował duch.

Ledwo schowaliśmy się za lustrem, gdy na schodach pojawił się umundurowany policjant. Policjant zbliżył się do nas, zaszalutował i poszedł dalej.

- Teraz na dół - zakomenderował duch, gdy policjant zniknął za załomem schodów. Zeszliśmy do holu, gdzie duch polecił nam się zatrzymać.



- Dyżurny! - odezwał się tubalnym głosem.

Na jego widok policjant w dyżurce wyprężył się i zasalutował.

- Proszę pójść do izby zatrzymań i powiedzieć, żeby natychmiast mecenasa doprowadzono do pokoju dwieście trzy.

- Może zadzwonię, panie pułkowniku - zaproponował policjant.

- Nie. To pilna sprawa.

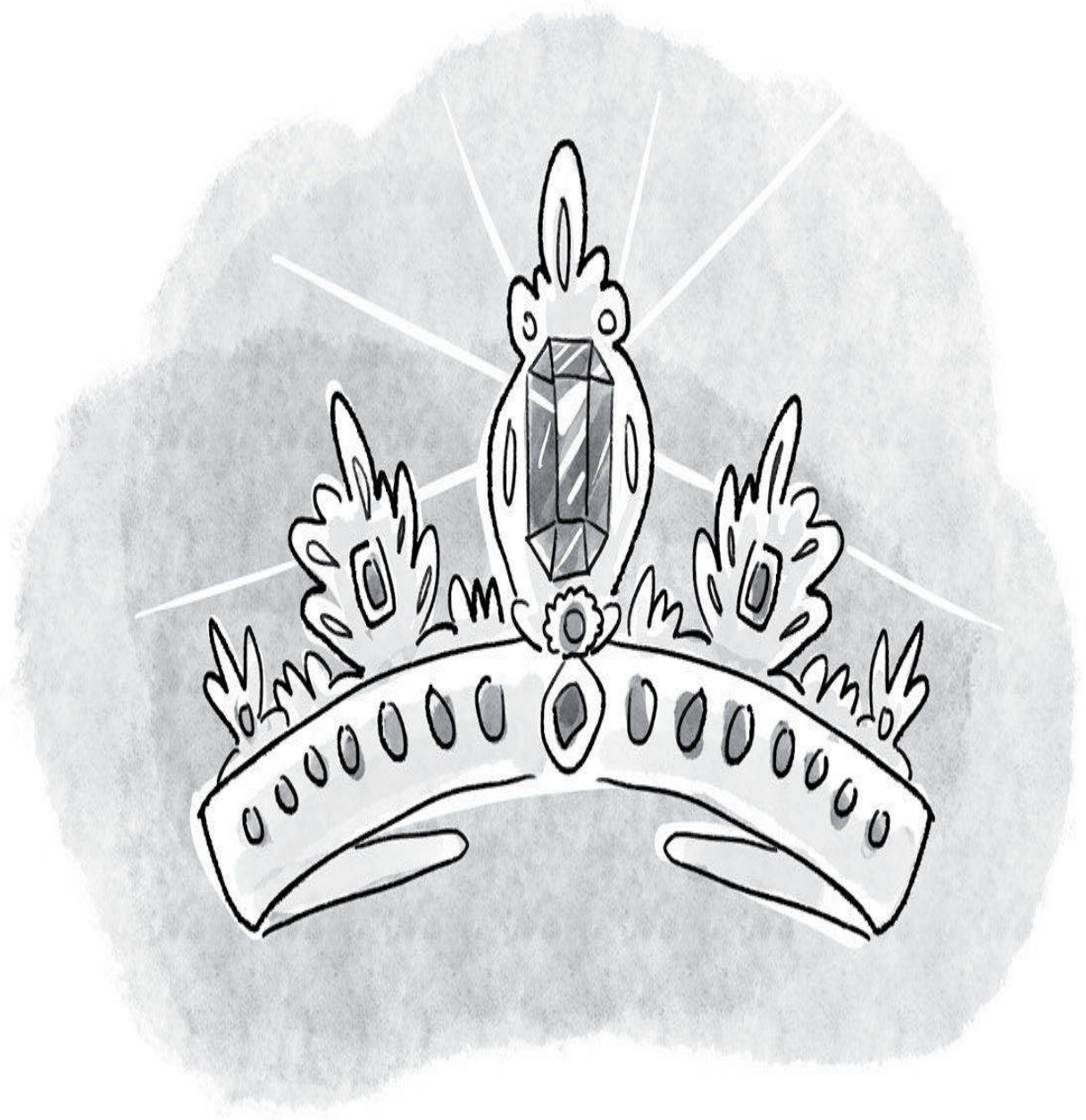
- Rozkaz, panie pułkowniku - wyrecytował dyżurny i zbiegł na dół.

- No to droga wolna - oświadczył duch. - Wynośmy się stąd, zanim szczęście przestanie nam sprzyjać.

- A co z lustrem? - zapytał Tadzio.

- Musimy zostawić je tutaj - uznał Staś. - Żeby nikt nas nie mógł oskarżyć o kradzież policyjnego mienia.

Po przełożeniu ducha do pudełka wyszliśmy na dwór. Pozostawało tylko ukryć się gdzieś i sprawdzić, czy tata zostanie wypuszczony na wolność. Wkrótce w drzwiach pojawił się tata. Po wyjściu usiadł na ławce i oddychał głęboko. Zauważyliśmy, że za nim z komendy wyszło dwóch ubranych po cywilnemu policjantów, którzy ukryli się za rogiem budynku i obserwowali tatę.



Rozdział XVII

PODWÓJNI AGENCI

Uznaliśmy, że skoro nasza misja się udała i tata jest już na wolności, musimy jak najszybciej wracać do domu. Gdyby wrócił pierwszy

i zobaczył, że nas nie ma, zaczęłyby się niepotrzebnie denerwować, a nie mogliśmy narażać taty na kolejny stres. Zatem co sił w nogach pobiegliśmy do postoju taksówek. Udało się, zdążyliśmy przyjechać kilka minut przed nim.

Gdy tata wszedł, zgotowaliśmy mu iście królewskie powitanie. Ja jako pierwsza rzuciłam mu się na szyję.

– To było nieporozumienie, na szczęście wszystko szybko się wyjaśniło. Mam nadzieję, żeście się nie wystraszyli – powiedział.

Ładne nieporozumienie, zaśmialiśmy się w duchu. Sprawy bardziej się skomplikowały, a nie wyjaśniły i gdyby nie nasz podstęp, to tatę czekałoby kilka mało przyjemnych nocek na komisariacie. Na szczęście nie musieliśmy kontynuować tego tematu, bo drzwi wejściowe uchyliły się i stanęła w nich mama.

– O, jak dobrze, że jesteś! – ucieszyła się na widok taty. – Mam nadzieję, że nie zapomniałeś i zrobiłeś zakupy, jak cię prosiłam.

Tata złapał się za głowę, bo oczywiście w tym całym galimatiasie zapomniał o zakupach. Po chwili jednak przypomniał sobie, że przecież nie mógł ich zrobić, bo został zatrzymany, a zatem jest w pełni usprawiedliwiony. Zaczął więc opowiadać mamie swoją przygodę na komisariacie.

– I myślisz, że ja w to uwierzę? – spytała mama, której, jak często się zdarza, musiał się rozładować telefon i pewnie dlatego nie odebrała wiadomości od policjantów o zatrzymaniu taty. – Jeśli o czymś zapomniałeś, to powinieneś mieć odwagę się przyznać, a nie opowiadać jakieś niestworzone historie i do tego przy dzieciach. Pomyśl tylko, jaki przykład im dajesz. Natychmiast idź po te zakupy.

Tata z początku chciał protestować, jednak po namyśle uznał, że chyba jest z góry skazany na niepowodzenie. Machnął tylko ręką

i poszedł do piwnicy po koszyk. Gdy zszedł, rozległo się pukanie i w drzwiach pojawił się wujek Aleksander.

- Jak dobrze, że jesteś - ucieszył się na widok mamy. - Co za straszna historia!

Mama zrobiła zdziwioną minę, ale wujek ciągnął:

- Byłem u prokuratora, ale on powiedział, że nie ma najmniejszych szans, żeby go zwolnić. Pojechałem do Ministerstwa Sprawiedliwości, lecz oni też nie chcą pomóc. To mi wygląda na jakiś spisek. Znosi się na to, że on wylądzuje w więzieniu.



– Kto wylądował w więzieniu? – zainteresował się tata, wracając z koszykiem.

– A co ty tu robisz, powinieneś teraz siedzieć! – wykrzyknął wujek.

Nie miałam niestety możliwości śledzić dalszego rozwoju wypadków, bo odezwał się mój telefon. Dzwonił pan Rybka. Od dawna czekaliśmy na wiadomość od niego. By móc spokojnie porozmawiać, pobiegłam na górę. Bałam się, czy znowu nie wpędził się w jakieś kłopoty, ale na szczęście tym razem było wszystko w porządku.

– Udało mi się – zaczął bez zbędnych wstępów. – Udało mi się podsłuchać ich rozmowę i usłyszałem ciekawe rzeczy.

Na taką wiadomość serce zaczęło walić mi jak młotem. Teraz musiałam jednak pohamować swoją ciekawość. Umówiliśmy się, że ważnych informacji nie będziemy przekazywać sobie przez telefon. Jeśli policja podejrzewała tatę o kradzież klejnotów, to mogli kontrolować również nasze telefony. Pan Rybka zaproponował, żebyśmy zajrzeli do niego do biura. Zanotowałam adres i umówiłam się, że pojedziemy do niego jak najszybciej.

Gdy wróciłam na dół, sytuacja była już częściowo opanowana, to znaczy, mama uwierzyła tacie, że został zatrzymany i nie domagała się, żeby poszedł po zakupy. Natomiast wujek Aleksander nadal nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że tata znajduje się na wolności, skoro wszyscy przekonywali go, że nie ma siły na ziemi, która umożliwiłaby uwolnienie taty. Korzystając z tego, że rodzice byli zajęci rozmową, zawołałam braci i przekazałam im najnowsze informacje. Przy okazji mieliśmy możliwość chwilę porozmawiać o zdarzeniach na komisariacie.

– Dlaczego podrzuciłeś im pomysł, żeby śledzili tatę? – spytał ducha Staś. – Przez to będziemy mieli ich przez dwadzieścia cztery godziny na

dobę na głowie.

– To najlepszy sposób, żeby zapewnić bezpieczeństwo tacie – odparł duch. – Pomyśl, jeśli policjanci podejrzewają, że wasz tata ma klejnoty królowej brytyjskiej, to samo myślą inni. Jeśli chcieliby zmusić tatę, żeby powiedział, gdzie one są, będzie groziło mu niebezpieczeństwo. Musielibyśmy go pilnować dzień i noc. A dzięki policjantom będzie bezpieczny.

– Duchu, jesteś geniuszem – ocenił Staś.

Wtedy ja szybko opowiedziałam braciom o rozmowie z panem Rybką.

– Mówił ci, czego się dowiedział? – dopytywał się Tadzik.

– Nie chciałam z nim gadać przez telefon, porozmawiamy na miejscu.

W salonie tata z wujkiem Aleksandrem nadal zastanawiali się, dlaczego policjanci tak nagle zmienili zdanie. Tata uważał, że chcieli go tylko postraszyć, a jak się zorientowali, że nie ma im nic do powiedzenia, zrezygnowali. Mama zaniepokoiła się i zaczęła się obawiać, co będzie, jeśli policjanci zmienią zdanie.

– Sam mówiłeś, że posadzić człowieka w więzieniu jest łatwo, a wyciąganie go może trwać całymi miesiącami. Nie możesz trafić nawet na chwilę do więzienia, na piątek mam bilety do teatru, a na sobotę zaprosiłam przyjaciół na kolację, pamiętasz, że obiecałeś mi pomóc w jej przygotowaniu?

– To akurat przekonuje mnie, że na ten czas powinienem tam trafić.

– Tata się roześmiał. – Ten spektakl podobno trwa pięć godzin i jest piekielnie nudny, a na kolacji ma być ten facet, który potrafi rozmawiać tylko o łowieniu ryb.

– No wiesz, jak możesz tak mówić? – obraziła się mama.

Zapowiadało się na małą kłótnię. Na szczęście do rozmowy wmieszał się wujek Aleksander, który uznał, że dopóki sprawa się nie wyjaśni, tata nie powinien się rzucać nikomu w oczy i zaproponował, żeby na kilka dni tata z mamą przenieśli się do jego podwarszawskiego domu. Pomysł wyjazdu rodziców spadł nam jak podarunek z nieba, dzięki temu mielibyśmy dużo większą swobodę działania. Tata dał się przekonać. Zgodził się, postawił jednak warunek, że przedtem pójda do naszej osiedlowej tajskiej restauracji, bo tak zgłodniał w czasie tych godzin spędzonych na komisariacie, że bez solidnej porcji kurczaka w curry nie będzie miał siły nigdzie jechać.

– Słyszeliście? Wyjeżdżamy. Pakujcie się – zwróciła się do nas mama.

– Co? – Do głowy nam nawet nie przyszło, że chodzi o wspólny wyjazd i to może dotyczyć również nas.

– Nie cieszycie się? – zdziwiła się mama. – Nieoczekiwanie trafia wam się kilkudniowy odpoczynek od szkoły.

– Ja nie mogę nigdzie jechać – zaprotestowałam stanowczo. – Jutro mam próbę generalną przedstawienia, jeśli nie przyjdę, zatrudnią dublerkę i stracę główną rolę.

– Ja też nie – podchwycił Tadzik. – Jutro jestem umówiony na poprawę oceny z chemii, chyba nie chcecie, żebym na świadectwie miał trójkę.

– Ani ja – poparł nas Staś. – Mam repetytoria przed eliminacjami do olimpiady historycznej. Wiecie, że za wygraną jej oddałbym wszystkie makarony świata.

– W takim razie będziemy musieli zostać – zdecydowała mama.

Sytuacja zrobiła się o wiele poważniejsza, niż przypuszczaliśmy. Chcieliśmy przekonać rodziców, że to my nie możemy jechać, ale oni jak

najbardziej. Długo przekonywaliśmy ich, że będziemy bardzo rozsądni i że mogą zostawić nas samych. Odmówiliśmy też pójścia z nimi do restauracji, tłumacząc, że powinniśmy zabrać się do odrabiania lekcji. Uśmiechnęłam się, widząc, jak dużo kosztuje Stasia dobrowolna rezygnacja z dodatkowego posiłku.

Chwilę później pomachaliśmy im przez okno, gdy pieszo wyruszyli na obiad. Gdy nieco się oddalili, zza rogu wyłonili się policjanci po cywilnemu, których wcześniej widzieliśmy przy komisariacie, i ruszyli ich śladem. Wszystko było w porządku, rodzice byli pod dobrą opieką, a my mogliśmy wyruszyć na spotkanie z panem Rybką. Gdy odchodziliśmy od okna, zauważyliśmy coś dziwnego. Zza rogu wyłoniło się dwóch mężczyzn ubranych w tweedowe kraciaste marynarki, trzymających w ustach wygasłe fajki, którzy dyskretnie podążyli śladem policjantów.

– A to co takiego? – zdziwił się Tadzio.

– Może przypadkowi przechodnie? – próbował zlekceważyć sytuację Staś.

– Wierzysz w takie przypadki? Przecież oni ich śledzą.

– A może to też są policjanci? – próbowałam rozwiązać zagadkę. – Taka grupa wsparcia, która by się zmieniała z tym pierwszym patrolem, żeby rodzice nie zorientowali się, że są śledzeni.

Gdy to mówiłam, jeden z policjantów idących przodem nagle zatrzymał się i schylił, żeby zawiązać sznurowadło. W tym samym momencie mężczyźni w kraciastych marynarkach również gwałtownie zatrzymali się i skryli za drzewem.

– Widzieliście? – Tadzik wskazał na mężczyzn. – Gdyby grali w jednej drużynie, to nie musieliby się przed nimi chować. Oni ich ewidentnie śledzą.

- Może chcą porwać tatę i dowiedzieć się, co zrobił ze skarbem? – przedstawiłam katastroficzną wersję. – Zawiadamiamy policję?

- Wykluczone. Pójdziemy za nimi – odezwał się duch z pudełka. – Jeśli zawiadomimy policję, to nie dość, że sami będziemy musieli się tłumaczyć, skąd wiemy, że rodziców śledzą policjanci, to jeszcze nie dowiemy się, kim są ci, co śledzą policjantów. Pamiętajcie, że dla policji wszystko jest tajne. Najpierw dowiedzmy się, kim oni są, a potem podejmiemy decyzję.



Restauracja Tajskie Smaki była niedaleko. Traktujemy ją jak nasz drugi dom, bo jak rodzicom się nie chce gotować, to nas tam zabierają na obiad. Gotuje w niej prawdziwy Tajlandczyk, a dania w jego wykonaniu są rewelacyjne. W restauracji są trzy sale. Zauważyliśmy, że rodzice usiedli w tej najdalszej od wejścia. Zawsze tak robią, bo ona jest najbliżej kuchni. Tak często tam przychodzimy, że zaprzyjaźniliśmy się z kucharzem, który jak tylko nas widzi, wychodzi się przywitać i proponuje specjalne dania spoza karty.

Policjanci usiedli w sali środkowej, domyślił się, że dlatego, żeby rodzice ich nie zapamiętali. Z kolei mężczyźni w marynarkach w kratę usiedli w sali najbliższej wejścia. Oni z kolei zapewne nie chcieli, by zapamiętali ich policjanci. Wybrali stolik w samym rogu sali i usiedli

tak, by ich twarze nie były widoczne dla innych gości. My zajęliśmy miejsca w tej samej sali w przeciwległym rogu. Siedzieliśmy spokojnie, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Niestety już na samym początku o mało nie zostaliśmy zdemaskowani, gdy zobaczył nas Kim, zaprzyjaźniony z nami kelner.

– Wasi rodzice też tu są. – Rozpromienił się na nasz widok. – Siądziecie z nimi?

Na szczęście mężczyźni z drugiego rogu nie zainteresowali się jego słowami, a my po cichu wyjaśniliśmy mu, że wiemy o rodzicach i nie chcemy im przeszkadzać, bo mają coś ważnego do omówienia, a sami wpadliśmy tylko napić się coli.

Gdy Kim poszedł po nasze napoje, zaczęliśmy się zastanawiać, jak dowiedzieć się, o czym rozmawiają mężczyźni. Sala wyłożona jest szklanymi taflami ozdobionymi rysunkami na motywach wschodnich. Już pewnie się domyśliliście, jaki pomysł nam przyszedł do głowy. Oczywiście, że macie rację. Przełożyliśmy ducha z pudełka do szklanej tafli, a on powędrował sobie do rogu, w którym siedzieli mężczyźni w kraciastych marynarkach.

Nie pozostawało nam nic innego, niż czekać na powrót ducha. Śmialiśmy się, że jak liczba śledzących będzie przyrastać w tak zawrotnym tempie, to niedługo przez miasto będzie się przemieszczał cały korowód: najpierw rodzice, za nimi policjanci, za nimi mężczyźni w tweedowych marynarkach, za nimi my, za nami ktoś jeszcze, a za tym kimś jeszcze kolejny ktoś. Przypomniał nam się wiersz Juliana Tuwima *Rzepka*. Nie wiem, czy go pamiętacie. Kończy się tak:

Poupadali: Rzepka na dziadka,

Dziadek na babcie,

*Babcia na wnuczka,
Wnuczek na Mruczka,
Mruczek na Kicię,
Kicia na kurkę,
Kurka na gąskę,
Gąska na boćka,
Bocięk na żabkę,
Żabka na kawkę
I na ostatku
Kawka na trawkę.*

Gdy wyobraziliśmy sobie, że podobny karambol mógłby spotkać naszych śledzonych i śledzących, zaczęliśmy się histerycznie śmiać. Dopiero gdy zauważyliśmy, że goście zwracają na nas uwagę, z trudem udało nam się uspokoić. Kiedy spowaźnieliśmy, jeszcze raz zaczęliśmy zastanawiać się, kim mogą być ci mężczyźni. Najlogiczniejsze by było, gdyby tatę śledzili wspólnicy Radzia Szprychy, czyli Edward Lepka Raczka i Mieczysław Chciwy.

To skojarzenie wywołało u nas znowu atak śmiechu, – my przy pomocy pana Rybki próbujemy dowiedzieć się, co oni knują, a oni w tym czasie śledzą naszego tatę, którego my też śledzimy, śledząc ich. Zupełny absurd. To jednak nie byli oni, bo ich zdjęcia widzieliśmy.

Usłyszeliśmy za sobą ciche chrząknięcie. Wrócił duch i dyskretnie dawał nam znać, żebyśmy go odebrali. Wyjęłam z plecaka pudełko i odzyskałam Leona.

– Opowiadaj, co to za gangsterzy – ponaglił ducha Tadzik.

– Musicie się trzymać mocno poręczy. Żebyście nie pospadali z krzeseł z wrażenia – ostrzegł nas duch. – Jesteście gotowi? Otóż to nie

są Polacy.

– Zagraniczni gangsterzy? – spytał zdziwiony Staś.

– Nie gangsterzy, daj mi opowiedzieć po kolei – poprosił Leon. – Podkradłem się do nich, okazało się, że oni rozmawiają po angielsku, ze świetnym oksfordzkim akcentem. Całe szczęście, że urodziłem się w Anglii i rozumiałem każde słowo. Otóż, to nie są żadni gangsterzy, tylko angielscy policjanci ze Scotland Yardu. Królowa brytyjska przysłała ich tutaj, żeby współpracowali z polskimi policjantami w odzyskaniu jej klejnotów.

– To dlaczego śledzą naszych policjantów, jeśli mieli z nimi współpracować? – nie mogłam zrozumieć.

– Nie przerywaj, proszę, Helenko. Wszystko opowiem po kolei. Oni zostali przysłani, żeby współpracować z naszą policją, ale nasi policjanci nie chcieli ich wtajemniczyć i nie przekazują im żadnych informacji ze śledztwa. Kiedy zameldowali o tym królowej, ona bardzo się zdenerwowała i postanowiła interweniować przez brytyjskiego ambasadora. To jednak nie pomogło i nadal nie informowano ich o postępie śledztwa. Wtedy królowa jeszcze bardziej się zdenerwowała i zdecydowała, że brytyjscy policjanci mają zacząć własne śledztwo. Żeby się dowiedzieć, co już ustaliła polska policja, śledzą naszych policjantów. Wiedzą już bardzo dużo, że Radzio Szprycha był w biurze taty i że najprawdopodobniej wyszedł stamtąd już bez klejnotów. Mają wątpliwości, czy policja wystarczająco starannie przeszukała biuro taty i zamierzają zrobić to samo jeszcze raz. Niezależnie od tego uważają, że tata może ich doprowadzić do klejnotów, dlatego śledzą policjantów, którzy śledzą tatę, licząc, że jako pierwszym uda im się je odnaleźć.

Pomyślałam, że jeśli w takim tempie będzie rosła liczba chętnych do sprawdzenia, czy u taty nie są ukryte klejnoty, to jego biuro będzie

przypominać Alaskę w szczycie gorączki złota. Jednego nie mogliśmy zrozumieć. Dlaczego policjantom angielskim tak zależało, żeby znaleźć klejnoty jako pierwszym? Jakie to miało znaczenie, kto je odnajdzie, ważne, żeby zguba się znalazła. Spytaliśmy o to ducha i okazało się, że królowa brytyjska ufundowała nagrodę dla znalazcy. Okrągły milion funtów nagrody dla tego, kto odnajdzie biżuterię. Zdaliśmy sobie sprawę, że gdy ta wiadomość się rozejdzie, to nasze wizje korowodu śledzonych i śledzących przestaną być żartem. Do Warszawy zjadą się poszukiwacze skarbów z całego świata i będą przeczesywać miasto. Pomyśleliśmy, jak wyglądałoby biuro taty, gdyby oni wszyscy chcieli je przeszukać, i znowu nie mogliśmy powstrzymać śmiechu. Milion funtów to musiało być bardzo dużo pieniędzy. Nie mogliśmy sobie jednak wyobrazić ile. Pierwszego przeliczenia dokonał Tadzik.

– Założmy, że dobry sprzęt narciarski kosztuje tysiąc funtów, to za tę nagrodę można by było kupić tysiąc kompletów nart i butów. Zmieniając sprzęt raz do roku, mógłbym jeździć nieprzerwanie przez tysiąc lat.

Ta metoda liczenia pobudziła naszą wyobraźnię. Staś, jak pamiętacie, najbardziej na świecie lubi jeść, zatem natychmiast zastosował system kolacyjny.

– Kolacja z najlepszym spaghetti z owocami morza pewnie kosztuje około dziesięciu funtów, więc dzięki nagrodzie mógłbym zjeść sto tysięcy kolacji.

Ja z kolei przeliczyłam, ile mogłabym odbyć egzotycznych podróży, potem policzyliśmy, ile moglibyśmy kupić luster dla ducha, piór wiecznych do kolekcji taty i par butów dla mamy. Wówczas uznaliśmy, że naprawdę warto się zainteresować tą nagrodą. Mieliśmy szansę, bo

wiedzieliśmy tyle samo co policja polska i angielska, a nawet jeszcze więcej, bo my znaleźliśmy nazwiska współników Radzia Szprychy.

Co prawda oni mieli dużo większe szanse, bo byli dorośli, byli policjantami i mogli zatrzymać, kogo chcieli i przeszukać każde pomieszczenie. Do tego mieli komputery, kartoteki, laboratoria, a my tylko siebie i ducha. Postanowiliśmy jednak zawalczyć.

Byliśmy w restauracji już prawie godzinę, więc pewnie za chwilę rodzice z wujkiem Aleksandrem skończą obiad, za nimi ruszą jedni policjanci, potem drudzy. Powinniśmy więc, korzystając z uzyskanej przewagi, jak najszybciej jechać na umówione spotkanie z panem Rybką.

Łatwo było zaplanować, co się powinno zrobić, trudniej jednak było wymyślić sposób. Tym razem na pomysł wpadłam ja. Nie myślcie tylko, że chcę wam się pochwalić, jaka jestem genialna. Po prostu słucham tego, co mówią inni i wyciągam wnioski.

Tak jak wam opowiadałam, tata lubi opowiadać o swojej pracy, a ponieważ ja jestem jego najwierniejszym słuchaczem, opowiada o tym najczęściej mnie. Jak klienci taty coś przeskrobia, to zazwyczaj policja chce ich aresztować, a decyzję o tym podejmuje sąd. Odbywa się wtedy posiedzenie sądu, w trakcie którego prokurator, czyli przeciwnik taty, przekonuje, że sąd powinien zaaresztować podejrzanego, a adwokat kontrargumentuje, że nie ma ku temu powodów. Z tego, co mi opowiadał tata, prokuratorzy często używają argumentu, że jeśli podejrzanym pozostanie na wolności, to będzie mataczył. To znaczy, przeszkadzał policjantom w prowadzeniu śledztwa. Oni nie lubią, jak ktoś im coś utrudnia. W tej sprawie wszyscy braliśmy udział w wyścigu o nagrodę, a zatem będziemy robili wszystko, żebyśmy to my ją zdobyli, a nie policjanci, więc praktycznie będziemy utrudniać im postępowanie.

Gdyby policjanci o tym wiedzieli, na pewno mieliby ochotę nas zamknąć, na szczęście oni nie mieli bladego pojęcia, że jesteśmy ich konkurencją. Nie wiedzieli też, że konkurencją są angielscy policjanci. Dzięki tej prostej analizie wpadłam na mój pomysł.

Jeśli nasi policjanci dowiedzieliby się, że ktoś utrudnia im postępowanie, na pewno chcieliby go zatrzymać, a my wtedy zyskamy na czasie. Muszą więc się o tym w jakiś sposób dowiedzieć.



- Heła, to rewelacyjny pomysł! - wykrzyknął duch, kiedy skończyłam mówić. - Zanieście mnie do aparatu telefonicznego.

To nie było proste zadanie. Budek telefonicznych jest bardzo mało, bo wszyscy mają telefony komórkowe, a my nie chcieliśmy, żeby policjanci ustalili, od kogo dostali informację. W końcu znaleźliśmy budkę, z której duch zatelefonował. Chwilę później, gdy wróciliśmy pod restaurację, wyszli z niej rodzice, za nimi policjanci, a za nimi mężczyźni w marynarkach w kratkę.

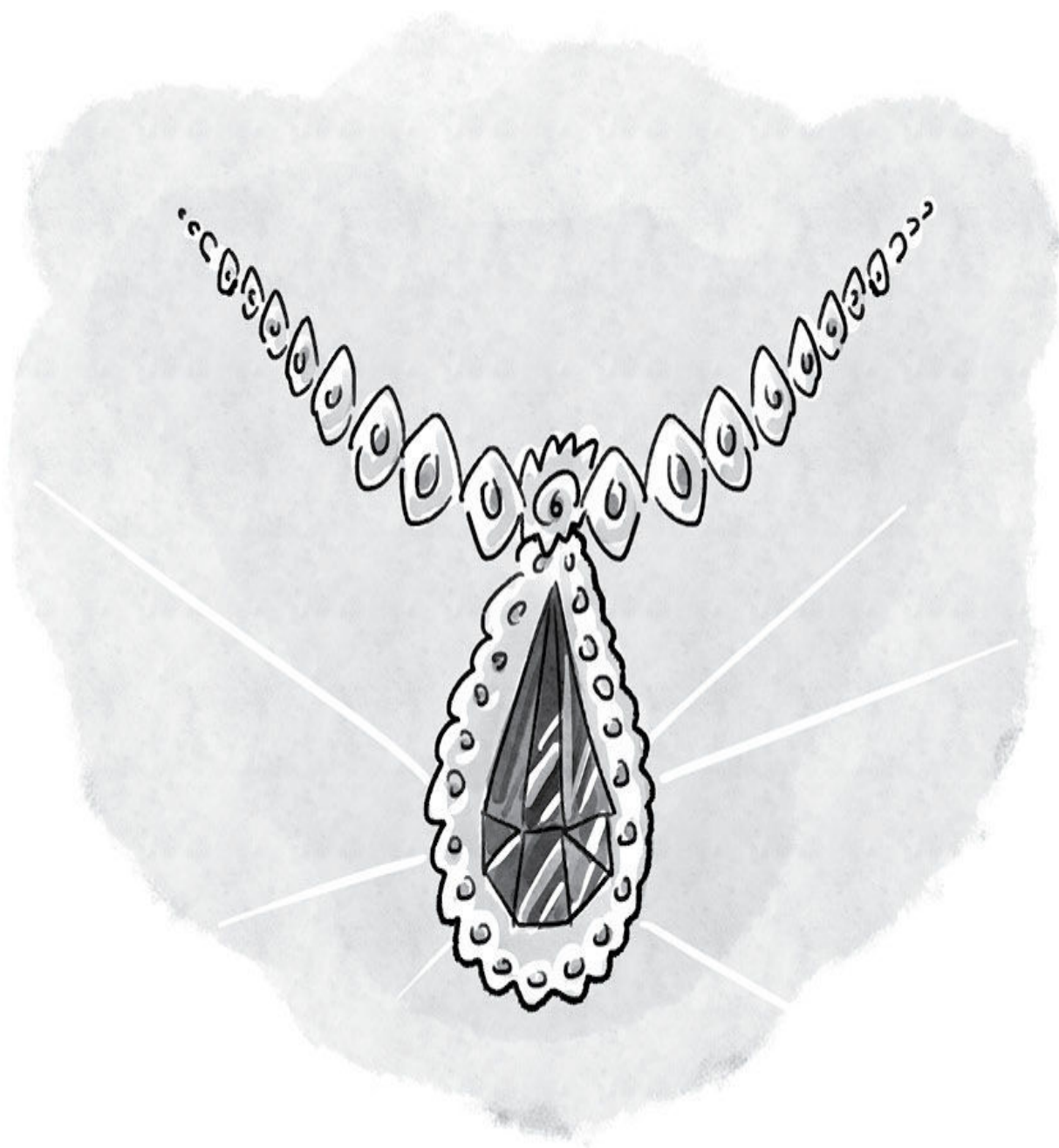
Obserwowaliśmy ich z boku. Widzieliśmy, że jeden z policjantów odebrał telefon. Po chwili odwrócił się. Śledzący ich mężczyźni

uskoczyli w bok i ukryli się za pobliskim drzewem. To musiało oznaczać, że już zadzwoniono z komisariatu uprzedzić policjantów, że są śledzeni. Nie minęły trzy minuty, gdy obok brytyjskich policjantów zatrzymał się samochód, z którego wyskoczyło trzech mężczyzn po cywilnemu z pistoletami w rękach.

– Stać! Policja! Jesteście zatrzymani! – krzyknęli do mężczyzn w marynarkach.

Brytyjczycy, widząc uzbrojonych mężczyzn, rzucili się do ucieczki w kierunku policjantów, których śledzili. Wtedy tamci również wyciągnęli pistolety i odcięli im drogę. Powstało olbrzymie zamieszanie i po kilku sekundach mężczyźni w marynarkach leżeli na ziemi skuci kajdankami. Próbowali tłumaczyć, że zaszło nieporozumienie. Mówili jednak po angielsku i policjanci niewiele mogli zrozumieć. Wsadzili ich do radiowozu i odjechali. Wyglądało na to, że przynajmniej kilka godzin zajmie im wszystkim wyjaśnienie tego, co się stało. Zyskałiśmy zatem przewagę czasu, którą musieliśmy teraz wykorzystać.

Zdecydowaliśmy, że od razu pojedziemy na spotkanie z panem Eugeniuszem Rybką.



Rozdział XVIII

DRUGA TWARZ PANA RYBKI

Zatrzymanie dwóch agentów Scotland Yardu odbyło się jak w filmie. Tak szybko i sprawnie, że rodzice wracający do domu razem z wujkiem

Aleksandrem niczego nie zauważyli. Oni zgodnie z planem wyruszyli na wieś, a my pojechaliśmy na spotkanie z panem Rybką.

– Gdzie się dokładnie umówiliśmy? – spytał Tadzik.

– W jego biurze. On otwiera nowy biznes, handel oponami. Będzie miał hurtownię przy ulicy Stalowej.

Dojechaliśmy tam i odnaleźliśmy parterowy pawilon. Nad wejściem nie było żadnego szyldu.

– To tu? – zdziwił się Staś. – Wygląda raczej na wymarłe cmentarzysko niż rozwijające się przedsiębiorstwo.

Musiałam przypomnieć Stasiowi, że nasz współpracownik niedawno wyszedł z aresztu, do którego zresztą w międzyczasie udało mu się ponownie trafić, a większość czasu po wyjściu na wolność przeznaczył na pomoc nam.

Wnętrze pawilonu sprawiało jeszcze gorsze wrażenie niż jego front – poszarzałe od brudu ściany, stara sparciała podłoga, zaduch i śmieci. Do tego zniszczone meble pokryte grubą warstwą kurzu. Pana Rybkę zastaliśmy w środku, gdy ze szczotką w ręku próbował toczyć nierówną walkę z otaczającym go kurzem.

– Dobrze, że jesteście – ucieszył się.

Widać było, że prace porządkowe nie sprawiają mu przyjemności i możliwość oderwania się choć na chwilę od nich traktuje jak dar niebios.

– Siadajcie. – Wskazał nam kilka zakurzonych zdezelowanych krzeseł.

Byliśmy tak ciekawi, czego się dowiedział, że nie traciliśmy nawet czasu na starcie z nich kurzu. Siedliśmy naprzeciw pana Rybki.

– To niezła speluna – rozpoczął swoją opowieść. – Dobrze, że nie poszliście tam sami. Spotkałem mężczyzn, których mi opisaliście.

Siadłem na stołku przy barze możliwie jak najbliżej ich stolika. Oni byli bardzo ostrożni. Widząc, że siadam w ich okolicy, ściszyli głosy. Mówili tak cicho, że nie mogłem ich usłyszeć.

– Czyli pan się nie dowiedział, o czym mówili? – spytał rozczarowany Tadzik.

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, to nie przeszkadzaj – upomniał go pan Rybka. – To dopiero początek opowieści. Jak myślicie, co powinno się zrobić, żeby ktoś mówił głośno?

– Hałas – odparł bez zastanowienia Tadzik. – Jeśli w pomieszczeniu jest głośno, to ci, co rozmawiają, żeby się słyszeć, zaczynają mówić głośniej.

– Bardzo dobrze – pochwalił Tadzia pan Rybka. – W barze był włączony, ale wyciszony telewizor. Sięgnąłem po pilota leżącego na barze i włączyłem dźwięk. Jednak efekt tego był taki, że oni wprawdzie głośniej mówili, ale ja dalej nic nie słyszałem, bo telewizor zakłócał wszystko. Musiałem wymyślić coś innego. Na szczęście byłem przygotowany na różne ewentualności i wziąłem ze sobą dyktafon. Nie wiedziałem tylko, jak go im podłożyć, gdy nagle oni obaj wstali i wyszli na papierosa. Wykorzystałem ten moment, zamówiłem u barmana podwójną wódkę, a gdy on się odwrócił, umieściłem dyktafon pod jednym z krzeseł przy ich stoliku. Potem ściszyłem telewizor i zacząłem rozmawiać z barmanem. Odszedłem tak daleko, że mieli pewność, że nikt ich nie słyszy. Ten barman rozpoznał mnie z czasów, gdy jeszcze boksowałem i zaczęliśmy wspominać dawne historie.

Opowieść pana Rybki była bardzo ciekawa, ale bardziej interesowało nas, o czym rozmawiali Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy. Dlatego poprosiliśmy, by pominął elementy opisowe i przeszedł do konkretów.

- Dobrze. Udało mi się nagrać ich rozmowę. Wiele z niej nie zrozumiałem, bo oni cały czas mówili o jakimś napadzie.

To było to, o co nam chodziło. Nie szkodzi, że pan Rybka niczego nie zrozumiał, mogliśmy przecież sami przesłuchać nagranie. I tu pojawił się problem, bo okazało się, że dyktafon nie należał do pana Rybki. Pożyczył go od kolegi, a po nagraniu rozmowy oddał. Westchnęliśmy, starając się ukryć niezadowolenie. Spytaaliśmy, czy nie mógłby tego dyktafonu jeszcze raz pożyczyć. Pan Rybka zadzwonił do kolegi, ale niestety okazało się to niemożliwe, bo tamten wyjechał na Mazury na ryby. Staś nie mógł się powstrzymać i spytał, czy kolega łapie ryby na dyktafon. Pan Rybka powiedział, że faktycznie dyktafon mógł zostać w Warszawie i mógłby poprosić kogoś z domowników. Zadzwonił zatem ponownie do kolegi i dowiedział się, że dyktafon został w mieszkaniu, gdzie zapewne przebywała jego żona. Gdy pan Rybka zadzwonił do niej, powiedziała, że jest u kuzynki w Otwocku.



Zasugerowaliśmy panu Rybce, że jego przyjaciel może mieć dzieci, które mogłyby nam pożyczyć dyktafon. Po kilku telefonach okazało się, że nikogo nie ma w domu. Chciało nam się wyc z wściekłości. Poprosiliśmy pana Rybkę, by w tej sytuacji opowiedział nam to, co zapamiętał z tej rozmowy, nawet jeśli z niej nic nie zrozumiał.

– No i po co było tyle zachodu? – dziwił się pan Rybka. – Przecież od początku chciałem wam to wszystko opowiedzieć. Oni bez ustanku rozmawiali o jakimś napadzie – powrócił do przerwanego wątku. – Najpierw myślałem, że oni opowiadają jakiś film gangsterski i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że oni mówią o historii, która wydarzyła się naprawdę, a z ich słów wynikało, że brali w niej udział. Ale to chyba niemożliwe? – Pan Rybka spojrzał na nas pytająco.

Oczywiście nie mogliśmy mu na to pytanie odpowiedzieć. Wzruszyliśmy zatem tylko zgodnie ramionami, dając mu do zrozumienia, że nie mamy pojęcia, o czym oni mówili i sami się chcemy dowiedzieć. Na szczęście pan Rybka wrócił do przerwanej opowieści:

- Z tego, co mówili, wynikało, że niedawno wraz z kimś jeszcze dokonali napadu. Tego trzeciego nazywali Radzio Szprycha, mam wrażenie, że gdzieś już słyszałem to przezwisko. Skok im się udał i ukradli klejnoty o nieprawdopodobnej wartości. Po napadzie uciekali samochodem. Gdy zatrzymali się na światłach, ten trzeci wyskoczył z samochodu i im nawiał. Gonili go, aż zniknął z jednym z wieżowców. Musieli stamtąd natychmiast uciekać, żeby nie zatrzymała ich policja, pojechali więc do dziupli, w której zgodnie z planem mieli ukryć samochód. Czekali tam na tego Radzia Szprychę, myśląc, że zmieni zdanie i wróci, ale on się nie zjawił. Postanowili go szukać, a tak się szczęśliwie składało, że dziewczyna Radzia Szprychy, Rozalia, była siostrą jednego z nich. Zadzwonili więc do Rozalii i okazało się, że on był u niej. Poprosili ją, żeby za wszelką cenę go zatrzymała i pojechali do niej. Niestety przybyli za późno, bo mimo jej próśb Radzio powiedział, że ma coś ważnego do załatwienia i wyszedł. Pytali ją, czy przyniosł coś ze sobą, ale ona zaprzeczyła. Czekali u niej, licząc, że Radzio wróci, ale bez powodzenia. Wtedy już byli pewni, że współnik ich oszukał. Postanowili odnaleźć go, by się zemścić i odzyskać klejnoty. Założyli, że on po wyskoczeniu z samochodu pobiegł do biurowca, żeby tam ukryć łup.

W opowieści pana Rybki wszystko zgadzało się z naszymi ustaleniami.

- Oni zdawali sobie sprawę, że biurowiec jest zbyt duży, żeby odnaleźć w nim skrytkę - kontynuował pan Rybka. - Dlatego zaczęli zastanawiać się, z jakiego powodu Radzio wybrał akurat ten budynek. Pojechali tam i obejrzelili nazwy firm, które wynajmowały tam lokale. Jedną z nich była kancelaria adwokata, który kiedyś bronił Radzia Szprychę. Uznali, że to nie może być przypadek i że to musi być miejsce, do którego pobiegł Radzio, żeby schować klejnoty. Pod uwagę brali dwie możliwości: albo Radzio chciał wejść do biura, by ukryć tam skarb bez wiedzy mecenasa, albo ten adwokat był jego współnikiem i Radzio zaniósł mu łupy, żeby on ukrył je w bezpiecznym miejscu. Uznali, że druga wersja jest mało prawdopodobna i postanowili zacząć od przeszukania biura tego prawnika. Pojechali do niego, udając klientów, którzy szukają porady i gdy adwokat wyszedł z gabinetu, przeszukali go. Nie udało im się jednak znaleźć klejnotów. Pomyśleli więc, że mecenas był jednak współnikiem Radzia i musiał zabrać klejnoty z biura. Dlatego teraz planowali włamać się o domu tego prawnika, licząc, że tam je odnajdą.

Zastanawiałam się nad tym, co powiedział pan Rybka, i na samą myśl, że tata mógłby zostać współnikiem gangstera okradającego brytyjską królową, zachciało mi się śmiać. Znałam tatę od urodzenia i nie widziałam nigdy, żeby zrobił cokolwiek niezgodnego z prawem. Znaliśmy też doskonale nasz dom i nie było w nim żadnej skrytki. Ja sama jak na przykład potrzebowałam długopisu, zaglądałam do szuflad w biurku taty i nie znalazłam niczego podejrzanego. Klejnotów na pewno nie było u nas, więc musiały być nadal w biurowcu, a wszyscy po prostu źle przeszukali biuro. Albo miał je ze sobą Radzio Szprycha, ale tak je ukrył, że nie zauważyła ich jego dziewczyna Rozalia.

Przeraziło mnie, że ci bandyci chcą wdrzeć się naszego domu. Do tego samego wniosku musiał dojść chyba Staś, który spytał:

– A czy oni powiedzieli, kiedy zamierzają się do nas włamać?

– Nie mówili – odparł pan Rybka, po czym spojrzał zdziwiony na Stasia. – Jak to do was? Czy to znaczy, że tym adwokatem, o którym oni mówili, jest wasz tata?

Dla nas to było oczywiste, bo dlaczego mielibyśmy się tą sprawą interesować, ale na twarzy pana Rybki malowało się niebotyczne zdziwienie.

– Czy to oznacza, że u was są te klejnoty? Musimy je ukryć, żeby oni ich nie znaleźli. Grozi wam niebezpieczeństwo!

To prawda, zwłaszcza że rodziców nie było, bo pojechali do wujka Aleksandra, więc moglibyśmy się znaleźć sami oko w oko z włamywaczami. To nie była kusząca perspektywa. Musieliśmy podjąć jakąś decyzję i spytaliśmy pana Rybkę, czy na chwilę mógłby zostawić nas samych. Gdy wyszedł, wspólnie ustaliliśmy, że nie możemy dalej uczestniczyć w wyścigu po nagrodę. Co więcej, mogliśmy teraz opowiedzieć całą historię policji, nie wsypując ducha. Wszak o tym, kto brał udział w napadzie, wiedzieliśmy już z drugiego źródła, bo od pana Rybki. Gdy uzgodniliśmy, że idziemy na policję, usłyszeliśmy głos ducha dochodzący z plecaka:

– Coś sobie uzmysłowiłem – mówił duch podekscytowanym głosem.

– Dotychczas rozmawialiśmy tylko o wizycie Edwarda Lepkiej Rączki i Mieczysława Chciwego w biurze waszego taty, natomiast nie pomyśleliśmy o tym, że jeśli Radzio Szprycha był w kancelarii po napadzie, to też musiał jechać windą i mogłem go widzieć.

To prawda, ale nie rozumiałam, jakie to miało znaczenie, czy duch widział Radzia Szprychę, czy nie. Duch sam wyjaśnił:

– Mogło się zdarzyć, że w trakcie podróży wydarzyło się coś takiego, co by nam pomogło go odnaleźć. Muszę zobaczyć jego zdjęcie, to wtedy odtworzę jego wizytę.

Nie sądziłam, żeby w czasie podróży windą Radzio Szprycha zrobił coś, co by nam pozwoliło odkryć jego plany, ale duch miał rację, powinniśmy to sprawdzić. Jeśli już zamierzaliśmy opowiedzieć o wszystkim policji, musimy przekazać im jak najwięcej informacji. Sięgnęłam po komórkę, w której miałam sfotografowane zdjęcie Radzia i pokazałam je duchowi.

– Pamiętam go – stwierdził Leon po chwili namysłu. – Jechał windą sam, wtedy nie miałem nastroju i nie zrobiłem mu żadnego żartu, siedziałem sobie po prostu w lustrze i obserwowałem go. Pamiętam jedną dość ciekawą rzecz...

Nie zdążyliśmy się jednak dowiedzieć, co się duchowi przypomniało, gdy drzwi do pokoju otworzyły się z olbrzymią siłą i pojawił się w nich pan Rybka. Nie był tak spokojny, jak go dotychczas znaliśmy. Było widać, że coś nim bardzo wstrząsnęło. Miał rozbiegane oczy, ręce mu drżały i cały się trząsał z emocji.

– Sprawdziłem w Internecie! – wykrzyknął. – W tym dniu, o którym rozmawiali ci mężczyźni, skradziono klejnoty królowej brytyjskiej. One były warte czterdzieści milionów funtów!

Wpatrywaliśmy się w pana Rybkę zdziwieni. Przecież o tym, ile kosztowały te klejnoty, mówiono w każdych wiadomościach. Nie mogliśmy zrozumieć, co go tak bardzo zaskoczyło. Dopiero po chwili sobie przypomniałam, że kiedy dokonano kradzieży, pan Rybka był w areszcie. To jednak nadal nie tłumaczyło, dlaczego on jest tak zdenerwowany.

- Czy wasz ojciec był w zмовie z tym Radziem Szprychą?! - spytał podniesionym głosem.

- Ależ skąd! - zaprzeczyliśmy.

- Ale znalazł te klejnoty?

- Nie, nie było ich w biurze, gdyby je odnalazł, to odniósłby je na policję.

Usłyszawszy, że nie wiemy, gdzie są kosztowności, pan Rybka posmutniał i przez moment wydawało mi się, że w jego oczach pojawiły się łzy.

- Zaraz, zaraz - zmobilizował się nagle. - Jeśli wasz tata ich nie znalazł, a on je tam schował, to oznacza, że one są tam ukryte.

- Nie pamięta pan, że Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy przeszukali biuro taty? Tam ich nie ma.

Zachowanie pana Rybki zaczynało mnie trochę przerażać, przypomniałam sobie, jak czytałam, że wielu poszukiwaczom skarbów wizja fortuny potrafiła pomieszać w głowie. Widząc go tak podekscytowanego, przestałam czuć się w jego towarzystwie bezpiecznie i zapragnęłam jak najszybciej wydostać się z tego miejsca.

- Jeśli pan nie wierzy, możemy pojechać do biura taty i pan sam sprawdzi. - Uznałam, że w ten sposób będziemy mogli jak najszybciej stąd wyjść, a na zewnątrz uciekniemy. Wstałam i sięgnęłam po plecak.

Pan Rybka zareagował tak, że przeraziłam się nie na żarty.

- Nie wierzę ci! - krzyknął. - Chcesz mnie nabrać! Przecież wasz tata wiedział, że skarb mógł być ukryty w jego biurze i na pewno przetrząsnął je, a kiedy znalazł klejnoty, to nie trzymał ich nadal w kancelarii, tylko ukrył w bezpiecznym miejscu.

- To nieprawda - zaprotestowałam. - Tata nie znalazł klejnotów. Gdyby tak było, toby je odniósł na policję i dostał milion funtów

nagrody.



– Masz mnie za głupiego?! – krzyczał pan Rybka. – Ta nagroda to jakiś drobny napiwek, głupi milion funtów. Myślicie, że jakby ktoś znalazł coś, co jest warte czterdzieści milionów, toby to oddał za milion?!

– Ale te klejnoty nie były jego... – przypomniałam.

– Wasz tata nie jest idiotą – przerwał mi. – Widziałem go w akcji w sądzie, to cwany gość. Jakby miał do wyboru zarobić czterdzieści milionów albo milion, toby się zorientował, że czterdzieści milionów to więcej.

– Ale tata nigdy by nie zabrał niczego, co nie należy do niego – zaprotestowałam. – Nie mamy tych klejnotów. On ich nie znalazł.

– Wiem, że znalazł. – Pan Rybka był uparty. – Co najwyżej wam o tym nie powiedział. Jestem pewien, że przewrócił biuro do góry nogami. Musiał je znaleźć, czyli są u waszego ojca. Wyciągnę z niego, gdzie je ukrył.

Zaczęłam cała trząść się ze strachu i płakać. Zdałam sobie sprawę, że kiedy ktoś popadnie w obłąd, to nie jest w stanie przyjąć żadnych racjonalnych argumentów. Nie mieliśmy szans przekonać pana Rybki, że ani my, ani tata nie wiemy, gdzie są klejnoty.

– Zmuszę waszego tatę, żeby powiedział, gdzie je ukrył – powtórzył.
– Przekonamy się, co jest dla niego cenniejsze: życie własnych dzieci czy kamienie. Zadzwońię do niego i powiem, że jeśli w ciągu godziny nie przywiezie klejnotów, to obetnę palec któremuś z was i będę tak obcinał co kwadrans aż do skutku. – Pan Rybka sięgnął do kieszeni, z której wyjął nóż sprężynowy. – Albo mam jeszcze lepszy pomysł. Ty mu to sama powiesz. – Wyjął z kieszeni komórkę.

Staś jeszcze próbował przekonać go, że tata nie wie nic o diamentach, a nawet jakby wiedział, to nie ma szans, żeby przybył tu w ciągu godziny, bo jest poza Warszawą. Te argumenty nie robiły na panu Rybce najmniejszego wrażenia.

– Zamknij się, szczeniaku, bo cię załatwię, zanim on zdąży tu przyjechać! – krzyknął na Stasia.

Ja płakałam dalej, jednak mimo strumienia łez spływającego po policzkach dostrzegłam za panem Rybką jakiś ruch. To był Tadzik, który, trzymając w ręku fragment jakiegoś mebla, zbliżał się do pana Rybki od tyłu. Tadzik wziął zamach i uderzył z całych sił mężczyznę w głowę. Rozległ się głośny odgłos uderzenia i byłam przekonana, że pan Rybka runie jak długi na ziemię. Nie przewrócił się jednak, przez chwilę stał nieruchomo, jakby był oszołomiony, po czym obrócił się do tyłu.



Oglądając tę scenę, przypomniałam sobie, co mówił o nim tata, że pan Rybka do niedawna był zawodowym bokserem wagi ciężkiej. Uderzenie, które innego zwałoby na ziemię, na nim nie zrobiło wrażenia. Gdy się odwracał, Tadzik wziął jeszcze raz zamach, by powtórzyć cios, jednak mężczyzna odsunął się w bok i uderzenie trafiło go w ramię. Nawet nie zareagował, jakby mrówka okładała zapalką hipopotama. Drugą ręką złapał drewniany kołek, który jednym szarpnięciem wyrwał Tadziewi. Jego twarz straciła dotychczasowy miły wyraz, była cała czerwona z napiętymi z wściekłości mięśniami. Tadzik w mgnieniu oka uświadomił sobie, że nie da rady pokonać dużo większego od siebie boksera. Cofnął się i krzyknął:

– Zwiewaj stąd, Bezimienna!!!

Złapałam plecak z duchem i pobiegłam do drzwi. Pan Rybka odwrócił się w moim kierunku i zawahał się przez chwilę, z którym

z nas rozprawić się jako pierwszym. Musiał uznać, że Tadzik stanowi dla niego większe zagrożenie, bo zignorował mnie i odwrócił się ponownie do brata.

– Zabiję cię, gówniarzu! – poinformował Tadzia i rzucił się na niego.

Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak mój brat zostaje zmiażdżony przez tego potwora. I wtedy wydarzyło się coś zupełnie innego. Gdy pan Rybka rzucił się, chcąc pochwycić Tadzia, Staś, który stał z boku pana Rybki, skoczył mu pod nogi. Pan Rybka potknął się i z całej siły grzmotnął o ziemię, klnąc przy tym straszliwie. Tadzio, widząc Rybkę na ziemi, zatrzymał się, przez ułamek sekundy zastanawiał się, co zrobić, gdy dostrzegł stojący przy ścianie metalowy regał, na którym ustawione były puszki z farbami. Brat skoczył w kierunku regału, szarpnął go, odrywając od ściany, i przewrócił konstrukcję na leżącego Rybkę. Niektóre ze spadających puszek otworzyły się i leżący mężczyzna pokrył się barwną paletą jaskrawych kolorów. Gdy pan Rybka przez chwilę się nie ruszał, pomyślałam, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Jednak za moment drgnął, po czym z przerażającym rykiem wściekłości zerwał się na nogi. Wyglądało na to, że jest niezniszczalny. Otarł z twarzy farbę, zlokalizował Tadzia i ruszył na niego. Tadzio cofnął się, szukając drogi ucieczki i zorientował się, że stoi w rogu pokoju, a drogę do wyjścia odcina mu jego przeciwnik. Obserwowałam to wszystko, stojąc w drzwiach wejściowych i rozpaczliwie zastanawiałam się, jak pomóc bratu. Wtedy poczułam, że ktoś mnie popycha. Upadłam na podłogę.



Widziałam, jak do pokoju wbiegło kilku mężczyzn w czarnych ubraniach i kominiarkach naciągniętych na twarze. W rękach trzymali broń, a na plecach mieli duże napisy POLICJA.

– Policja! Na ziemię! – wykrzyknął jeden z zamaskowanych.



Rozdział XIX

TAJEMNICZY SZYFR

Wszystko odbyło się jak w programach telewizyjnych, na szczęście leżałam już na ziemi. Jednak ku mojemu zdziwieniu policjanci jak na razie nie wykazywali żadnego zainteresowania nami, otoczyli natomiast półkolem pana Rybkę i wymierzili w niego broń. Widząc, że nie ma szans, mężczyzna nie stawiał oporu. Policjanci założyli mu kajdanki i już skutego zaprowadzili do samochodu zaparkowanego pod magazynem. Pan Rybka wyglądał jak wielki malowany ptak, po jego

ciele spływało kilka kolorów farby, nadając mu malowniczy wygląd. Ten widok rozbawił policjantów. Ich dowódca spojrzał na niego, potem na nas i, nie mogąc powstrzymać rozbawienia, powiedział:

– Mieliśmy was uratować przed porywaczem, a wygląda na to, że to jego uratowaliśmy przed wami.

Słyszac słowa policjanta, nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób tak szybko się dowiedzieli, że zostaliśmy napadnięci przez pana Rybkę. Nie miałam odwagi jednak o to zapytać. W chwili, gdy policjanci wyprowadzali zatrzymanego, do pokoju weszła kobieta w policyjnym mundurze. Podeszła do nas. Była bardzo miła, pytała, czy nam się nic nie stało i powiedziała, że zaraz zostaniemy zawiezieni na komisariat, gdzie złożymy zeznania o tym, jak nas napadnięto. Poprosiła, żebyśmy chwilę poczekali, zanim policja skończy wszystkie czynności związane z zatrzymaniem pana Rybki. Siedliśmy zatem z powrotem na zakurzonych krzesłach i mieliśmy okazję skomentować ostatnie wydarzenia.

– W jaki sposób dowiedzieli się, że on na nas napadł? – zadałam głośno pytanie, które nurtowało mnie od kilku minut.

Bracia zastanawiali się nad tym samym, nie potrafiliśmy jednak znaleźć wyjaśnienia. Wtedy usłyszeliśmy pochrząkiwanie dochodzące z mojego plecaka. To był oczywiście duch, który w ten sposób dawał do zrozumienia, że również on chciałby się wypowiedzieć w tej sprawie.

– To ja ich wezwałem – poinformowałem nas, gdy odpięłam zamek.

– Jak to ty? – zdziwiłam się. – Masz zdolności telepatyczne?

– Nie – roześmiał się Leon. – Po prostu miałaś telefon w plecaku. Widząc, co się dzieje, uznałem, że potrzebna jest pomoc. Przeskoczyłem z pudełka do ekranu telefonu i zadzwoniłem na policję. Muszę przyznać, że oni naprawdę sprawnie działają.

Podziękowaliśmy duchowi, zdając sobie sprawę, że wyciągnął nas z poważnych tarapatów, po czym powróciliśmy do przerwanej przez pana Rybkę rozmowy na temat pobytu Radzia Szprychy w windzie.

- Jechał sam windą - kontynuował duch. - Wyglądał na zdenerwowanego. Oddychał ciężko, jakby wcześniej biegł. Gdy tętno mu się nieco uspokoiło, sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął małą karteczkę. Przeczytał ją, po czym wyjął z kieszeni zapalniczkę i spalił tę karteczkę.



Ten fragment mnie zainteresował. Jeśli Radzio Szprycha spalił kartkę, to znaczyło, że było na niej coś bardzo ważnego. Zapewne nauczył się tekstu na pamięć, po czym zniszczył zapiski, żeby nie wpadły w niepowołane ręce. Co mogło być tak ważnego? Oczywiście jakaś instrukcja związana z ukryciem łupu.

– Widziałeś, co na niej było napisane? – spytaliśmy równocześnie ducha.

– Tak, byłem obok niego w lustrze. Na kartce była notatka „yóźjyóez4”.

– Co to znaczy?

– Nie mam pojęcia – odparł Leon.

– Może to jakiś kod albo hasło? – podrzucił rozwiązanie Tadzik.

To, co powiedział, było logiczne, takie hasła mogły być używane w różnych miejscach w aplikacji telefonu, jako hasło do komputera, kod do sejfów czy nawet do kłódki. W takim razie potrzebowaliśmy najpierw dotrzeć do przedmiotu, w którym to hasło zostało użyte. Stasia naszły wątpliwości:

– Jeżeli ktoś wymyśla hasło, to robi to tak, żeby było ono możliwe do zapamiętania, na ogół to jakiś wyraz albo cyfry i litery w jakimś logicznym porządku, a tu zobaczcie: „yóźjyóez4”. Totalny chaos, litery układające się w ciąg nie do zapamiętania. Jeśli Radzio zniszczył kartkę, to znaczy, że nauczył się jej zawartości na pamięć, a czy takiego układu liter byłby w stanie nauczyć się tak szybko? A może to nie było hasło, tylko szyfr?

– Szyfr? Co masz na myśli?

– Taka zaszyfrowana wiadomość – tłumaczył Staś. – Jeśli ktoś nie chce, by ktoś inny zrozumiał jakiś zapisek, może wiadomość

zaszyfrować. W ten sposób nie jest ona zrozumiała dla przypadkowej osoby. Tylko znając klucz do szyfru, można ją odczytać.

– Ale po co Radzio miałby szyfrować wiadomość? – dopytywałam się.

– Mógł mieć wiele powodów. Załóżmy, że to była jakaś informacja dotycząca ukrycia klejnotów, to Radzio nie chciał, by ktoś się o tym dowiedział. Kartka mogła wpaść w niepowołane ręce, mogła ją odnaleźć na przykład jego narzeczona albo policja, gdyby go zatrzymała. Radzio wolał nie ryzykować i zaszyfrował tak wiadomość, że jeśli trafiłaby ona w niepowołane ręce, byłaby tylko zbiorem bezsensownych, z pozoru nic nieznaczących znaków. Dopiero mając klucz, można odczytać ich znaczenie. Pamiętajcie, w czasie wojny Niemcy stworzyli maszynę szyfrującą Enigmę. Szyfrowała wiadomości tak doskonale, że nawet jak trafiły one w ręce wroga, były dla niego niezrozumiałe. Dopiero dzięki polskim naukowcom udało się złamać kod Enigmy i od tego czasu alianci znali planowane posunięcia wroga i mogli je wyprzedzać.

– Myślisz, że Radzio też miał maszynę do szyfrowania wiadomości? – spytałam.

– Nie sądzę – roześmiał się Staś. – Kod Enigmy był najbardziej skomplikowanym szyfrem świata. Rozpracowywał go zespół najwybitniejszych matematyków. Szyfry mogą być bardzo złożone, ale i bardzo proste. Myślę, że w przypadku Radzia Szprychy mamy do czynienia z tą drugą opcją.

– Przypominam sobie taki szyfr z jednego filmu – odezwał się Tadzio. – Kluczem do szyfru była Biblia. Na kartce zapisane były znaki wskazujące stronę w książce, wers i kolejność wyrazu w linijce.

Oznaczone w ten sposób poszczególne słowa stanowiły zaszyfrowaną wiadomość.

– Tak, to jeden ze sposobów szyfrowania wiadomości – przyznał Staś. – Nie sądzę jednak, żebyśmy z takim szyfrem mieli styczność w tym wypadku.

– Dlaczego? – spytał Tadzio rozczarowany.

– Bo wtedy, żeby odszyfrować wiadomość, Radzio musiałby mieć taką książkę ze sobą. Klucz do jego szyfru musi być bardzo prosty. Taki, by tekst można było odszyfrować bez pomocy jakichkolwiek urządzeń. To by oznaczało, że każdej literze w tekście można nadać inne znaczenie i dzieje się to według prostego schematu, który można zapamiętać. Jeśli Radzio odczytał i zapamiętał tekst w trakcie kilkudziesięciu sekund podróży windą, musi to być coś łatwego, opartego zapewne na układzie kolejności liter w alfabecie. Na przykład każdą literę w haśle należy zastąpić literą poprzedzającą ją w alfabecie.

– Spróbujmy – wyszeptałam podekscytowana.

Wyciągnęłam z plecaka notes i napisałam na kartce hasło, które zobaczył duch. Po czym każdą literę zamieniliśmy na następującą po niej w alfabecie. Uzyskaliśmy w ten sposób „zpżkzpfż4”.

– To nic nie znaczy – stwierdziłam rozczarowana.

– Musimy próbować dalej, na ogół nie udaje się za pierwszym razem – pocieszył mnie Staś. – Spróbujmy przesunąć się w alfabecie o dwie litery.

Szybko zamieniliśmy litery, ale i tym razem uzyskaliśmy słowo niemające żadnego znaczenia.

– Spróbujmy zastąpić pierwotne litery wcześniejszymi w alfabecie – zaproponował Staś. Tym razem na kartce pojawił się napis

„woziwody4”. Te litery coś znaczyły, tylko nie wiedzieliśmy co. Wpatrywaliśmy się w kartkę, szukając rozwiązania.

- To adres - przerwał ciszę Tadzik.

- Czego adres? - spytał Staś.



– Nie mam pojęcia czego. Woziwody to nazwa ulicy. Mam koleżankę, która mieszka na ulicy Woziwody. To jest taka mała uliczka na Sadybie niedaleko jeziora Czerniakowskiego. Tu chodzi o adres: ulica Woziwody cztery.

– Myślisz, że on tam ukrył klejnoty? – spytałam.

– Nie mam pojęcia – odparł Staś. – Jadąc do taty, miał świadomość, że będzie musiał ukrywać się przed policją i przed wspólnikami. Musiał mieć zatem dużo wcześniej przygotowaną kryjówkę. Mógł na przykład pod fałszywym nazwiskiem wynająć mieszkanie. Adres mógł mieć zapisany na kartce, bo po wizycie u taty zamierzał tam się ukryć. Mamy zatem dwie wersje: albo ukrył klejnoty w kancelarii taty, a tam pojechał się sam schować, albo zabrał klejnoty ze sobą i w tej chwili jest z nimi pod tym adresem.

– W biurze szukali już tata, policja, wspólnicy Radzia – przypomniałam. – Raczej ich tam nie ma, a zatem powinniśmy założyć, że Radzio zabrał je ze sobą.

– Czyli mamy szansę wrócić do wyścigu po nagrodę – rozpromienił się Tadzio. – Jako jedyni wiemy, gdzie są ukryte klejnoty i wyprzedzimy wszystkich.

– Chyba zwariowałaś – zaprotestowałam. – Przecież ustaliliśmy, że przestajemy się bawić w poszukiwaczy skarbów i opowiemy o wszystkim policji. Zapomniałaś, że przed chwilą pan Rybka chciał nam poobcinać palce, a Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy chcą włamać się do nas po klejnoty? Jeśli ich nie znajdą, zmuszą tatę w bardziej brutalny sposób, żeby im powiedział, gdzie one są. To naprawdę nie jest zabawa i nie możemy ryzykować – przypomniałam bratu.

– Teoretycznie masz rację – przyznał Tadzik. – Ale pamiętaj, że od naszej ostatniej rozmowy sytuacja się zmieniła. Pan Rybka został zatrzymany i już nam nie zagraża. Zaraz go przesłuchają i wtedy opowie policjantom o Edwardzie Lepkiej Rączce i Mieczysławie Chciwym i ich też zamkną. Wtedy jak wszyscy będą aresztowani, nikt nie będzie nam zagrażał.

– A jeśli nie zamkną? – przerwałam Tadziovi. – Przecież on może ich nie sypanąć. Pamiętasz, co mówił tata, że część bandytów jeszcze do dziś kieruje się zasadą wzajemnej lojalności i nigdy nie donosi na siebie policji? Jeśli mają ze sobą jakieś porachunki, to załatwiają je po swojemu. To się nazywa solidarność przestępcza.

– Bezimienna, nie panikuj – próbował uspokoić mnie Tadzio. – Tata wyjechał i jest u wujka Aleksandra. Klejnotów nie ma u nas w domu, więc nawet jak Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy będą ich szukać, to nic nie znajdą. Oni są na fałszywym tropie, a my dzięki informacji ducha wiemy, gdzie są ukryte.

– Tadzik ma rację – nieoczekiwanie poparł brata Staś. – Nic nie ryzykujemy, a możemy zdobyć nagrodę. Umówmy się, że spróbujemy, a jak nie znajdziemy klejnotów pod tym adresem na Woziwody, to opowiemy o wszystkim policji.

Prawdą jest, że żądza majątku potrafi zaślepić. Perspektywa zdobycia nagrody tak mnie skusiła, że uległam braciom. Zdecydowaliśmy, że pojedziemy natychmiast do kryjówki Radzia Szprychy. Gdy wstaliśmy, zatrzymała nas pani policjant. Zupełnie o niej zapomnieliśmy. Przecież nie mogliśmy na razie wyruszyć po skarb, bo mieliśmy jako ofiary napadu jechać na komisariat policji złożyć zeznania.

Na komendzie rozdzielono nas i każde zostało zaprowadzone do innego pokoju. Muszę wam się do czegoś przyznać. Bardzo lubię filmy kryminalne, oglądałam ich wiele i wiem, jak wyglądają przesłuchania. Najczęściej jest dwóch policjantów. Jeden jest ten zły i chce przestraszyć świadka, a drugi dobry i udaje, że chce mu pomóc, a naprawdę tak nie jest, bo oni umawiają się i ustalają plan przesłuchania. Robią to po to, żeby świadek wyznał im wszystko, co wie. Do tego przesłuchania odbywają się w brzydkich miejscach, ciemnych, małych, obdrapanych pokojach, po to, by świadek chciał stamtąd jak najszybciej wyjść i przestraszony od razu zdecydował się wyznać wszystko, co wie.

Strasznie się bałam, kiedy wchodziłam na moje przesłuchanie. Najbardziej bałam się tego, że wydam ducha, który był w moim plecaku, a przecież obiecałam mu, że nikomu nie powiem o jego istnieniu. Nie miałam pojęcia, co by się stało, gdyby policjanci dowiedzieli się o istnieniu ducha. Gdyby był zwierzakiem, to pewnie trafiłby do zoo, ale nie był. Zapewne zainteresowałiby się nim naukowcy i nie wiadomo, co by z nim robili, ale jedno było pewne, że nie moglibyśmy się już z nim spotykać.

Weszłam do pokoju przesłuchań, gdzie zamiast ciemnego pomieszczenia przypominającego norę zobaczyłam miłe jasne wnętrze. Posadzono mnie przy biurku, za którym siedziała młoda i ładna pani policjant. Obok mnie na krześle siedziała druga pani. Dowiedziałam się, że to pani psycholog. Pani policjant spytała, jak się nazywam, a ja powiedziałam, że Helena Boner. Wtedy pani spytała, czy jestem córką adwokata o takim samym nazwisku i gdy potwierdziłam, bardzo się ucieszyła i powiedziała, że miło jej jest mnie poznać, bo ona świetnie zna z pracy mojego tatę. Potem pytała, gdzie jest mój tata, a ja

powiedziałam, że pojechał na wieś do swojego przyjaciela, a ja zostałam pod opieką braci. Pani policjant bardzo się zmartwiła tą wiadomością i wyjaśniła mi, że dzieci powinny być przesłuchiwane w obecności rodziców i musi zadzwonić po tatę. Ja wtedy zmartwiłam się jeszcze bardziej niż ona, bo uświadomiłam sobie, że jak tata dowie się o tym, co się stało i tu przyjedzie, to zada nam wiele trudnych pytań, zapewne jeszcze trudniejszych od tych, które zamierzała zadać pani policjant, a po przesłuchaniu zabierze nas do domu i nic nie wyjdzie z naszej wyprawy na ulicę Woziwody.

Nie miałam jednak wyjścia i musiałam podać numer telefonu do taty. Na szczęście tata nie odbierał i wtedy pani policjant zaczęła się razem z panią psycholog zastanawiać, co robić. W końcu ustaliły, że przesłuchanie odłożą na następny dzień, jak uda im się zawiadomić tatę. Odetchnęłam z ulgą. Niestety moja radość trwała krótko, bo pani zdecydowała, że zanim zwolni mnie do domu, odbędzie ze mną rozmowę, która nie będzie przesłuchaniem, ale pozwoli ustalić policji, co się wydarzyło w biurze pana Rybki. No i wtedy się zaczęło.

– Kim jest mężczyzna, u którego w biurze byliście?

– To pan Rybka, klient mojego taty – wyjaśniłam zgodnie z prawdą.

– Czego od was chciał?

– Żebyśmy mu powiedzieli, gdzie tata ukrył ukradzione klejnoty królowej brytyjskiej. My oczywiście nie mogliśmy mu tego powiedzieć, bo tata niczego nie ukradł i nie ma żadnych klejnotów. On wtedy zaczął nam grozić i powiedział, że zmusi tatę, żeby mu powiedział.

– Czy coś wam zrobił? – spytała zaniepokojona policjantka.

– Nie zdążył. Groził, że nam poobcina palce i wtedy mój brat Tadzio uderzył go drewnianym kołkiem. On chciał go złapać, ale wtedy Staś go

przewrócił, a Tadzio przytrzasnął go regałem i zanim on się zdążył podnieść, do biura wpadli policjanci i nas uratowali.

– A dlaczego on podejrzewał, że wasz tata może mieć ukradzione klejnoty?

Musiałam być bardzo uważna, żeby nie skłamać, ale nie powiedzieć też za dużo. Pamiętałam, że muszę chronić ducha. Na szczęście pani policjant nie spytała o to, co my wiedzieliśmy, tylko o to, co wiedział pan Rybka. To było łatwe, bo jego wiedza pochodziła jedynie z podsłuchanej rozmowy pomiędzy Edwardem Lepką Rączką a Mieczysławem Chciwym. Mogłam jej zatem opowiedzieć, że pan Rybka podsłuchał rozmowę dwóch przestępców, którzy brali udział w napadzie i od nich dowiedział się, że ich wspólnik poszedł do biurowca, w którym była kancelaria taty. Pan Rybka z tej rozmowy wywnioskował, co, jak podkreśliłam, było zupełnie nieuzasadnione, że nasz tata wiedział, gdzie Radzio Szprycha ukrył klejnoty i chciał zmusić tatę, żeby mu to powiedział.

Panią policjant ta informacja bardzo zainteresowała i spytała mnie, gdzie ta podsłuchana rozmowa się odbyła. Nie miałam żadnego powodu, by to ukrywać, więc podałam jej nazwę i adres baru Rozwałka. Na policjantce ta wiadomość zrobiła piorunujące wrażenie. Natychmiast podniosła słuchawkę i przekazała ją komuś, kogo nazywała panem pułkownikiem. Z tego, co usłyszałam, zrozumiałam, że pan pułkownik natychmiast wyśle do baru Rozwałka siły specjalne policji, żeby zatrzymali Edwarda Lepką Rączkę i Mieczysława Chciwego. To była bardzo dobra wiadomość. Już nie będą mogli włamać się do naszego domu. Pani policjant tak była podekscytowana tym, czego się ode mnie dowiedziała, że pomyślałam, że to będzie koniec przesłuchania, a ona zajmie się ważniejszymi rzeczami. Niestety.

– A jak to się stało, że znaleźliście się w magazynie pana Rybki? – spytała.

Od razu usłyszałam, jak w mojej głowie wyje syrena alarmowa. Nie mogłam powiedzieć, że to my zleciliśmy panu Rybce podsłuchanie mężczyzn. Co zrobić, żeby odpowiedzieć prawdę i żeby nie powiedzieć za dużo? Pani nauczycielka na języku polskim uczyła nas, że każda historia musi mieć swoje wprowadzenie. Pomyślałam, że też muszę takie zrobić, po czym opowiedziałam, jak poznaliśmy pana Rybkę jako klienta taty, i jak został uniewinniony, że był bardzo miły i zrobił na mnie jak najlepsze wrażenie.

– Ale dlaczego spotkaliście się z nim w jego biurze? – dopytywała się policjantka.

Teraz przyszedł czas na rozwinięcie. Powiedziałam, że pan Rybka zadzwonił, mówiąc, że ma dla nas bardzo ważne informacje. Wtedy taty nie było w domu. Ufaliśmy mu i dlatego zdecydowaliśmy się z nim spotkać. Pojechaliśmy na spotkanie, a on kazał nam powiedzieć, gdzie tata ukrył klejnoty i zaczął nam grozić.



No i popatrzcie, jak mi się udało wybrnąć z kłopotu. Ani razu nie skłamałam. Nie wspomniałam tylko, że to my zleciliśmy mu pójść do baru, bo nikt mnie o to nie pytał.

– Powiedzieliście mu, gdzie są klejnoty?

– Nie.

– A wiecie, gdzie one są?

Wiedziałam, że muszę odpowiedzieć szybko, żeby nie wzbudzić podejrzeń policjantki.

– Nie – odparłam. – Nie wiemy i tata też nie wie, bo gdyby wiedział, od razu by powiedział o tym policji.

– No dobrze. – Policjantka się uśmiechnęła. – Widzę, że to już wszystko, co wiesz, ale nie martw się, i tak bardzo nam pomogłaś. Możliwe, że dzięki tobie zatrzymamy dwóch bardzo groźnych przestępców. Będziesz nas musiała odwiedzić jeszcze raz z tatą, jak

przyjedzie, a na razie dziękuję ci za pomoc. To wszystko, poczekaj na braci i możecie wracać do domu.

Pożegnałam się i wyszłam z pokoju. Pewnie się dziwicie, że dałam sobie tak dobrze radę i zastanawiacie się, skąd wiem tyle o przesłuchaniach. Przypomnę wam, jestem córką adwokata, a adwokaci żyją z tego, że potrafią przesłuchiwać świadków. Mój tata często mówi o pracy, a ja go lubię słuchać i dużo się od niego nauczyłam. Kiedyś słuchałam, jak rozmawia przez telefon i instruuje swojego klienta, jak przetrwać przesłuchanie. Wszystkie te rady zapamiętałam.

– Pamiętaj, nie możesz kłamać – instruował wtedy tata klienta. – Pamiętaj, że za składanie fałszywych zeznań możesz trafić do więzienia. Jednak pamiętaj, że pomiędzy kłamstwem a niewypaplaniem wszystkiego jest olbrzymia różnica. Obowiązkiem świadka jest odpowiadanie na pytania, zatem najpierw wysłuchaj uważnie pytania, potem pomyśl, a dopiero na końcu odpowiedz na nie. W ten sposób nie naopowiadasz bzdur, których będziesz żałował.

Skorzystałam z rad taty, powiedziałam prawdę, ocalałam tajemnicę ducha i po przesłuchaniu nie żałowałam żadnego słowa. Usiadłam na korytarzu i czekałam na braci. Po chwili zjawił się Tadzik, a dziesięć minut później Staś. Im też poszło dobrze. Nie mieliśmy czasu, by szczegółowo opowiadać sobie, jak było na przesłuchaniach, bo każda minuta była cenna. Opuściliśmy komisariat i pojechaliśmy na ulicę Woziwody.



Rozdział XX

TAJEMNICZA MELINA

W drodze na przystanek autobusowy odezwał się mój telefon. Pomyślałam, że to któreś z rodziców. Odsłuchali wiadomość pozostawioną na sekretarce przez policjantów, że mają się z nimi skontaktować, i dzwonią do mnie dowiedzieć się, co się stało. Ale to był Tytus.

– Cześć, co się z tobą dzieje, dlaczego się nie odzywasz? – odezwał się z pretensją w głosie.

Miał rację. Przez ostatnie zdarzenia rzeczywiście zapomniałam nawet do niego zadzwonić. Przeprosiłam go i zaproponowałam, żebyśmy się spotkali na Woziwody. Gdy przybyliśmy na miejsce, Tytus, który mieszkał w pobliżu, już na nas czekał.

Dom pod numerem 4 był jednopiętrowym bliźniakiem w kolorze piaskowym. Stanęliśmy w pewnym oddaleniu, żeby nie rzucać się w oczy, i dopiero teraz uświadomiliśmy sobie, że nie mamy planu, w jaki sposób odebrać Radziowi Szprysze klejnoty. Nie wiedzieliśmy nawet, czy pod tym adresem on się naprawdę ukrywa, a jeśli tak, to czy jest w domu. Powinniśmy zacząć od ustalenia tego ostatniego. Zdecydowaliśmy, że pójdę ja z Tytusem, bo jesteśmy najmłodszy i Radzio Szprycha, który ukrywa się przed policją, nie będzie miał powodu, żeby spłoszyć się na widok dzieci. Pozostało wymyślenie powodu, dla którego go odwiedzamy.

Przyszło nam do głowy, że bardzo często mieszkańcy jakiegoś miejsca chcą przekonać do różnych projektów współmieszkańców i wtedy chodzą po domach i zbierają ich podpisy. My też moglibyśmy to robić. Tytus przypomniał sobie, że u nich w domu był pan z projektem budowy schroniska dla bezdomnych zwierząt. Taką ideę wszyscy popieraliśmy, a zatem mogliśmy w tej sprawie odwiedzić Radzia Szprychę. Musieliśmy się tylko uwiarygodnić i w pobliskim kiosku kupiliśmy kilka dużych kartek. Napisaliśmy na jednej z nich cel, na który zbieramy podpisy, i kilka wymyślonych nazwisk, żeby nie wzbudzić podejrzeń Radzia Szprychy.

Wyposażeni w tak przygotowane dokumenty podeszliśmy do furtki i nacisnęliśmy dzwonek. Niestety nikt nie otworzył drzwi. Zadzwoniliśmy jeszcze kilkakrotnie i, nie doczekawszy się żadnej reakcji, wróciliśmy do Stasia i Tadzia. Musieliśmy zdecydować co dalej i rozważaliśmy kilka wariantów. Radzio Szprycha mógł się tutaj nigdy nie ukrywać, równie prawdopodobne było, że Radzio Szprycha ukrywał się tutaj przez jakiś czas, po czym zmienił kryjówkę. Mógł też mieszkać

pod tym adresem dalej, ale teraz nie było go w domu. Albo nikomu nie otwierał drzwi.

Gdybyśmy mieli pewność, że klejnoty są w domu, a nie ma tam Radzia Szprychy, moglibyśmy próbować znaleźć sposób, żeby dostać się do środka. A jeśli on tam jest? Zapewne nie zechciałby dobrowolnie oddać nam skarbu, a w telewizji ostrzegano, że mężczyzna, który ukradł klejnoty królowej brytyjskiej, jest uzbrojony.

Zaczęliśmy myśleć i wymyśliśmy. Potrzebowaliśmy tylko paru akcesoriów, które nabyliśmy w pobliskim sklepie. Dzięki połączeniu kilku listew udało nam się zbudować długą żerdź, do której przyczepiliśmy lusterko. Żeby sprawdzić, czy ktoś jest w domu, najlepiej zajrzeć przez okno. Jeśli ktoś mieszka na piętrze, nie będzie się obawiał, że zostanie zobaczony, bo nikt z ulicy nie będzie w stanie tam zajrzeć. Ale mieliśmy przecież ducha.

Przemknęliśmy się pod ścianę domu, umieściliśmy ducha w lusterku i unieśliśmy. Umówiliśmy się z duchem, że przeskoczy on na szybę w samym rogu okna, żeby Radzio Szprycha niczego nie zauważył. Damy mu pięć minut, by rozeznał się w sytuacji, po czym odbierzemy go w tym samym miejscu.

Gdy duch był z powrotem na dole, wróciliśmy w bezpieczne miejsce za drzewem.

- Widziałem go - opowiadał podekscytowany duch. - Siedział w fotelu w rogu pokoju i oglądał telewizję. Od razu go poznałem. To ten sam facet, którego widziałem w windzie.



- A widziałeś klejnoty? - zapytałam.

- Niestety nie.

- Musimy go stamtąd wykurzyć - zaproponowałam. - Trzeba go tak przestraszyć, żeby wybiegł z tego domu na łeb, na szyję.

- Tylko jak to zamierzasz zrobić? - spytał Tadzik. - Myślisz, że łatwo go będzie tak nastraszyć, żeby porzucił wszystko i uciekał jak szalony?

Opowiedziałam chłopcom o moim pomysśle, a gdy skończyłam, wszyscy trzej patrzyli na mnie z uznaniem.

- Dobrze - ocenił Staś. - I na dodatek zero ryzyka. Uważam jednak, że nawet jeśli będzie bardzo przestraszony, to zachowa tyle instynktu, że nie będzie chciał porzucić klejnotów i zabierze je ze sobą. Co wtedy?

Na to pytanie też byłam przygotowana, a chłopcy zaakceptowali mój projekt. Teraz pozostała tylko jego realizacja. Wymagało to kolejnych przygotowań i kolejnej wizyty w sklepie. Po godzinie byliśmy gotowi.

Niepostrzeżenie ponownie podeszliśmy pod ścianę budynku. Mieliśmy ze sobą duże lustro, które umieściliśmy na dwóch żerdziach. Tym razem jednak nasza akcja nie miała przebiegać po kryjomu, chcieliśmy, żeby Szprycha zobaczył ducha. Oczywiście nie ducha jako ducha, tylko ducha w odpowiedniej postaci. Zastanawiacie się, czyją postać miał tym razem przybrać Leon? Pomyślcie, kogo w tej chwili najbardziej na świecie bał się Radzio Szprycha? Zapewne powiecie, że policji. Ja też tak przez chwilę myślałam, bo policja chce mu odebrać łup i go aresztować.

Ale był ktoś jeszcze, kto mógł mieć wobec Radzia Szprychy znacznie gorsze zamiary. Oczywiście Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy, których Radzio Szprycha oszukał, a którzy żądni zemsty byli gotowi na wszystko, żeby odzyskać łup. Ustaliliśmy z duchem, że to ich postacie przybierze.

Unosząc lustro na żerdziach, zaczęliśmy jednocześnie walić patykami w metalową rynnę, by mieć pewność, że Radzio Szprycha usłyszy zbliżające się niebezpieczeństwo. Co dalej działo się na górze, dowiedzieliśmy się z opowieści ducha.

Gdy lustro znalazło się na wysokości okna, Leon ukazał się w postaci dwóch współników Radzia uzbrojonych w rewolwery. Gdy dostrzegł Radzia siedzącego w fotelu, wykrzyknął:

– Mamy cię, łobuzie! Zapłacisz za wszystko!

Na widok mężczyzn wdzierających się przez okno Radzio zerwał się z fotela i jak szalony zbiegł po schodach. Widząc jego ucieczkę, duch wydał z siebie kilka odgłosów imitujących strzały, żeby go jeszcze bardziej przestraszyć.

Mężczyzna dobiegł do drzwi wejściowych, otworzył je i zobaczywszy, że nikt nie odcina mu drogi ucieczki, zaczął zbiegać ze schodków werandy. W pędzie przeskoczył kilka schodów, po czym nagle jego ciało wystrzeliło do przodu. Stracił równowagę, zamachał rękoma jak ptak, który próbuje wzbić się do lotu, co mu się nie udało, po czym poleciał do przodu i grzmotnął o ziemię.

Ukryci przy ścianie budynku czekaliśmy na ten moment i gdy nastąpił, chłopcy podbiegli do leżącego nieruchomo na ziemi Radzia Szprychy. Zastanawiacie się, co za szczęśliwy przypadek spowodował, że mężczyzna się potknął. Otóż nie było w tym żadnego przypadku, po prostu nasz plan jak na razie powiódł się w stu procentach. Zakładaliśmy, że Radzio Szprycha wybierze ucieczkę przez drzwi wejściowe.



Przywiązaliśmy więc do poręczy przy schodach sznurek. Biegąc, Radzio nie zauważył go, zaczepił nogami i tracąc równowagę, wyrznął jak długi przed siebie. Na ten moment właśnie czekaliśmy. Z przygotowanymi taśmami przyklepnymi chłopcy podbiegli do Radzia i zaczęli wiązać mu ręce i nogi. Był tak oszołomiony po wypadku, że nawet nie próbował się bronić. Gdy udało nam się go całkowicie unieruchomić, mogliśmy bezpiecznie odebrać mu klejnoty i wezwać policję. Przeszukaliśmy go i okazało się, że nie ma przy sobie biżuterii.

Tego nie przewidzieliśmy. Jedynym wytłumaczeniem takiej sytuacji było, że tak się przestraszył perspektywą spotkania z byłymi współnikami, że nie zdążył ich zabrać i klejnoty są w domu.

– Staś z Tytusem, biegnijcie przeszukać dom! – zdecydował Tadzik. – A my z Bezimienną go popilnujemy.

Zostaliśmy sami z leżącym na ziemi związanym mężczyzną, który zaczynał się ruszać, odzyskując powoli świadomość. Otworzył oczy i straszliwie zaklął, zorientowawszy się, że jest związany. Zaczął się szarpać, próbując zerwać krepujące go taśmy.

– Długo go nie utrzymamy. Bezimienna, dzwoń na policję – rozkazał Tadzik.

Wyjęłam telefon i chciałam wybrać numer, gdy sytuacja uległa nieoczekiwanej zmianie. Przed wejściem do domu zatrzymała się para w średnim wieku.

– Co tu się dzieje? – spytał mężczyzna groźnym głosem.

Zaskoczeni zastanawialiśmy się, jak możemy wytłumaczyć tę sytuację. Nasze niezdecydowanie wykorzystał Radzio Szprycha, który zawołał:

– Pomocy, zostałem napadnięty!

– To nieprawda, nikogo nie napadliśmy – protestował Tadzio. – Ten pan to groźny bandyta, a my go zatrzymaliśmy i chcemy go oddać w ręce policji.

– Oni kłamią – przekonywał Radzio Szprycha. – Oni chcieli mnie okraść, widzieliście, jak przeszukiwali mi kieszenie?



Na nasze nieszczęście okazało się, że oni rzeczywiście widzieli, jak rewidowaliśmy Radzia, próbując odnaleźć klejnoty.

– Zaraz pana uwolnimy – zadeklarował mężczyzna, odwijając taśmę z nóg Radzia. Gdy tylko ją usunął, Radzio zerwał się na równe nogi i co sił w nogach zaczął uciekać.

– Proszę pana, proszę poczekać, trzeba wezwać policję! – krzyczał za nim mężczyzna. Jednak Radzio, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, zwiewał, gdzie pieprz rośnie, przekonany, że za chwilę pojawią się jego dawni wspólnicy.

Musieliśmy z Tadzkiem podjąć decyzję, co mamy robić. Perspektywa pozostania z mężczyzną, który uwolnił najbardziej poszukiwanego zbiega w kraju, specjalnie nas nie pociągała. Było jasne, że on zaraz wezwie policję i będziemy musieli odpowiadać na wiele niewygodnych pytań.

– Bezimienna, zwiewamy. – Tadzik złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą.

Zasapani zatrzymaliśmy się dopiero po przebiegnięciu sporego kawałka. Na szczęście nikt nas nie gonił. Dopiero gdy uspokoiliśmy oddechy, uświadomiliśmy sobie, że w domu zostali Staś z Tytusem. Musieliśmy ich ostrzec. Zadzwoiłam do Stasia i powiedziałam, żeby zwiewali stamtąd, zanim przyjedzie policja. Wskazałam Stasiowi miejsce, w którym mieliśmy się spotkać, jeśli uda im się wydostać.

Dotarli do nas po kilku minutach. Niestety z pustymi rękoma.

– Niczego tam nie było. Dom był prawie pusty. Łóżko, fotel, telewizor. Przetrzęsaliśmy wszystko i ani śladu po klejnotach. Nie znaleźliśmy też żadnej wskazówki, gdzie on mógł je ukryć.

W tym momencie poczuliśmy ogarniające nas zniechęcenie. Tyle pracy, a wszystko na marne. Postanowiliśmy jednak jeszcze raz

przeanalizować całą sytuację, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyliśmy.

Klejnoty powinny być ukryte w kancelarii taty, to było najlogiczniejsze. Jednak, mimo że wszyscy zainteresowani tam ich szukali, nikt ich nie znalazł. Wersję, że Radzio Szprycha ma je ze sobą, dziś wyeliminowaliśmy. Pozostawała jedna możliwość, że on ukrył klejnoty w innym miejscu. Jeśli tak było, to nie mieliśmy szansy ich odnaleźć, bo Radzio Szprycha zwiął. Musieliśmy pogodzić się z faktem, że nagroda za odnalezienie skarbu nie jest nam przeznaczona.

– Najciemniej jest zawsze pod latarnią – odezwał się nieoczekiwanie Staś.

– Co przez to rozumiesz? – spytałam.

– To takie przysłowie. Pewne rzeczy najtrudniej odnaleźć, bo są w tak oczywistym miejscu, że nikomu nie przychodzi do głowy, że mogą być tam schowane. Wszyscy uważają, że klejnoty powinny być w kancelarii, wszyscy tam szukają i nie mogą znaleźć. Może dlatego, że szukają specjalnej skrytki, a one są w jakimś zwykłym miejscu, które jednak nie przychodzi nikomu do głowy. Pojedźmy tam jeszcze raz sprawdzić.

Propozycja Stasia brzmiała mało przekonująco, ale nie mieliśmy już nic do stracenia ani też nic innego do roboty.



Rozdział XXI

POJEDYNEK REWOLWEROWCÓW

Wchodząc do biurowca, obawialiśmy się kolejnego zatargu z portierem. Na szczęście recepcja była pusta. Wykorzystując to, szybko

weszliśmy do windy.

– Ach, jakie spokojne miałem tu życie – odezwał się duch na widok starych śmieci.

– Chciałbyś tu wrócić? – spytałam z niedowierzaniem.

– Ależ nie – zaprotestował Leon. – Tylko z wami życie nabrało takiego tempa, że czasem tęsknię za momentami spokoju.

Po wyjściu z windy usłyszeliśmy bardzo dziwne odgłosy dochodzące z biura taty, przypominające trochę pomrukiwanie niedźwiedzia. Otworzyliśmy drzwi i zobaczyliśmy panią Basię siedzącą na skórzanym obrotowym fotelu. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że była ona przywiązana do fotela. Miała zaklejone taśmą usta i to ona, wzywając pomocy, wydawała te odgłosy. Podbiegliśmy do pani Basi i odwiązaliśmy ją.

– Co się pani stało?

– Bandyta... napadł mnie... – Pani Basia wyrzucała z siebie chaotyczne słowa. Dopiero gdy się nieco uspokoiła, udało nam się z nią porozmawiać.



Tego dnia była sama w biurze. Nie spodziewała się żadnych wizyt i była zajęta przepisywaniem tekstów z dyktafonu. Miała słuchawki na uszach i nie usłyszała, że ktoś wszedł do biura. Zorientowała się, dopiero gdy nieproszony gość podszedł do niej i przyłożył jej nóż do gardła. Widziała twarz tego człowieka, ale nie mogła jej rozpoznać, bo napastnik miał pończochę na głowie. Poprosiliśmy, żeby go opisała. Rysopis, który podała, odpowiadał wyglądowni Radzia Szprychy.

Zaczęłam się zastanawiać, po co zaraz po ucieczce z ulicy Woziwody Radzio Szprycha włamał się do biura ojca. Do głowy przychodziło mi tylko jedno rozwiązanie. Radzio zdecydował, że ucieknie z kraju, więc chciał zabrać ze sobą klejnoty i przyszedł po nie. W takiej sytuacji istotne było jedno, czy udało mu się je odnaleźć i czy zabrał je ze sobą. Nie chcąc jednak zadawać pani Basi takiego pytania wprost, postanowiłam, że najpierw powinniśmy wysłuchać jej do końca.

– Związał mnie – kontynuowała opowieść. – I wbiegł do gabinetu waszego taty, czegoś tam szukał. Trwało to bardzo długo, słyszałam hałasy rozrzuconych przedmiotów. W końcu wyszedł stamtąd cały czerwony na twarzy. Był naprawdę wściekły. Pytał, gdzie są klejnoty, a kiedy powiedziałam, że nie wiem, o co mu chodzi, przystawił mi nóż do szyi i powtórzył pytanie. Powiedziałam znów, że nic nie wiem o żadnych klejnotach. I że jeśli w biurze byłoby coś podejrzanego, to na pewno zabrała to policja, która przeszukiwała kancelarię. Informacja, że mieliśmy w biurze przeszukanie, jeszcze bardziej go rozwścieczyła. Zaczął wykrzykiwać, że jeśli policja nie znalazła kosztowności, to mecenas musiał je ukraść. Krzyczał, że miał go za uczciwego adwokata, a trafił na złodzieja, który go okradł. Miał

na myśli waszego ojca. W końcu wściekły powiedział, że on się nie da robić w konia i odzyska to, co jego, po czym wybiegł z kancelarii.

Z tego, co opowiadała pani Basia, jasno wynikało, że Radzio Szprycha nie odnalazł klejnotów. Weszliśmy do gabinetu taty. Był w nim straszny bałagan: poprzestawiane meble, powyrzucane szuflady z biurka i szafy. Na podłodze sterty papierów i różnych przedmiotów. Radzio Szprycha przetrząsnął cały gabinet.

Pani Basia zadzwoniła po policję, a my rozglądaliśmy się po biurze, szukając jakiejś wskazówki. Szybko uświadomiliśmy sobie jednak, że to nie ma sensu. Przecież Radzio Szprycha doskonale wiedział, gdzie schował klejnoty. Ten bałagan świadczył o tym, że ich tam nie znalazł i w desperacji przeszukiwał cały pokój. Klejnoty zatem ktoś musiał stąd zabrać. Tylko kto?

Pani Basi udało się dodzwonić na policję, a my uznaliśmy, że powinniśmy zbierać się stąd jak najszybciej. Każde spotkanie z policjantami narażało nas na trudne pytania, których woleliśmy uniknąć.

Wróciliśmy do domu. Wszyscy byliśmy w fatalnych humorach i całkowicie zrezygnowani. Nic nam nie wyszło. Nie udało nam się odnaleźć skarbu ani oczyścić taty z podejrzeń, ani nawet złapać Radzia Szprychy. Nie mieliśmy też żadnych pomysłów, co robić dalej.

Siedzieliśmy w salonie, próbując odnaleźć jakiś szczegół, który w tej sprawie przegapiliśmy, ale szło nam to wyjątkowo niemrawo. Wyjęliśmy też ducha z torebki i żeby mógł rozprostować kości, umieściliśmy go w centralnym miejscu w lustrze nad sekretarzykiem. Rozmowę przerwał nam dzwonek do drzwi.

To pewnie rodzice wrócili, pomyślałam, odsłuchali wiadomość z policji i przyjechali do Warszawy. Tylko dlaczego dzwonili? Pewnie

mama znowu nie mogła znaleźć kluczy, które gdzieś jej się zawieruszyły w torebce. Mam zwyczaj, że zawsze przed otwarciem drzwi patrzę przez wizjer, tym razem jednak, spodziewając się rodziców, zapomniałam o tym. Gdy tylko otworzyłam zasuwę, poczułam pchnięcie i poleciałam do tyłu, uderzając plecami o ścianę korytarza. W drzwiach zobaczyłam Radzia Szprychę z pistoletem w ręku. Najgorsze było to, że on tym pistoletem wycelował we mnie. Jednocześnie sprawnym ruchem zamknął drzwi na zasuwę.



Podbiegł i złapał mnie ramieniem za szyję.

– Kto jeszcze jest w domu? – spytał.

Byłam tak przerażona, że nie mogłam mu odpowiedzieć. Próbowałam mówić, ale głos nie wydobywał mi się z gardła.

Słyszając odgłosy dochodzące z salonu, Radzio pociągnął mnie w tamtym kierunku. Przed drzwiami natknęliśmy się na chłopców, którzy zaniepokojeni hałasem wyszli zobaczyć, co się stało.

– To wyście dziś na mnie napadli – zidentyfikował ich Radzio. – Pożalujecie tego. Wchodzić do środka. – Wskazał lufą pistoletu drzwi salonu.

Chłopcy cofnęli się do pokoju. Radzio, prowadząc mnie przed sobą, wszedł za nimi.

– Gdzie są klejnoty? – spytał, przechodząc od razu do rzeczy.

– Nie mamy pojęcia – Tadzik zdecydował się odpowiedzieć w naszym imieniu.

– Nie okłamuj mnie, bo zastrzelę twoją siostrę – zagroził mężczyzna.

– Naprawdę nie wiemy – przekonywał Tadzik.

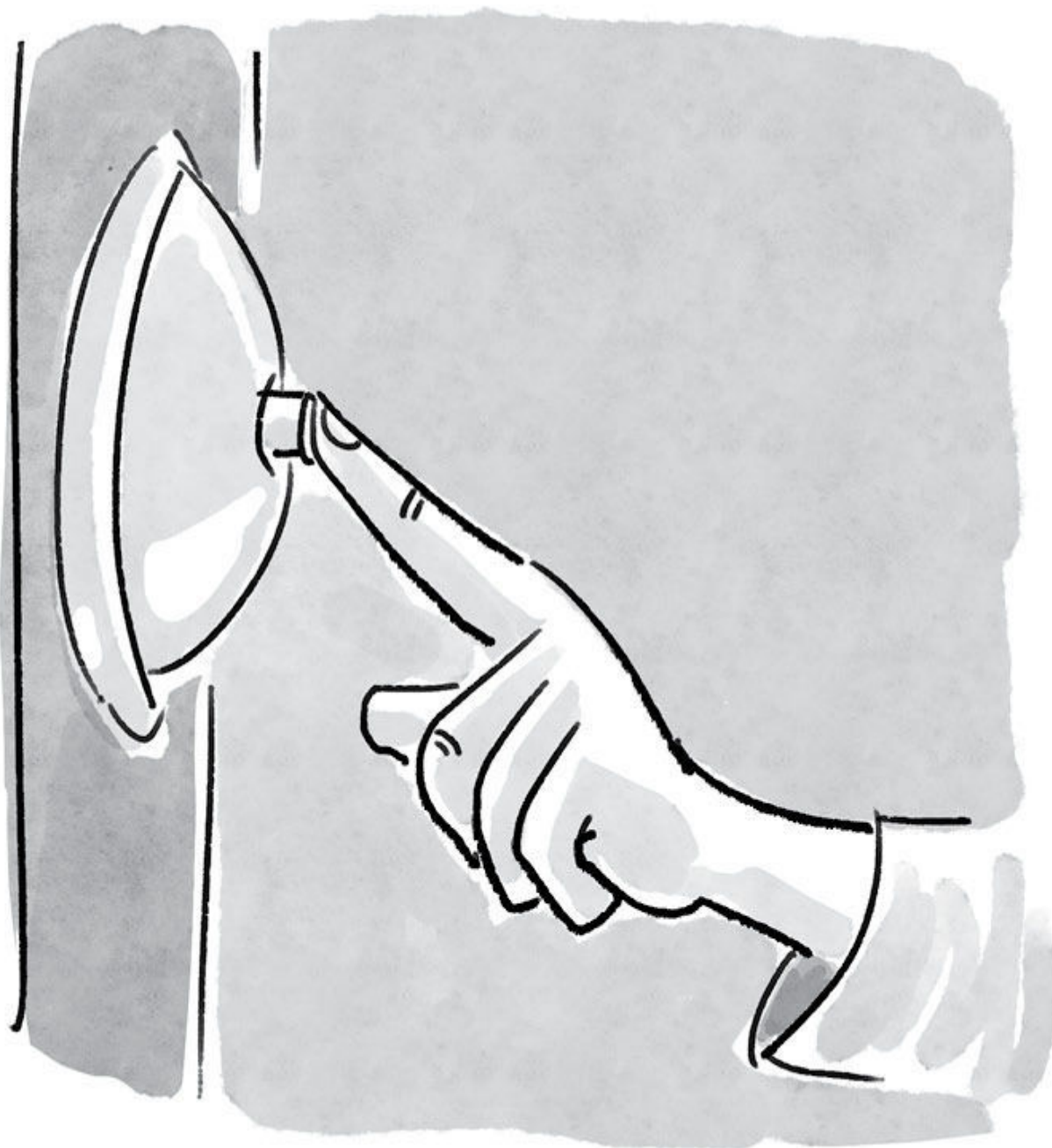
– Wiem, że mecenas mi je ukradł. Musiał wam powiedzieć, gdzie je ukrył. Gdzie jest mecenas?

– Tata pojechał do przyjaciela na wieś, wróci za parę dni – włączył się do rozmowy Staś. Zrozumiałam, że w ten sposób chce uratować tatę, przekonując Radzia, że nie warto czekać.

– Nie oszukuj mnie – zagroził Radzio. – Rodzice nie zostawiliby was samych na tyle czasu. Prędzej czy później się tu zjawią. A ja w tym czasie poszukam klejnotów. Módlcie się, żeby się znalazły, bo inaczej z wami wszystkimi będzie krucho – zagroził. – Idziemy do gabinetu mecenasa.

Kazał chłopcom iść przodem i, prowadząc mnie przed sobą, ruszył za nimi. W gabinecie, wyciągając po kolei każdą z szuflad, wyrzucał ich zawartość na ziemię. Klejnotów nie było, za to w jednej z szuflad znalazł plik banknotów, które tata trzymał w domu na wszelki wypadek. Bez zastanowienia wsunął pieniądze do kieszeni. Przeszedł

do półek z książkami i zaczął je wyrzucać na ziemię. Czekala go ciężka praca. Nasi rodzice uwielbiają czytać i mają w swojej kolekcji kilka tysięcy książek. Obserwowaliśmy Radzia, świadomi, że niczego nie znajdzie. On zaś coraz bardziej niezadowolony, miotając pod nosem przekleństwa, zwał na podłogę kolejne rzędy książek.



Nie doszedł nawet do połowy, gdy jego pracę przerwał dzwonek do drzwi. Na ten odgłos zmartwieliśmy z przerażenia, zdając sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo grozi rodzicom, a Radziowi od razu polepszył się nastrój.

– No i nasza zguba się znalazła, chodźmy przywitać mecenasa. No, szybciej, ruszajcie! – krzyknął na chłopców, widząc, że się ociągają.

Całym konwojem ruszyliśmy na górę. Nadal trzymana przez niego zastanawiałam się, w jaki sposób ostrzec rodziców, żeby uciekali. Musieliśmy to zrobić przed otwarciem drzwi, bo potem już będzie za późno. Oczywiście najprostszym rozwiązaniem byłoby zacząć krzyczeć. Tylko czy rodzice posłuchają, jeśli usłyszą mnie krzyzącą? Raczej będą chcieli dowiedzieć się, co się stało i mi pomóc, a nie uciekać.

Gdy weszliśmy do holu, nabrałam dużo powietrza w płuca. Radzio Szprycha musiał jednak przejrzeć moje zamiary, bo przyłożył mi pistolet do głowy i ostrzegł, że jeśli ktoś z nas choć głośniejsz odetchnie, to natychmiast mnie zastrzeli. Po tonie jego głosu zdałam sobie sprawę, że nie żartuje.

– Otwórz drzwi. – Radzio wskazał na Stasia.

Brat podszedł do drzwi, otworzył zasuwę, i nim nacisnął klamkę, drzwi gwałtownie się otworzyły, a Staś pchnięty nimi poleciał do tyłu i przewrócił się na ziemię. Za nim do przedpokoju wpadły dwie postacie, w których rozpoznałam Edwarda Lepką Rączkę i Mieczysława Chciwego. Obaj w dłoniach trzymali pistolety. Zaczęłam się zastanawiać, skąd oni się tu wzięli. Przecież powiedzieliśmy policjantom, gdzie ich szukać, a oni pojechali ich zatrzymać. Musieli zatem wyjść z baru, zanim dotarli tam policjanci.

Sytuacja w holu wyglądała na patową, bo Radzio Szprycha mierzył z pistoletu w swoich współników, a jego współnicy mierzyli w niego.

Obie strony były równie zaskoczone. Przedłużająca się cisza stawała się powoli nie do zniesienia. Jako gospodyni uznałam, że powinnam ją przerwać.

– Może panowie wejdą do środka? – zaproponowałam. – Nie będziemy przecież tak stali w holu.

– Dziękujemy, panienko, jak tylko nafaszerujemy tego szczura ołowiem – odezwał się Mieczysław Chciwy.

– Zamknij się, bo nie dożyjesz następnej sekundy – odwarknął Radzio Szprycha.

Obserwowałam, jak obrzucają się nienawistnymi spojrzeniami. Zdawałam sobie sprawę, że z tego nie wyniknie nic dobrego i oni mogą zaraz do siebie zacząć strzelać. Pomyślałam, że w takiej sytuacji najlepiej by było, gdyby się pogodzili, przestraszona jednak nie śmiałam im zaproponować takiego rozwiązania. W końcu po przedłużającej się ciszy Edward Lepka Rączka postanowił podjąć negocjacje.

– Gdzie są klejnoty? – spytał. – Jeżeli nam je oddasz, obiecuję, że cię nie zastrzelimy.

– Nie mam ich – odparł Radzio Szprycha, świadom, że jego przeciwnicy mają przewagę broni i bezpieczniej dla niego będzie negocjować, niż strzelać. – Ukryłem je w biurze mecenasa, ale jak po nie wróciłem, już ich tam nie było. Musiał je ukraść, dlatego przyszedłem je odebrać. Możemy się pogodzić i wrócić do naszej spółki – zaproponował. – Lepiej być żywym z częścią łupu niż martwym z całym.

Mężczyźni zastanawiali się nad jego propozycją, gdy niespodziewanie drzwi wejściowe się otworzyły i pojawili się w nich rodzice.



– Kochani, już jesteśmy – oznajmiła mama, po czym zamarła, widząc skierowane w nią lufy pistoletów.

– Odnalazł się nasz zaginiony mecenasik – ucieszył się Mieczysław Chciwy. – Zapraszamy do środka.

W korytarzu zrobiło się strasznie ciasno, więc faktycznie przemieściliśmy się do salonu. Mama chciała się dowiedzieć, czy nam się nic nie stało, ale Chciwy poinformował ją, że zaraz coś stanie się nam wszystkim, jeśli tata natychmiast nie powie, gdzie są klejnoty. Mówiąc to, stał naprzeciwko taty i mierzył do niego z pistoletu. A Lepka Rączka i Szprycha nadal celowali w siebie nawzajem.

– Nie mam żadnych klejnotów – powiedział ojciec stanowczo.

– A to dobre – roześmiał się Radzio. – To niby gdzie one są, jak ich nie ma tam, gdzie je zostawiłem? Tylko ty mogłeś je zabrać.

– Nie mam żadnych klejnotów, niczego nie zabrałem – powtórzył z determinacją tata.

– Oj, widzę, że będziemy musieli pomóc ci sobie przypomnieć.

Mieczysław Chciwy, przekładając pistolet z jednej ręki do drugiej, zdjął marynarkę i powiesił ją na lustrze.

– To co, mecenasiku, przypomniałeś sobie?

Zdawałam sobie sprawę, że jeśli tata nie powie, gdzie są klejnoty, Chciwy będzie próbował go do tego zmusić. Był o głowę wyższy od taty i znacznie grubszy. Pomyślałam, że tata nie ma szans się przed nim obronić.

Mieczysław Chciwy podszedł do taty i uderzył go w brzuch. Tata jęknął i zgiął się w pół. Wiedziałam, że muszę powstrzymać tego bandytę.

– Proszę poczekać, mój tata nie wie nic o klejnotach, bo ja je mam – odezwałam się, nie wierząc sama, że mogłam coś takiego powiedzieć.

Wszyscy zwrócili się w moją stronę.

– Jak odwiedziłam tatę w biurze, znalazłam je. Myślałam, że jest to sztuczna biżuteria i zabrałam je. Gram rolę królowej w przedstawieniu szkolnym – rozkręcałam się. – Chciałam pięknie wyglądać i dlatego wzięłam je bez pytania. Potem dopiero dowiedziałam się, że one są prawdziwe i bałam się je przynieść z powrotem do biura, bo wiem, że szukała ich policja i pomyślałam sobie, że jeśli mnie złapią z nimi, to pomyślą, że to ja je ukradłam.

Patrzyłam na twarze zebranych i widziałam, że ta historia wywarła na nich duże wrażenie, chyba mi uwierzyli.

– Gdzie one są teraz? – spytał Mieczysław Chciwy.

O tym nie pomyślałam. Wiedziałam tylko, że to musi być prawdziwe miejsce, ale takie, do którego teraz nie mogę się dostać.

– W szkole w mojej szafce – odpowiedziałam bez zająknięcia.

– Dobra, pojedę tam z tobą – zdecydował Mieczysław Chciwy. – A mój wspólnik poczeka tu z twoją rodziną. Pamiętaj, że jeśli mnie

oszukiwałaś, już nigdy się z nimi nie zobaczysz.

– Ale pan nie może, to jeszcze dziecko! – protestowała mama, jednak on nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

Z lustra nad komodą zaczęły dochodzić dziwne odgłosy przypominające charkot. Spojrzałam w tamtą stronę i uświadomiłam sobie, że w lustrze jest duch, o którym całkowicie zapomnieliśmy. Na lustrze zawieszona była marynarka Mieczysława Chciwego, pod którą duch się dusił. Rzuciłam się do lustra i ściągnęłam marynarkę. Wtedy Mieczysław Chciwy przekonany, że chcę uciec, strzelił, ale na szczęście chybił.

Ten strzał pociągnął za sobą lawinę zdarzeń. Tata, widząc, że Mieczysław Chciwy celuje we mnie, podbiegł do niego i podbił mu rękę. Mężczyzna strzelił ponownie i kula poszła w sufit. W tym samym momencie Edward Lepka Rączka uznał, że to najlepszy moment, by pozbyć się byłego współnika i strzelił do Radzia Szprychy. Radzio jednak najwyraźniej doszedł do takiego samego wniosku i strzelił do Edwarda. Efekt był taki, że obaj wydali z siebie jęki bólu i upuścili pistolety. Jeden z nich trzymał się za ranione ramię, a drugi za rękę. Wtedy Mieczysław Chciwy odepchnął tatę, który się przewrócił.

Na szczęście w tym momencie duch odzyskał oddech, zorientował się w niebezpieczeństwie i pojawił się na tafli lustra w policyjnym mundurze z pistoletem w dłoni.

– Stój! Policja! Rzuć broń, bo strzelam! – krzyknął ostrzegawczo.

Na widok wycelowanej w siebie broni Mieczysław Chciwy wypuścił pistolet i podniósł ręce do góry. W tym samym momencie Tadzik, wykazując się fantastycznym refleksem, złapał pistolet i odbiegł z nim na drugą stronę pokoju. To jednak nie był koniec zaskakujących

zdarzeń. Usłyszeliśmy odgłos wyważanych drzwi i do pokoju wpadło dwóch uzbrojonych mężczyzn w czarnych mundurach, krzycząc:

– Policja, rzucić broń, na ziemię!

Widząc nadchodzące posiłki, duch zniknął z tafli lustra, a Mieczysław Chciwy, wpatrując się w miejsce po duchu, wyszeptał rozdziawionymi ze zdziwienia ustami:

– Na Boga, co to było?

Wszyscy na polecenie policjantów znaleźliśmy się na podłodze. Stał tylko Mieczysław Chciwy, wpatrując się w lustro. Jeden z policjantów przewrócił go na podłogę, po czym skuł mu ręce za plecami. My zaś leżeliśmy na ziemi, czekając, aż pozwolą nam wstać. Gdy to nastąpiło, musieliśmy wyjść z pokoju i zrobić miejsce technikom policyjnym, którzy zabezpieczali ślady. Obok lekarz udzielał pomocy postrzelonym. Z rozmów policjantów zorientowaliśmy się, że śledząc tatę, przyjechali pod nasz dom i gdy usłyszeli strzały, zdecydowali się interweniować.

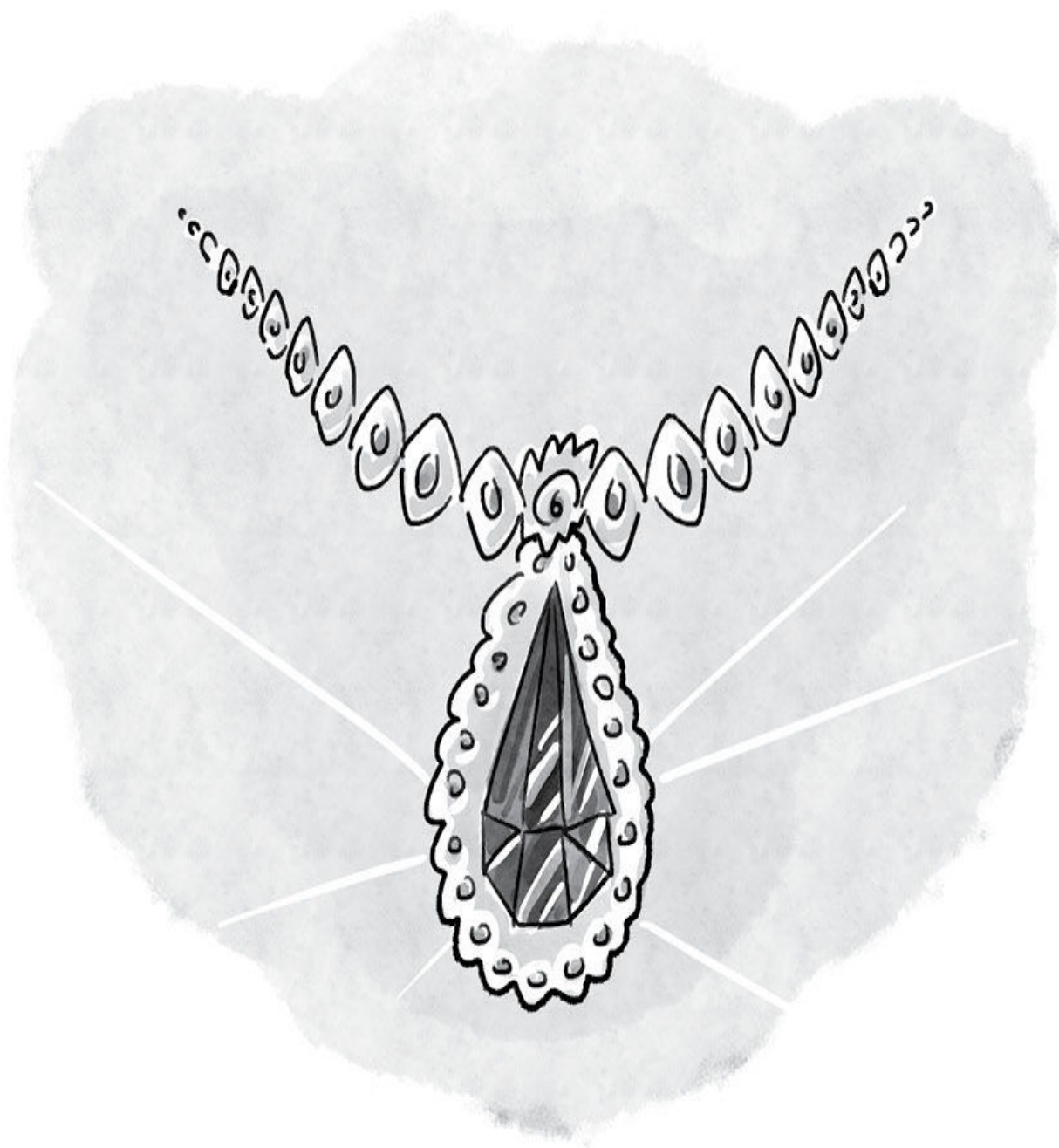
W naszym domu był ruch jak w ulu. Lekarz opatrywał rannych, technicy kryminalni zabezpieczali ślady, a policjanci starali się dowiedzieć, co zaszło.

Radzio Szprycha i Mieczysław Lepka Rączka zostali zawiezieni do szpitala więziennego. Mieczysława Chciwego powtarzającego na okrągło, że widział ducha, zabrano na konsultacje psychiatryczne, skąd również miał zostać przewieziony do aresztu. Najdłużej śledczy zastanawiali się, co zrobić z tatą i zdecydowali, że zawiozą go do prokuratora, który po przesłuchaniu zadecyduje o jego losie.



W końcu technicy zakończyli swoją pracę, dom opustoszał i zostaliśmy sami z mamą. Nie zdążyliśmy jednak skomentować tego, co się wydarzyło, gdy odezwał się telefon mamy. Okazało się, że dzwoni jej najlepsza przyjaciółka.

- Nie uwierzysz, kochanie, co tu się wydarzyło - mama zaczęła relacjonować całą historię. Po dłuższej chwili była na początku opowiadania. Dawaliśmy jej znaki, że chcemy porozmawiać, ale ona na migi prosiła, żebyśmy jej nie przeszkadzali, bo prowadzi bardzo ważną rozmowę. Zaczęliśmy się zatem sami naradzać, jak wy dostać tatę z kolejnych kłopotów.



Rozdział XXII

TAJEMNICA GABINETU TATY

Doszliśmy do wniosku, że powinien zająć się tym fachowiec, a zatem należało jak najszybciej skontaktować się z wujkiem Aleksandrem.

Uznaliśmy, że najlepiej będzie pojechać do niego do biura. Musiał tam być i likwidować skutki wtargnięcia Radzia Szprychy. Zastaliśmy wujka układającego książki na półce w gabinecie taty. Ucieszył się na nasz widok.

– Czytaliście mowy Cicerona? – spytał. – Naprawdę powinniście. Jeden z najwybitniejszych rzymskich prawników mawiał, że większa jest trwałość dowcipu niż siły, więc chętnie oddałby dwa militarne triumfy za dobrze ułożoną mowę.

– Oczywiście, że czytałem – pochwalił się Staś. – A czy wujek wie, co w liście do nieżyjącego już Cicerona napisał Petrarca, gdy stwierdził, że wielki Cicero w życiu prywatnym nie stosował się do reguł, które sam głosił? Otóż napisał: „Cóż warte jest nauczanie innych, na cóż się zda mówienie w najpiękniejszym słowie o cnotach, jeśli sam siebie w duszy nie słuchasz”.



- Nie słyshałem tego, gdzie o tym przeczytałeś? - zainteresował się wujek.

Gdy Staś zaczął opowiadać, uznałam, że pora zainterweniować. Zbyt dobrze znałam wujka Aleksandra i Stasia, żeby nie przewidzieć, czym to się może skończyć. Obaj kochali historię antyku i mogli o tym rozmawiać bez końca. Przerwałam im brutalnie, mówiąc, że przyszliśmy tu w sprawie ponownego zatrzymania taty. Wujek westchnął, z żalem spojrzął na tom z mowami Cicerona i odłożył go na półkę.

- A, tak - westchnął. - Zaraz się tym zajmę, powiedzcie dokładnie, co się stało.

Opowiedziałam.

- Niesamowite, nieprawdopodobne - powtarzał, dowiedziawszy się, że wszyscy sprawcy napadu zostali zatrzymani. - No to szykuje się ciekawy proces. - Na myśl o tym aż zatarł ręce z radości. - Tylko czego oni chcą od waszego taty, jeśli wszyscy winni są już pod kluczem?

- To dlatego, że jeszcze nie znaleziono klejnotów - przypomniałam wujkowi. - Radzio Szprycha twierdził, że ukrył je w gabinecie taty, ale ich tu nie znalazł. Uważał zatem, że to tata je ukradł, tak samo myśli policja.

- Ależ to absurd, gdyby wasz tata odnalazł klejnoty, to natychmiast oddałby je właścicielowi.

- To prawda - przyznałam. - Ja o tym wiem i ty wiesz, ale musimy przekonać do tego jeszcze policję.

- Jadę do nich - zdecydował wujek. - Popilnujcie przez ten czas biura. Pani Basia poszła na pocztę i powinna wrócić za jakieś pół godziny.

Po wyjściu wujka wsadziliśmy ducha do dużego lustra i zabraliśmy się do sprzątnięcia gabinetu taty. Podnosiliśmy z podłogi porozrzucone książki i ustawialiśmy je na półkach. Potem wkładaliśmy rzeczy do szuflad. Zdjęcia, breloczki, notesy, masa szpargałów. Widać było, że tata dawno ich nie porządkował.

- Jesteś tu, kochanieńka? - Usłyszeliśmy kobiecy głos dochodzący z sekretariatu.



Zapewne ktoś szukał pani Basi. Wyszliśmy sprawdzić, o co chodzi. W drzwiach do kancelarii stała młoda kobieta i trzymała w rękach duży porcelanowy wazon pomalowany w kwiaty. Poznaliśmy go, należał do taty. Kiedyś tata bronił dyrektora fabryki porcelany i w podziękowaniu za wygranie sprawy ten pan dał mu kilka takich wazonów. Jeden stał u nas w domu, a pozostałe w kancelarii.

– Pani Basia jest na poczcie – poinformowałam tę panią. – Czy coś jej przekazać?

– Nie, dziękuję. Przyszłam tylko oddać wazon. Jestem sekretarką w biurze naprzeciwko i kilka dni temu były imieniny mojego szefa. Dostał tyle kwiatów, że nie mogliśmy ich pomieścić. Pożyczyłam wtedy od was wazon. Zwracam go. Jeżeli nie ma pani Basi, to może wam go zostawię?

– Oczywiście – odezwał się szarmancko Tadzik, po czym odebrał wazon i zaniósł do gabinetu taty.

Po wyjściu gościa wróciliśmy do porządków. Uklękłam przy biurku i zaczęłam zbierać wyrzucone z szuflady i rozrzucone na podłodze zdjęcia. Zrobiliśmy je w czasie wyjazdu do Grecji. W trakcie kąpieli zobaczyliśmy pod wodą antyczne kolumny. Byliśmy przekonani, że dokonaliśmy wielkiego archeologicznego odkrycia, natykając się na ruiny starożytnego miasta. Wszyscy byliśmy tym bardzo podekscytowani. Te kolumny leżały na głębokości kilkunastu metrów i nie mogliśmy do nich dotrzeć. Wtedy tata i wujek Aleksander założyli sprzęt nurkowy i zanurkowali z butlami. Z łódki widzieliśmy, jak schodzą na samo dno i próbują wydobyć jedną z kolumn. Oczami wyobraźni uznaliśmy się za wielkich odkrywców archeologów, o których będą pisać wszystkie greckie gazety. Tata z wujkiem dotarli na powierzchnię i okazało się, że te kolumny to betonowe podróbki.

Dekoracje filmowe, które po zakończeniu zdjęć zostawiono pod wodą. Mieliśmy naprawdę rozczarowane miny, gdy okazało się, że nie ma żadnego podwodnego miasta.

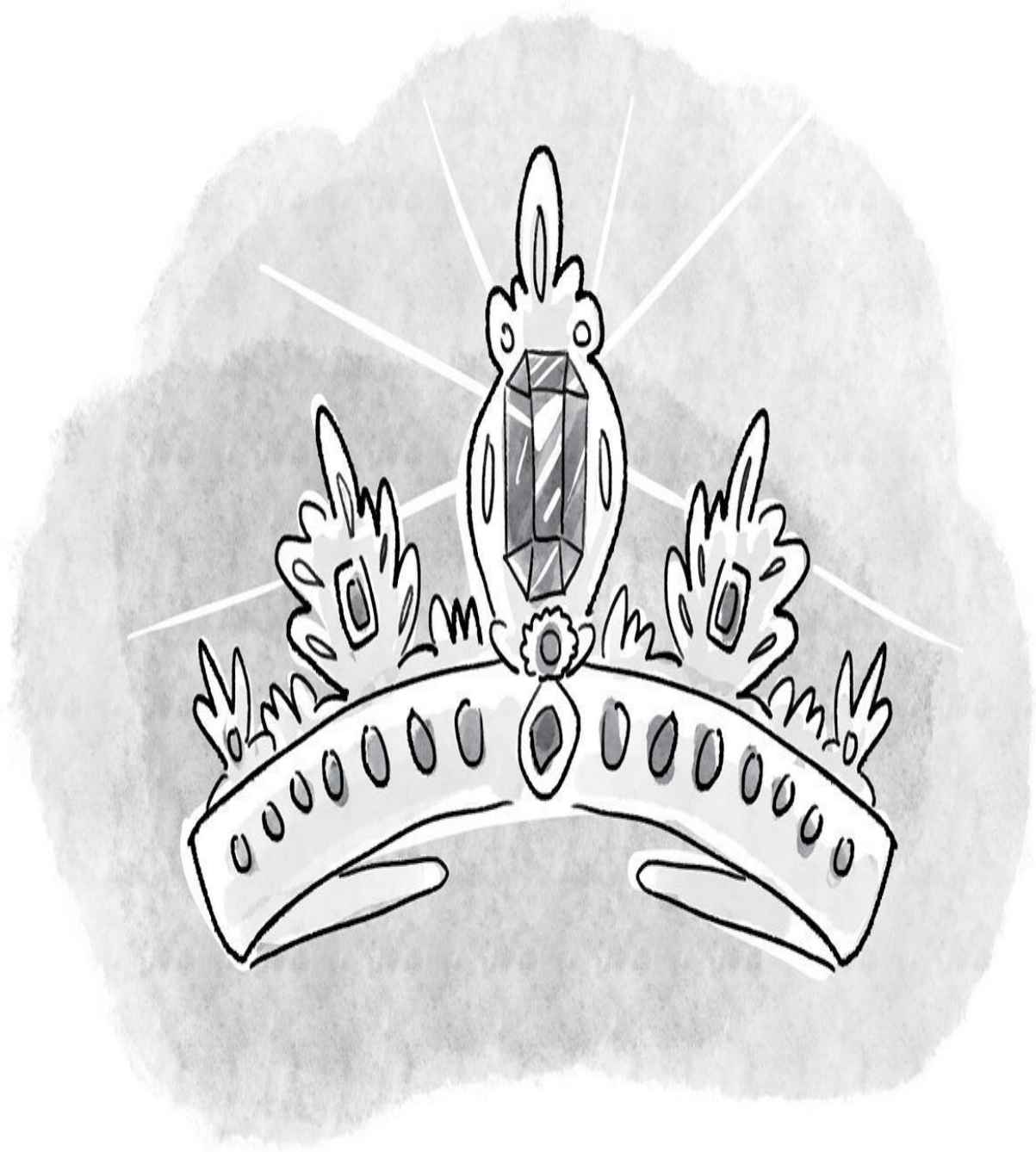
Uśmiechnęłam się i włożyłam zdjęcia do biurka. Coś nie mamy szczęścia do skarbu, wtedy nie znaleźliśmy podwodnego miasta, a teraz nie udało nam się odnaleźć klejnotów królowej brytyjskiej. Gdy przypominałam sobie o klejnotach, coś mnie zaczęło niepokoić. Miałam wrażenie, że coś bardzo ważnego usłyszałam, ale to przeoczyłam, że nie połączyłam dwóch ważnych tropów. Zwierzyłam się z moich przemyśleń Stasiowi, który siedząc obok mnie na podłodze, przeglądał stare akta.

– Ja mam identyczne odczucie – odparł. – Czuję, że klucz jest w zasięgu ręki, ale nie potrafię po niego sięgnąć.

Jeśli oboje czuliśmy to samo, to nie mógł być przypadek. Zaczęliśmy o tym gadać, przypominając sobie kolejne etapy naszego śledztwa. Pewne było to, że klejnoty Radzio Szprycha ukrył w gabinecie taty, oraz to, że nie zabrał ich ani Radzio Szprycha, ani nasz tata. Nie zrobił tego nikt inny: ani policja, która szukała klejnotów, ani Scotland Yard, ani wspólnicy Radzia Szprychy. Kto zatem mógł to zrobić, jeśli nikt więcej nie wiedział, że klejnoty są ukryte w biurze? A może one zostały zabrane przypadkowo? Wtedy przyszło olśnienie. Radzio chowa klejnoty w gabinecie, potem ktoś ten schowek zabiera z gabinetu, nie wiedząc, co jest w środku, i dlatego nikt nie może ich znaleźć. Należało sprawdzić, co było w gabinecie taty w dniu napadu, a potem z niego zniknęło. No i wtedy przypominałam sobie o wazonie. Napad miał miejsce przed kilkoma dniami, wtedy, kiedy imieniny dyrektora z sąsiedniego biura...

- Eureka! - wykrzyknęłam całą siłą płuc, zerwałam się na równe nogi i podbiegłam do wazonu. On nadawał się doskonale na skrytkę, był tak duży, że mogły być w nim schowane klejnoty.

Włożyłam rękę do środka i wyczułam paczkę przytwierdzoną do jego wewnętrznej ściany taśmą samoprzylepną. Oderwałam ją i otworzyłam. Klejnoty królowej znałam ze zdjęć zamieszczonych w internecie, ale nigdy nie przypuszczałam, że w rzeczywistości mogą wyglądać tak pięknie. Po kolei brałam do ręki pierścienie z brylantem wielkości orzecha laskowego, naszyjnik ozdobiony dziesiątkami drogocennych kamieni, broszę i diadem. Klejnoty lśniły magicznym lekko niebieskawym blaskiem. Odnależliśmy je! To było nieprawdopodobne!



W euforii zaczęliśmy krzyczeć i podskakiwać. Pomyślałam, że podobnie musiał czuć się Heinrich Schliemann, gdy udało mu się odnaleźć skarb Priama. Patrzyłam na przemian to na moich roześmianych braci, to na klejnoty. Były tak piękne, że nie mogłam się

powstrzymać, musiałam je założyć. Podeszłam w kolii, z pierścionkiem, przypiętą broszą i diademem we włosach do lustra. Wyglądałam prześlicznie. Dopiero teraz zrozumiałam, co znaczy, że brylanty dodają kobiecie blasku. Gdybym mogła, to nigdy bym się z nimi nie rozstawała.

– A co ty, Helenko, masz na sobie? – Usłyszałam dochodzący z boku głos. Zdziwiona odwróciłam się. To była pani Basia.

– To klejnoty królowej, udało nam się je odnaleźć.

– Prawdziwe klejnoty?

– Prawdziwe – potwierdziłam. – Są warte czterdzieści milionów funtów.

Zobaczyłam, jak pod wpływem moich słów twarz pani Basi zaczęła się zmieniać. Mięśnie twarzy jej się zacisnęły, a skóra poczerwieniała.

– Pokaż mi je – powiedziała zmienionym głosem. Podałam jej pierścionek, który wyrwała mi i ukryła w dłoni. – Wszystkie, chcę je wszystkie – zażądała.

Przypomniał mi się film, w którym bohater na widok niewyobrażalnego bogactwa popadł w obłąd, podobnie wyglądała pani Basia. Złapała za broszkę przypiętą do mojej bluzki i wyrwała ją wraz z kawałkiem materiału. Następnie, nim zdążyłam zaprotestować, zerwała ze mnie diadem i naszyjnik.

– Co pani robi?! – wykrzyknął Tadzio, rzucając mi się na pomoc.

Jednak w panią Basię wstąpiła jakaś niewyobrażalna siła. Popchnęła Tadzia, który przewrócił się na podłogę, po czym odwróciła się i pobiegła do wyjścia. Gdy była na wysokości lustra, zdarzenia przybrały zupełnie nieoczekiwany obrót. Naprzeciwko pani Basi pojawił się wielki rozszalały nosorożec, który ryknął okrutnie, po czym zaczął cwałować w jej kierunku.

- O, Boże - pisnęła pani Basia, przerażona wypuściła z rąk klejnoty i pobiegła do wejścia. Obserwowałam ją, jak pędząc na oślep przed siebie, znika w korytarzu. Podeszłam do lustra.

- Dziękuję, duszku, jesteś najukochańszym duchem na świecie, nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.

Leon z rozsierzonego nosorożca zamienił się w żółtego uśmiechniętego emotka i mrugnął do mnie.

Po tym, jak na widok klejnotów zareagowała pani Basia, nie mieliśmy wątpliwości, że jak najszybciej powinniśmy przekazać je właścicielom. Musieliśmy tylko zdecydować komu. Tadzik uważał, że powinniśmy zadzwonić na policję i im je oddać. Staś był jednak odmiennego zdania. Nagroda była wyznaczona dla tego, kto odnajdzie klejnoty i odda je właścicielowi, a właścicielem była królowa brytyjska. Jeśli my oddamy klejnoty policjantom, a oni z kolei oddadzą je królowej, to Staś wątpił, czy w dalszym ciągu należeć nam się będzie nagroda. Uznaliśmy, że milion funtów to zbyt dużo, żebyśmy podejmowali takie ryzyko. Najbezpieczniej zatem było oddać klejnoty do rąk własnych królowej. Tu jednak pojawił się problem, bo nikt nie miał pojęcia, jak skontaktować się z królową.



Szybko jednak uznaliśmy, że wystarczy, jak przekazemy zgubę przedstawicielowi królowej. Staś zaproponował ambasadora. Odnaleźliśmy telefon do ambasady brytyjskiej i zadzwoniliśmy. Najpierw połączono nas z sekretarzem. Ten, gdy dowiedział się, w jakiej sprawie dzwoniemy, przełączył nas do radcy, ten natomiast do jednostki ochrony i tak dalej, i dalej.

W końcu jednak znalazł się rozmówca, który był zainteresowany sprawą klejnotów. Najpierw poprosił, abyśmy je opisali i dopiero wtedy uwierzył, że naprawdę udało nam się je odnaleźć. Chcieliśmy zawieźć je do ambasady, ale on uznał, że to może być zbyt niebezpiecznie, bo po drodze może nam je ktoś ukraść i będzie dużo lepiej, jeśli on przyjedzie po nie do nas. Podaliśmy mu adres i umówiliśmy się, że będzie w ciągu pół godziny.

Gdy skończyliśmy rozmawiać, przyszedł nam do głowy jeszcze jeden pomysł, jednak żeby go zrealizować, musieliśmy się przygotować. Nie minęło umówione pół godziny, gdy usłyszeliśmy pukanie.

Otworzyłam drzwi i wpuściłam do kancelarii dwóch mężczyzn, których widzieliśmy już wcześniej. To byli ci sami agenci Scotland Yardu, którzy śledzili policjantów i na których my napuściliśmy kolejnych policjantów. Wyglądało na to, że zostali wypuszczeni na wolność. Odetchnęliśmy z ulgą, bo trochę obawialiśmy się przekazać klejnoty komuś, kogo nie znamy.

– Proszę wejść – zaprosiłam ich. – Czy panowie znają mojego tatę? – Oczywiście, wiedziałam, że go znają, bo jak śledzili policjantów, którzy śledzili tatę, to przecież tak jakby śledzili jego. Wiedziałam też, że oni nie mogą się przyznać, że go śledzili, a myśmy nie powinni im mówić, że my wiemy, że oni go śledzili. Czekala nas zatem gra pozorów.

– Nie mieliśmy dotąd tej przyjemności – odparł inspektor. – To wielki honor pana poznać.

– Proszę spocząć. – Tata wskazał im fotele.

Wydaje wam się, że coś zmyślam, bo skąd raptem tata, który został zatrzymany przez policję, miał się znaleźć w swoim biurze. Oczywiście macie rację. Taty nie było, a jego rolę z lustra odgrywał duch. Wpadliśmy na ten pomysł, by ostatecznie przekonać policję, że tata nie ma nic wspólnego z kradzieżą.

Gdy goście usiedli, duch opowiedział im, w jaki sposób udało się odzyskać klejnoty. Gdy skończył, nadszedł czas na przekazanie kosztowności, czyli najtrudniejszy moment naszej inscenizacji, bo jak się domyślacie, duch w lustrze nie potrafiłby podać gościom klejnotów. Na tę chwilę przygotowaliśmy specjalny scenariusz. Nadszedł moment na odegranie mojej roli.

– Tato, przepraszam, że przeszkadzam, ale bardzo pilny telefon do ciebie.

- Przepraszam panów na chwilę. - Tata ruszył do sekretariatu, a tak naprawdę ruszyło lustro przesuwane z tyłu przez Tytusa.

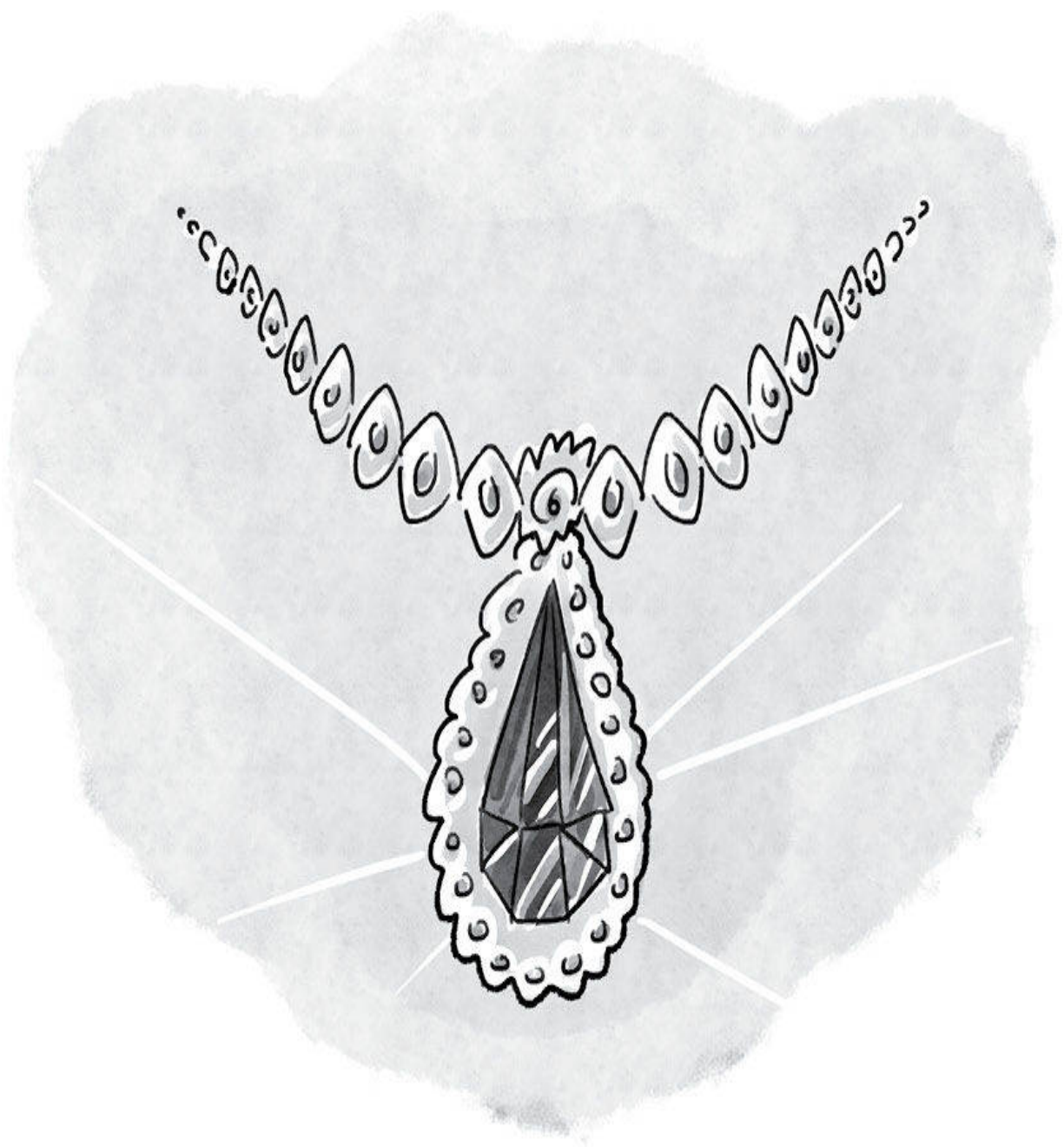
Po zakończeniu rozmowy tata już się nie pojawił. Musiał natychmiast pojechać dokądś w pilnej sprawie. W jego imieniu klejnoty przekazały brytyjskim policjantom jego dzieci. Nim goście zdążyli zaprotestować, Staś podszedł do nich z odnalezioną biżuterią. Na jej widok goście w okamgnieniu zapomnieli o tacie. Jeden z inspektorów wyjął z kieszeni marynarki szkło powiększające i zaczął z uwagą oglądać klejnoty. Oględziny musiały wypaść pomyślnie, bo na jego twarzy pojawił się uśmiech.



- Wybaczcie, muszę zadzwonić. - Sięgnął do kieszeni, z której wyjął telefon. - Wasza Królewska Mość, udało nam się odzyskać klejnoty - zameldował. - Tak, jestem pewien, że to oryginały, są w doskonałym stanie, bez uszkodzeń.

Po zakończonej rozmowie goście pożegnali się z nami.

- Musimy natychmiast dostarczyć je do ambasady. Podziękujcie w imieniu królowej ojcu i przekażcie, że jutro skontaktuje się z nim ambasador.



Rozdział XXIII

NIEDOSTATKI PAMIĘCI

Po wyjściu agentów Scotland Yardu skończyliśmy porządkować gabinet taty i wiedząc, że nie mamy tu już więcej nic do roboty,

wróciliśmy do domu.

W chwili, gdy przekręciliśmy klucz w zamku, ktoś z całej siły szarpnął za klamkę, drzwi gwałtownie się otworzyły i pojawił się w nich biszkoptowy pies. Biedactwo, przez te wszystkie wydarzenia zupełnie o nim zapomnieliśmy i po szybkości, z jaką pobiegł na trawnik, widać było, że przybyliśmy w ostatniej chwili. Potem pobiegaliśmy z nim tak długo, aż szczęśliwy zaczął dyszeć ze zmęczenia. Gdy wróciliśmy, mama nadal ze słuchawką przy uchu referowała koleżance wydarzenia ostatnich godzin i dochodziła właśnie do kulminacyjnego momentu strzelaniny pomiędzy Radziem Szprychą a Edwardem Lepką Rączką i Mieczysławem Chciwym. Nie chcieliśmy jej przeszkadzać w tak ważnym momencie i przeszliśmy do salonu. Duch trafił na swoje honorowe miejsce w lustrze, a my rozsiedliśmy się na kanapach i włączyliśmy telewizor. Nie cieszyliśmy się jednak długo spokojem, gdy odezwał się telefon. Dzwonił wujek Aleksander.

– Nie mogę dodzwonić się do waszej mamy, przekażcie jej, że rozmawiałem z prokuratorem. Przekonałem go, że nie ma potrzeby zatrzymywać taty i zgodził się go zwolnić za kaucją. Pieniądze już wpłaciłem, ojciec niedługo powinien wrócić do domu.

To była bardzo dobra wiadomość, bo to oznaczało, że tata jutro będzie mógł się spotkać osobiście z ambasadorem brytyjskim. Kamień spadł nam z serca, bo mieliśmy wątpliwości, czy jak pójdziemy do ambasady z duchem w roli taty, to nie zostaniemy zdemaskowani. W końcu mama również skończyła rozmawiać z przyjaciółką.

– Co tak siedzicie? – spytała oburzona. – Zamiast tak siedzieć, powinniście się zainteresować, jak pomóc tacie, kiedy ja jestem zajęta. Musimy natychmiast dzwonić do wujka Aleksandra.

- Wujek już dzwonił – odparłam. – Mówił, że tatę już wypuścili i zaraz powinien wrócić do domu.

- To dobrze – ucieszyła się mama. – Nie będziemy na niego musieli czekać z kolacją. Chodźcie, pomożecie mi nakryć do stołu.

Ledwo zdążyliśmy przygotować kolację, gdy pojawił się tata. Pobiegliśmy go przywitać. Gdy wróciliśmy z nim do kuchni, okazało się, że garnek ze spaghetti jest pusty. Oczy całej rodziny zwróciły się na Stasia.

- O co wam chodzi? – spytał zdziwiony, jednak na jego koszuli widać było dowody zbrodni, cała była wymazana sosem pomidorowym. – A, o ten kawałek pożywienia? – zreflektował się. – Widzicie, byłem strasznie głodny, bo cały dzień nic nie jadłem, dlatego odrobinę skosztowałem.

Mama westchnęła tylko ciężko i wstawiła kolejną porcję makaronu. Tata zaczął opowiadać, że ponownie był pytany przez prokuratora o to, co zrobił z klejnotami, ale ponieważ zaprzeczał, by je kiedykolwiek widział na oczy, prokurator po interwencji wujka Aleksandra uznał, że musi zwolnić tatę, ponieważ nie dysponuje żadnymi dowodami.

W trakcie opowieści patrzyliśmy na siebie znacząco, zdając sobie sprawę, że zupełnie nieświadomie, chcąc zrobić z taty bohatera, który odzyskał skradziony skarb, mogliśmy mu wyrzucić niedźwiedzią przysługę. Jeśli tata powiedział prokuratorowi, że nie widział klejnotów na oczy, a w tym samym czasie przekazał je angielskim policjantom, mogło się to dla niego źle skończyć.

Widziałam, że Staś szykuje się, żeby poruszyć ten temat, gdy tata powiedział, że czuje się bardzo zmęczony i zanim kolacja będzie gotowa, położy się na chwilę na kanapie. Poszliśmy za nim do salonu

i gdy tata ułożył się przy włączonym telewizorze, czekaliśmy na dogodny moment, by rozpocząć trudną rozmowę.

W telewizji nadawano program informacyjny. Nagle spiker powiedział, że otrzymał sensacyjną wiadomość z ostatniej chwili, że skradzione klejnoty królowej brytyjskiej zostały odnalezione przez warszawskiego adwokata Jacka Bonera, który niezwłocznie zwrócił je ambasadzie brytyjskiej.



Jest takie powiedzenie, że komuś opada szczeka ze zdziwienia. Jeśli uważacie, że to niemożliwe, szkoda, że w tym momencie nie

widzieliście naszego taty. Usiadł na kanapie, wpatrywał się w telewizor, a szczeka właśnie mu opadła.

– Co oni za bzdury wygadują? – Tata wyglądał, jakby był w szoku.

Gorączkowo zastanawiałam się, co robić. Jak to wszystko wyjaśnić? Powinniśmy powiedzieć tacie prawdę, ale nie mogliśmy mu przecież zdradzić, że to duch zwrócił klejnoty. Zastanawiałam się, co robić, i nagle przypomniała mi się jedna sprawa, o której opowiadał mi tata. Jego klient w wyniku nadmiaru emocji nie pamiętał, co robił danego dnia, nie mógł sobie nic przypomnieć i nie mógł przedstawić alibi. Dopiero świadkowie zeznali, gdzie w tym dniu był, i to go uratowało. Jednak ten mężczyzna, mimo że świadkowie mu to przypominali, nie mógł odtworzyć w pamięci tych zdarzeń. To oznacza, że pamięć potrafi płatać nam różne psikusy.

– Co oni wygadują, kto im naopowiadał takich głupot? – powtórzył tata i wtedy wpadłam na genialny pomysł.

– Jak to, tatusiu, to ty niczego nie pamiętasz? – spytałam.

Tata jeszcze bardziej zdziwiony spojrział na mnie:

– Bezimienna, o czym ty mówisz?

Teraz ja musiałam zrobić najbardziej zdziwiony wyraz twarzy, jaki potrafiłam.

– No, tego, że odnalazłeś klejnoty i przekazałeś je do ambasady?

Obawiałam się, że moi bracia, pomyślawszy, że to mnie się coś pomyliło, zdradzą mnie przed tatą. Spojrzałam na nich błagalnym wzrokiem, dając do zrozumienia, żeby mi zaufali. Zrozumieli moje znaki i w milczeniu czekali na rozwój wydarzeń. Kontynuowałam więc:

– Ty nic nie pamiętasz, tatusiu? – spytałam z troską.

– Przecież ja niczego nie znalazłem. Byłem w prokuraturze. – Widać było, że tata traci pewność siebie.

– Naprawdę nie pamiętasz, że po wyjściu z prokuratury przyjechałeś do biura? Tam okazało się, że klejnoty się znalazły. Radzio Szprycha ukrył je w wazonie, który pani Basia pożyczyła sekretarce z firmy obok. Gdy ona oddała wazon, odnaleźliśmy klejnoty, zawiadomiliśmy angielską ambasadę i im je oddałeś.

Najpierw tata słuchał mnie z powagą, po czym zaczął się śmiać.

– Niezły żart. O mało się nie dałem nabrać, ale już dosyć, to zbyt poważna sprawa, muszę ustalić, o co tu naprawdę chodzi. – Tata spojrzał na moich braci, jakby szukając potwierdzenia, że to naprawdę żart. Wszystko teraz zależało od tego, jak oni się zachowają.

– Nie pamiętasz tego wszystkiego? – Staś wpatrywał się w tatę z troską. – Klejnoty się odnalazły, a pracownicy ambasady wystawili pokwitowanie, że je od ciebie otrzymali. – Staś pokazał mu dokument, który naprawdę dostaliśmy od pracowników Scotland Yardu. Tata długo wpatrywał się w pokwitowanie. W końcu złapał się za głowę.

– Jak to się stało, że ja nic z tego nie pamiętam? – spytał sam siebie.

Wtedy zadzwonił telefon. Odebrał Staś, po czym zwrócił się do taty:

– Pan ambasador Wielkiej Brytanii dzwoni do ciebie.

Stanęliśmy przy tacie ciekawi, co ma mu do powiedzenia pan ambasador.

– Szanowny panie mecenasie – rozpoczął uroczyście – w imieniu Jej Królewskiej Mości chciałbym panu podziękować za pomoc w odzyskaniu jej bezcennych klejnotów koronnych. Chciałbym zaprosić pana na jutro do ambasady.

– Oczywiście będę, panie ambasadorze, dziękuję za zaproszenie – wyszeptał tata.

Po zakończonej rozmowie nadal z niedowierzaniem kręcił głową. Uznaliśmy, że potrzebuje wsparcia. Usiedliśmy zatem wszyscy wokół

niego i zaczęliśmy go pocieszać, żeby się nie martwił, że na pewno nic się nie stało. Z jego pamięcią jest jak najlepiej, tylko żył ostatnio w takim napięciu, że niektóre zdarzenia po prostu mu uleciały. W końcu tata przyznał nam rację.



– Tak, to musi być wina stresu, musimy teraz po prostu wyjechać i odpocząć.

Jednak w chwili, gdy wypowiedział te słowa, odezwał się dzwonek do drzwi. To przyszli policjanci, którzy natychmiast chcieli rozmawiać z tatą. Poprosili, żebyśmy wyszli z pokoju, co zrobiliśmy, ale z ciekawości podsłuchiwaliśmy pod drzwiami.

– Poinformowany o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, zeznał pan, że nie wie, gdzie są klejnoty, a tego samego dnia klejnoty te przekazał pan do ambasady brytyjskiej, zachodzi zatem podejrzenie, że składał pan fałszywe zeznania. Co ma pan do powiedzenia na ten temat? – pytał policjant.

– To bardzo proste. W chwili, gdy zeznawałem, nie wiedziałem, gdzie są klejnoty. Po przesłuchaniu pojechałem do biura i tam dopiero je odnalazłem. – Tata opowiedział policjantom historię znalezienia klejnotów, którą usłyszał od nas. – Mówiłem prawdę i natychmiast, gdy klejnoty się znalazły, oddałem je właścicielom.

– To układa się w logiczną całość – ocenił policjant. – Radzio Szprycha zeznał w trakcie przesłuchania, że klejnoty ukrył w wazonie, a gdy wrócił do pana biura, wazonu nie było. To znaczy, że pan jest niewinny. Bardzo pana przepraszamy za niesłuszne podejrzenia.

Policjanci pożegnali się i wyszli.

Niedługo jednak dane nam było cieszyć się spokojem, bo po kilku minutach ponownie odezwał się dzwonek. Tym razem to był wujek Aleksander. Był bardzo podekscytowany.

– Długo myślałem o twojej sprawie – oznajmił na wstępie. – I przygotowałem świetną linię obrony.

Ze słów wujka wynikało, że jeszcze nic nie wie o odzyskaniu przez królową klejnotów. Wyglądało na to, że musimy mu całą historię opowiedzieć od nowa. W tym samym momencie mama powiedziała, że kolacja gotowa.

- Całe szczęście - ucieszył się Staś. - Strasznie zgłodniałem.



Rozdział XXIV

KTO OKRADŁ KRÓLOWĄ?

Słyszając słowo „kolacja”, Staś biegiem ruszył do kuchni. W ostatniej chwili mama niczym bramkarz drużyny reprezentacyjnej wykonała skok i zablokowała mu wejście.

– A ty dokąd?

– Jestem straszliwie głodny, od rana nic nie jadłem – żalił się Staś.

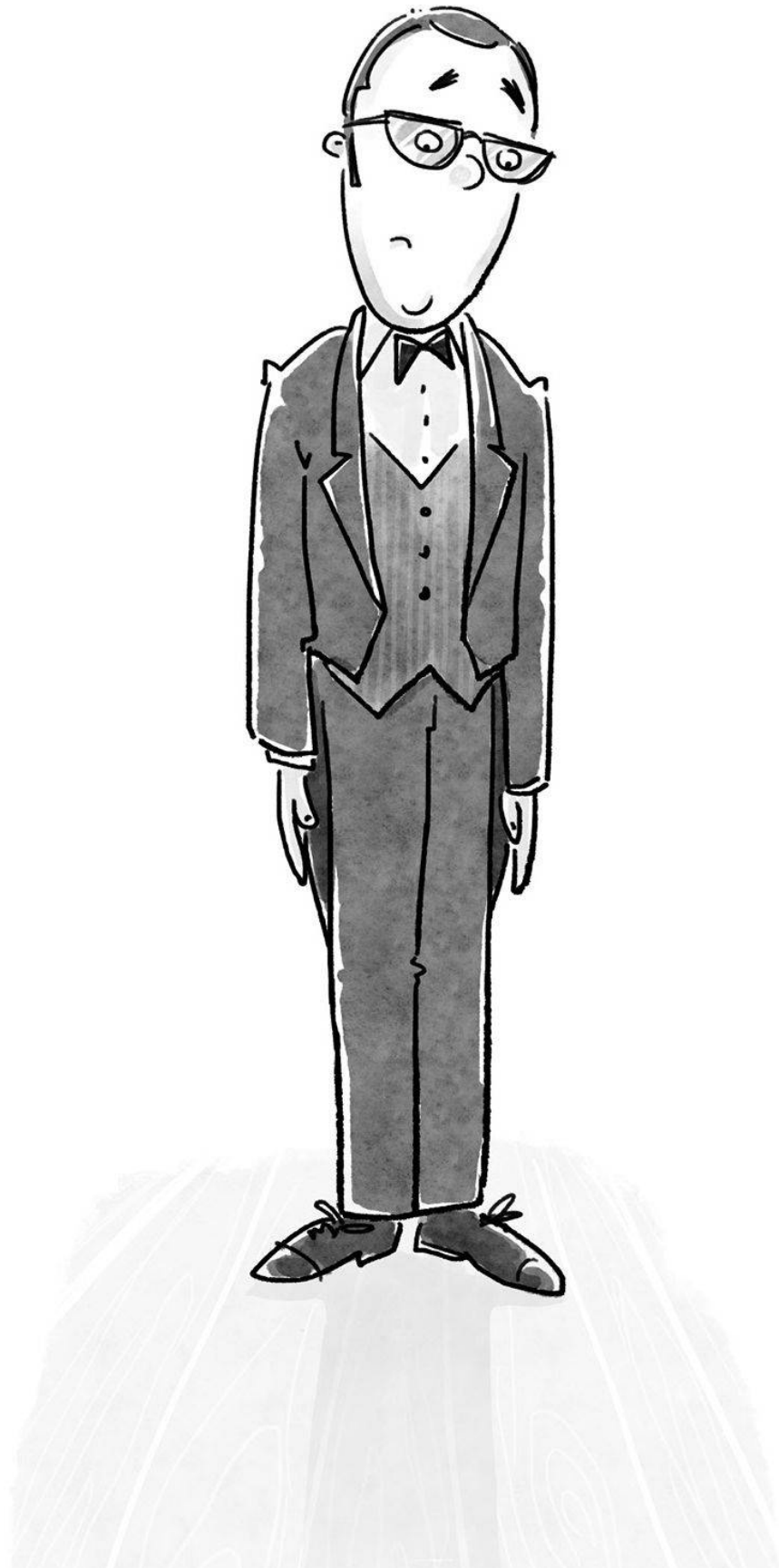
W czasie gdy mama powstrzymywała Stasia przed wtargnięciem do kuchni, podbiegliśmy do stołu, żeby nałożyć spaghetti, zanim Staś utoruje sobie drogę. Gdy usiedliśmy już za stołem, tata opowiedział wujkowi całą historię o tym, jak pod wpływem emocji zapomniał, że udało mu się odnaleźć klejnoty. Zakończenie opowieści tym, że jesteśmy na jutro zaproszeni do ambasadora Wielkiej Brytanii, wzbudziło zainteresowanie mamy.

- Takie spotkania w ambasadzie są bardzo eleganckie. Nie mamy w co się ubrać.

- Włożę czarny garnitur – zadeklarował tata.

- Powinieneś mieć frak, idziemy na zakupy.

W naszej rodzinie jest zasada, że w sprawach mody z mamą się nie dyskutuje, więc posłusznie wstaliśmy od stołu i całą rodziną pojechaliśmy do Galerii Mokotów. Ledwie zdążyliśmy przed zamknięciem. Mimo protestów taty mama zmusiła go do nabycia czarnego fraka, dla siebie i dla mnie wybrała wieczorowe suknie, a dla chłopców ciemne garnitury i krawaty w prążki.



Tak wystrojeni całą rodziną następnego dnia zameldowaliśmy się w ambasadzie. Portier zaprowadził nas do dużego salonu, w którym czekała już na nas grupa osób. Przywitał nas ambasador ubrany w tweedową marynarkę i flanelowe spodnie.

– A mówiłem, że frak to przesada – szepnął do mamy tata.

Pan ambasador zaczął nam przedstawiać zebranych.

– Agentów Scotland Yardu inspektorów Jeffa Wilsona i Johna Brantona pan już poznał – zwrócił się do taty.

Tata zrobił zdziwioną minę, przekonany, że widzi tych panów po raz pierwszy w życiu. Kopnęłam tatę dyskretnie w kostkę i szepnęłam:

– To im wczoraj oddałeś klejnoty.

– Tak, oczywiście – rozpromienił się tata.

Po zakończeniu prezentacji pan ambasador wygłosił oficjalne przemówienie, w którym opowiedział historię klejnotów królowej, przedstawił ich symboliczną i materialną wartość, po czym powiedział, jaką stratą dla Korony brytyjskiej była ich kradzież. Potem pochwalił postawę naszego taty, dzięki któremu klejnoty zostały odzyskane. Na sam koniec odpalił prawdziwą bombę. Powiedział, że królowa osobiście chce podziękować nam wszystkim za odzyskanie klejnotów i zaprasza nas całą rodziną do siebie do pałacu Buckingham, gdzie na osobistej audiencji wręczy nam nagrodę.

Tak się złożyło, że ani ja, ani moi bracia nigdy nie byliśmy w Londynie, zatem na wiadomość, że nie tylko odwiedzimy Londyn, lecz także spotkamy się z królową, nie bacząc na wymogi etykiety, rzuciliśmy się sobie w ramiona. Okazało się jednak, że nasi rodzice też potrafią cieszyć się jak dzieci. Z początku nie wiedzieli, o jaką nagrodę chodzi. W końcu, gdy dotarło to do nich, mama rzuciła się tacie na szyję,

informując go, że w końcu spełni się jej marzenie i będzie mogła wykupić całego Harrodsa.

– Kto to jest ten Harrods? – spytał mnie cicho Staś.

– Nie kto, tylko co. Ekskluzywny angielski dom handlowy, mama chce tam zrobić zakupy – wyjaśniłam bratu.

Trochę się obawiałam, że pan ambasador usunie nas wszystkich za niewłaściwe zachowanie. Niepotrzebnie, bo on śmiał się razem z nami.

Równy tydzień później siedzieliśmy w samolocie do Londynu. Tematem, który zdominował podróż, było to, na co przeznaczymy nagrodę. Najbardziej przygotowana była mama, która uznała, że skoro jesteśmy milionerami, to powinniśmy mieć dom na wsi. Dotychczas wydawało się, że milion funtów to fortuna, której nikt nie jest w stanie wydać. Mama jednak w mgnieniu oka wyprowadziła nas z błędu. Wyjęła z torby tablet i zaczęła pokazywać tacie propozycje działek, domów i mebli. Tata bladł coraz bardziej, po czym szybko obliczył, że po podwojeniu nagrody, na co musiałyby zaciągnąć stuletni kredyt, byłby w stanie zrealizować wszystkie plany mamy. Uznaliśmy, że jeśli nie chcemy, żeby cała nagroda przeleciała nam koło nosa, wszak ciężko na nią zapracowaliśmy, musimy natychmiast interweniować.

Zaczęliśmy opowiadać o własnych marzeniach. Byliśmy zgodni, żeby przynajmniej część nagrody przeznaczyć na podróże, oczywiście każde z nas chciało jechać w inne miejsce. Staś chciał obejrzeć ruiny Troi, Tadzik wolał wycieczkę do Barcelony na mecz Barcelony z Realem Madryt, ja z kolei chciałam pojechać na wyspę Komodo i obejrzeć tamtejsze słynne warany, nazywane też smokami z Komodo, o których opowiadał mi tata.

Tata stwierdził, że pojedzie na każdą z tych wypraw, a jeśli zamierzamy tyle jeździć, to oznacza, że w najbliższym czasie będziemy

zajęci i nie jest nam potrzebny wiejski dom. To z kolei spotkało się z protestem mamy, która uważała, że po co tyle podróżować, jeśli ma się własny dom na wsi.

Z samolotu wysiadaliśmy nieco pokłóceni. Dopiero po południu tacie udało się mamę udobruchać, kiedy zabrał ją na zakupy do Harrodsa. Mama wróciła szczęśliwa z suknią, w której zamierzała odwiedzić królową. Do pałacu Buckingham mieliśmy zaproszenie na godzinę drugą następnego dnia. Już od jedenastej rano przygotowywaliśmy się do tej wizyty. Gdy tata wyszedł z łazienki w czarnym garniturze, mama złapała się na jego widok za głowę.

– Jak ty wyglądasz? Nie pozwolę, żebyś poszedł jak jakiś oberwaniec do królowej. Natychmiast się przebierz.

– Nie chcę się znowu skompromitować, nie pamiętasz, jak było u ambasadora? W tym fraku wyglądałem jak jego lokaj. Zresztą i tak nie mogę się przebrać, bo nie wziąłem ze sobą fraka.

– Na szczęście ja myślę za ciebie i go zabrałam – uśmiechnęła się mama, podając tacie ubranie w pokrowcu. O wpół do drugiej wszyscy w uroczystych strojach byliśmy gotowi do wyjścia. Pod hotel podjechała limuzyna, która zawiozła nas do pałacu. A tam czekał kamerdyner w liberii.

– Widzisz? – mama szepnęła do taty. – Dobrze, że włożyłeś frak, bo wyglądałbyś gorzej od niego.

Kamerdyner długimi korytarzami poprowadził nas do królowej. Weszliśmy do wielkiej pustej sali, onieśmieleni oglądaliśmy piękne obrazy wiszące na ścianach. Po chwili otwarto wielkie dwuskrzydłowe drzwi i do sali wkroczyła królowa ze swoją świtą. Spostrzegłam, że na jej widok mama znieruchomiała i w podobny sposób zareagowała królowa. Przez moment nie wiedziałam, o co chodzi i dopiero po chwili

się zorientowałam. Mama była ubrana w suknię kupioną wczoraj u Harrodsa, i tę samą suknię miała na sobie królowa. To trwało tylko ułamek sekundy i królowa podeszła do nas.

– Będę mogła się pochwalić koleżankom, że razem z królową ubieramy się w tym samym sklepie – szepnęła do mnie dumna mama.

Królowa podeszła do mamy.

– Gratuluję pani przepięknej garderoby.



– Wzajemnie, Wasza Królewska Mość – odpowiedziała szczęśliwa mama.

Zapomniałam wam jeszcze powiedzieć, że królowa miała na sobie królewskie klejnoty. Te same, które dla niej odzyskaliśmy. Ozdabiane brylantami pierścień, broszę, naszyjnik i diadem. Następnie królowa zbliżyła się do taty.

– Na pana cześć założyłam dziś biżuterię, którą pan dla mnie odzyskał.

- Pierwszy raz ją widzę na oczy – odparł odruchowo tata.

Królowa spojrzała na niego ze zdumieniem, bo przecież powiedziano jej, że to tata odzyskał klejnoty i przekazał je inspektorom.

Zrozumiałam, że jeśli nie chcę dopuścić do dyplomatycznego skandalu, muszę natychmiast interweniować.

- Tata jest tak podekscytowany, że może poznać Waszą Królewską Mość, że wszystko mu się pomyliło. Chciał powiedzieć, że Wasza Królewska Mość przydaje tym klejnotom wyjątkowego blasku.

- No właśnie to miałem na myśli, co mówi córka – poprawił się natychmiast tata.

Okazało się, że to ma nie być tylko kurtuazyjna krótka wizyta, bo królowa po wręczeniu tacie czeku na milion funtów zaprosiła nas na obiad. Przeszliśmy do drugiej sali, gdzie był pięknie zastawiony stół. Jak się domyślacie, miałam ze sobą w torebce ducha. Leon nigdy by sobie nie darował, gdyby opuścił taką uroczystość. Całe życie marzył, żeby poznać królową. Umówiliśmy się, że w czasie uroczystości wyjmę go z torebki, żeby mógł wszystko dokładnie obejrzeć. Na szczęście w sali jadalnej na jednej ze ścian wisiało duże lustro w ozdobnej ramie. Podeszłam do niego dyskretnie i umieściłam w nim ducha.

Gdy królowa usiadła u szczytu stołu, wszyscy usiedliśmy również. Byłam lekko przerażona, bo za każdym z nas stał lokaj w złotej liberii, a przy talerzach z obu stron leżało po siedem noży i widelców. Jak ja sobie dam radę? – myślałam przerażona. Potem jednak przypomniałam sobie jedną z książek, gdzie mama daje radę dziewczynce, która ma udać się na bardzo elegancki obiad: „Jeśli nie wiesz, jak się zachować, postępuj tak samo jak gospodyni, po prostu ją naśladowuj i wszystko będzie dobrze”. Rada okazała się fantastyczna, przyglądałam się, co robi królowa i we wszystkim ją naśladowałam.

W czasie obiadu królowa interesowała się tym, co robi tata. On opowiadał jej anegdotki z warszawskiego świata przestępczego, a królowa się z nich zaśmiewała. Potem zapytała, na co zamierzamy przeznaczyć nagrodę. Wtedy mama opowiedziała jej o planach nabycia domu na wsi. Okazało się, że królowa też lubi wiejskie życie i długo rozmawiały na temat ogrodów.

Słuchając jej, z lekkim przerażeniem obserwowałam wyczyny mojego brata Stasia siedzącego obok. Po błyskawicznym zjedzeniu przekąski bez najmniejszego skrupowania skinął na lokaja i poprosił o dokładkę, a potem powtórzył to jeszcze trzy razy. Bez wysiłku połknął cztery talerze zupy, po czym w trakcie drugiego dania poprosił kelnera, by ten od razu nałożył mu cztery kawałki kaczki. Na szczęście królowa zajęta rozmową z mamą nie dostrzegała jego poczynań. Przy puddingu, którego Staś pochłonął pięć porcji, królowa spytała nas, czy się cieszymy z przyszłego wiejskiego domu. Pamiętając pouczenia mamy, że mamy się grzecznie zachowywać i we wszystkim przyznawać jej rację, powiedzieliśmy, zgodnie, że bardzo. Dodaliśmy tylko nieśmiało, że bardzo lubimy podróże i dlatego nie chcielibyśmy całego czasu spędzać w tym nowym domu, tylko trochę jeździć po świecie.



Staś, nie przerywając przeżuwania puddingu, wyjaśnił królowej, że on najbardziej lubi podróże historyczne, bo jest z zamiłowania historykiem. Po czym przez dłuższy czas zabawił królową historycznymi anegdotami. Przerażeni rodzice, bojąc się, że Staś zamęczy królową, próbowali go nieco przyhamować. Jednak królowa powstrzymała ich, mówiąc, że to bardzo ciekawe i że ona też interesuje się historią. Opowieść Stasia trwała tak długo, że aż musiał interweniować sekretarz królowej, przypominając jej, że od kwadransa czeka już na nią premier, z którym była umówiona. Królowa wstała, żeby się z nami pożegnać.

– Skoro tak interesujesz się historią, to może miałbyś ochotę wraz z rodziną spędzić tydzień w moim zamku w Windsorze? – spytała Stasia.

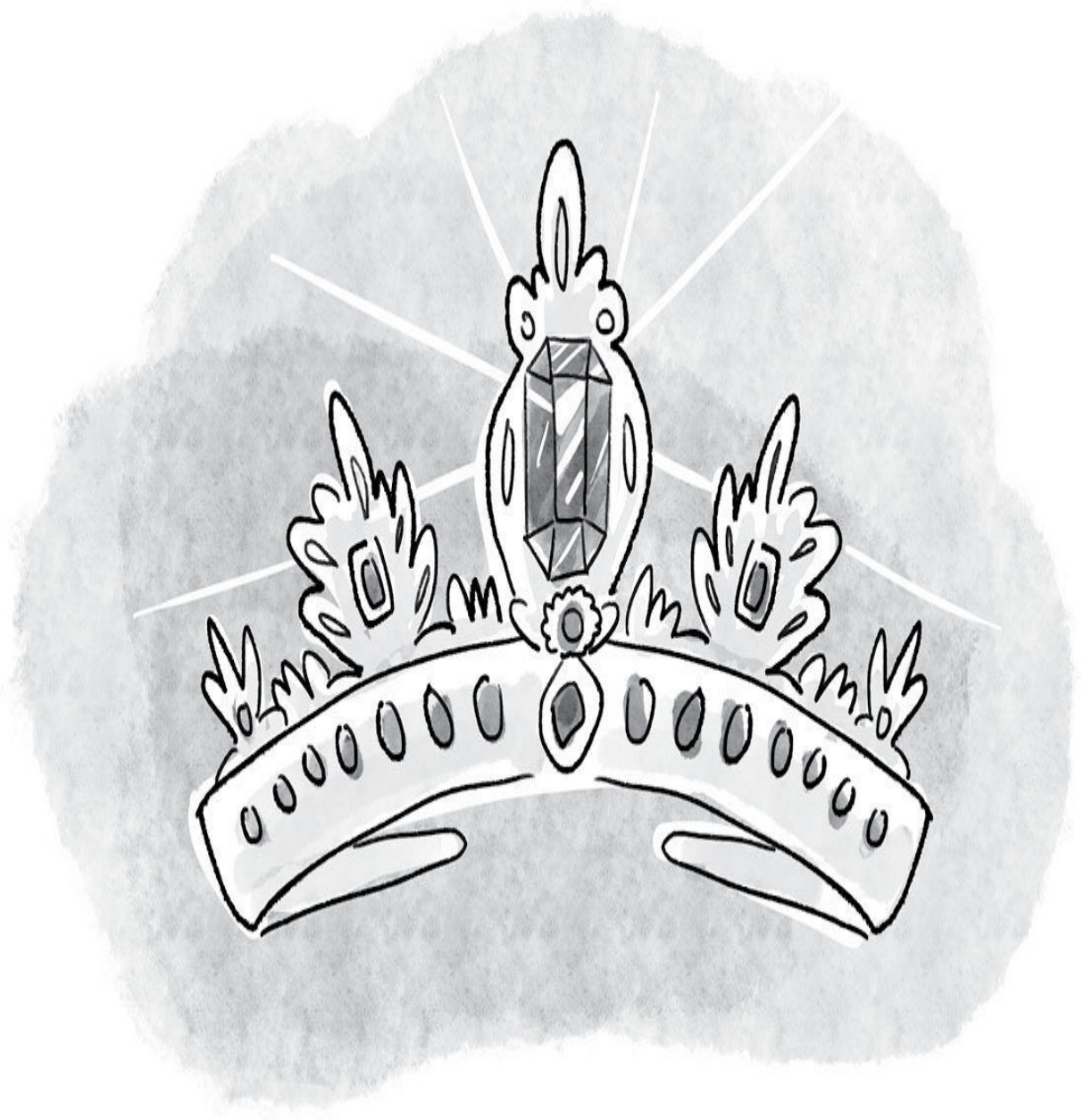
– W tym słynnym Windsorze? Z radością, całe życie o tym marzyłem – rozpromienił się Staś.

– Zatem jesteście umówieni – uśmiechnęła się królowa. – Jutro możecie tam jechać, mój sekretarz wszystkiego dopilnuje.

Pożegnawszy się z nami, królowa ruszyła do wyjścia. Zatrzymała się na chwilę przed lustrem, żeby poprawić włosy, po czym wykrzyknęła przerażonym głosem:

– Klejnoty, moje koronacyjne klejnoty! Zostały skradzione!





ZAKOŃCZENIE

Jak to się mogło stać? – zastanawiałam się gorączkowo. Przecież Radzio Szprycha, Edward Lepka Rączka i Mieczysław Chciwy siedzieli zamknięci w polskim więzieniu, nie mogli zatem obrabować królowej,

a jeśli nie oni, to kto to zrobił? Czyżby jakaś ich brytyjska konkurencja? I kiedy to się stało? W czasie obiadu królowa miała klejnoty na sobie, nikt inny tu nie wchodził, to było niemożliwe. Spojrzałam na królową i spostrzegłam, że wszystkie klejnoty ma na sobie.

– Ależ, Wasza Królewska Mość. – Do królowej podbiegł asystent. – Klejnoty są na swoim miejscu, to znaczy na Waszej Królewskiej Mości.

– Niemożliwe – odparła królowa. – Przed chwilą spojrzałam w lustro i ich nie było. – Królowa spojrzała na swoją rękę, na której odnalazła pierścień. Potem dotknęła ręką szyi i głowy, odnajdując kolejno broszę, naszyjnik i diadem. Spojrzała jeszcze raz w lustro i tym razem wszystkie kosztowności dostrzegła na swoim miejscu. – Coś mi się wydawało, przepraszam, to musiały być jakieś omamy. – Uśmiechnęła się. – Czasem tak bywa w życiu, że nie dostrzegamy najcenniejszych dla nas rzeczy.

Królowa skinęła nam głową na pożegnanie i opuściła salę. Ja zaś dostrzegłam, jak duch mruga do mnie z tafli lustra.

– No wiesz, Leon, jak mogłeś żartować z królowej? – szepnęłam dla niego z wyrzutem. Nadstawiłam dyskretnie torebkę, by Leon mógł się ewakuować z królewskiego lustra.

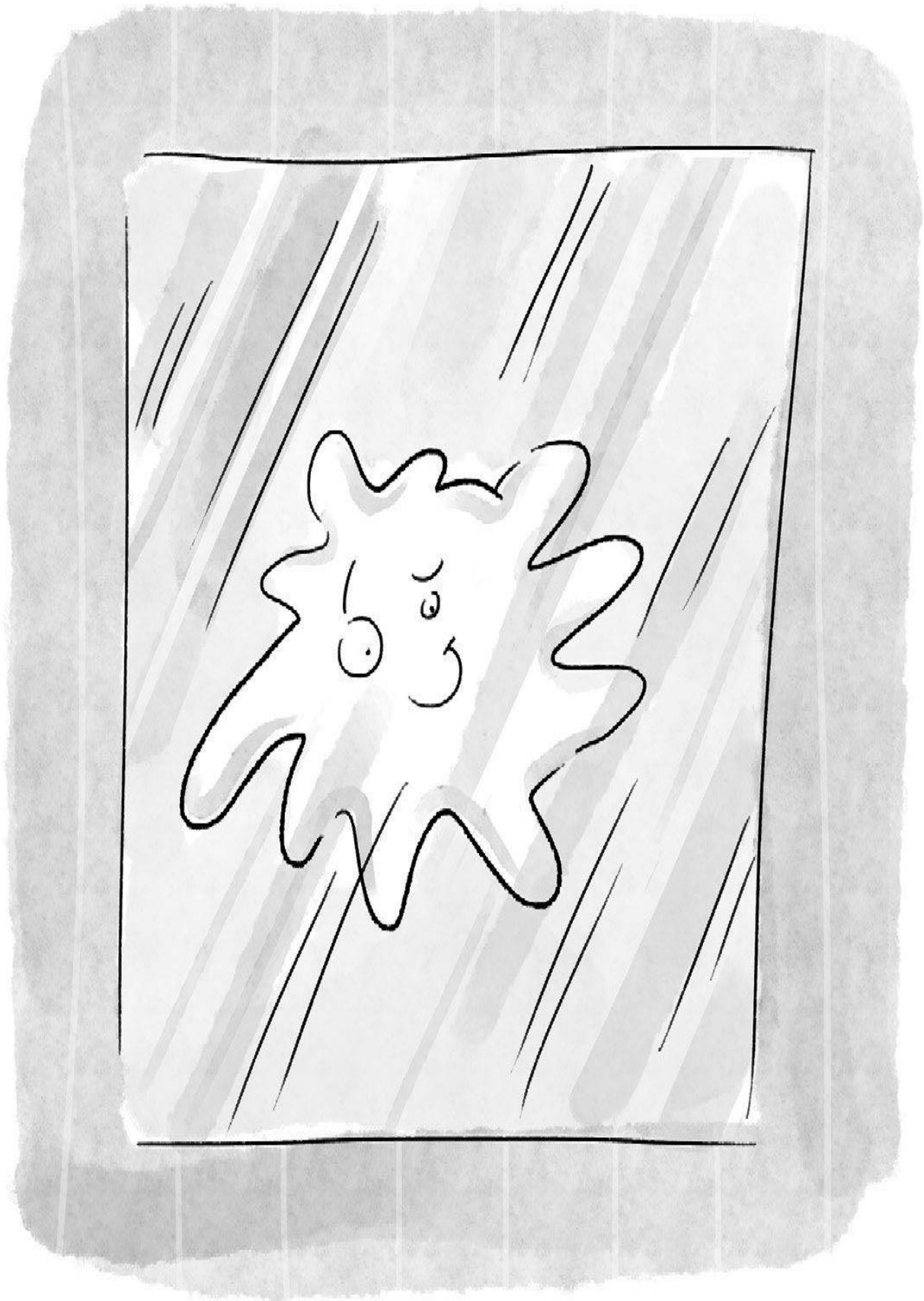
Po powrocie do hotelu mama poinformowała tatę, że absolutnie nie ma co na siebie włożyć na wycieczkę do zamku królowej i poprosiła, by tata udał się z nią na zakupy. Gdy rodzice wyszli, uznaliśmy, że czas na niespodziankę, którą przygotowaliśmy dla ducha. Włożyłam go do torebki, nie mówiąc, dokąd idziemy. Wyjęłam go w dopiero na miejscu. Duch popłakał się ze wzruszenia, gdy zobaczył nowe wnętrza windy w hotelu Dorchester.

Wskoczył natychmiast do kryształowego lustra i zaczął po nim hasać. Udawał słynnych gości, którzy jeździli tą windą, wielbłądy,

nosorożce i wszystko, co mu przyszło do głowy. W końcu, gdy się wyhasał, zaczął nam pokazywać szczegóły windy, w której spędził większość swojego życia.

– Pewnie będziesz chciał tu zostać? – powiedziałam ze smutkiem.

– Zwariowałaś, Bezimienna? Byłbym chyba największym frajerem, gdybym siedział tutaj, zamiast poznawać wszystkie lustra zamku Windsor. Oczywiście, że jadę z wami.



SPIS TREŚCI

Rozdział I
DZIEWCZYNNKA BEZ IMIENIA

Rozdział II
WIDMO BANKRUCTWA

Rozdział III
KLEJNOTY KRÓLOWEJ

Rozdział IV
TAJEMNICZA WYPRAWA

Rozdział V
TAJEMNICA GRYZONIA

Rozdział VI
PODRÓŻ DO GÓRY

Rozdział VII
LONDYŃSKA HISTORIA

Rozdział VIII
POWTÓRNA AWARIA

Rozdział IX
NARADA

Rozdział X
ŚMIERTELNE ZAGROŻENIE

Rozdział XI
IDENTYFIKACJA

Rozdział XII
ZAMACH NA DUCHA

Rozdział XIII
UPIORNA WYPRAWA

Rozdział XIV
BRAWUROWA OBRONA

Rozdział XV
TATA MA KŁOPOTY

Rozdział XVI
ATAK NA KOMISARIAT

Rozdział XVII
PODWÓJNI AGENCI

Rozdział XVIII
DRUGA TWARZ PANA RYBKI

Rozdział XIX
TAJEMNICZY SZYFR

Rozdział XX
TAJEMNICZA MELINA

Rozdział XXI
POJEDYNEK REWOLWEROWCÓW

Rozdział XXII
TAJEMNICA GABINETU TATY

Rozdział XXIII
NIEDOSTATKI PAMIĘCI

Rozdział XXIV
KTO OKRADEŁ KRÓLOWĄ?

ZAKOŃCZENIE

Copyright for the Polish Edition © 2019 Edipresse Kolekcje Sp. z o.o.

Copyright for text © 2019 Jacek Dubois

Copyright for illustration © 2019 Hubert Grajczak

Edipresse Kolekcje Sp. z o.o.

ul. Wiejska 19

00-480 Warszawa

Dyrektor Zarządzająca Segmentem Książek: Iga Rembiszewska

Senior Project Manager: Natalia Gowin

Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska

Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska

Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51), Beata Trochonowicz (tel. 22 584 25 73),

Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Redakcja: Katarzyna Wojtas

Korekta: Anna Godlewska, Agnieszka Betlejewska

Ilustracje: Hubert Grajczak

Projekt okładki i makiety, skład i łamanie: Grajczak Studio

Zdjęcie autora na okładce: Rafał Masłow

Biuro Obsługi Klienta

www.hitsalonik.pl

mail: bok@edipresse.pl

tel.: 22 584 22 22

(pon.-pt. w godz. 8:00-17:00)

facebook.com/edipresseksiazki

facebook.com/pg/edipresseksiazki/shop

instagram.com/edipresseksiazki

Książka powstała z udziałem Octava Property Trust

ISBN 978-83-8164-105-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.